

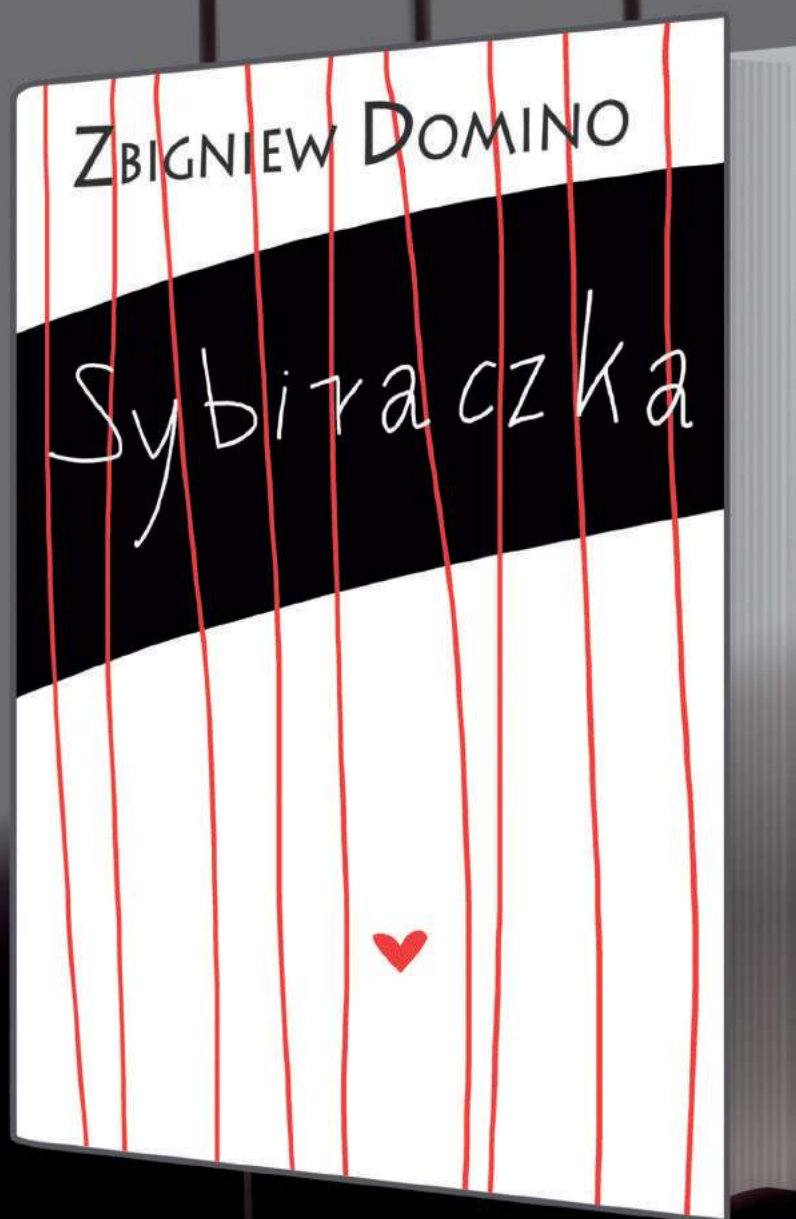
Zofia Leszczyńska-Niziołek
Czy każdego grzyba można polizać

Co druga studentka
była molestowana

JEDEN KOŚCIÓŁ, JEDNA PARTIA, JEDNA KASA



Ostatnia
książka
autora
*Syberiady
polskiej*



Bohaterką tej książki jest... książka. Podręczny, przedwojenny poradnik kucharski – własność matki autora. Książka, której niezwykle losy są w „Sybiracze” opisane. Wywieziona na Syberię, owego tragicznego roku 1940, do domu po latach tułaczki wróciła sama; jej właścicielka została w lasach tajgi na zawsze.

Zbigniew Domino w „Sybiracze” opowiada dzieje własne i swojej rodziny. To opowieść bardzo osobista.

Niewielką objętościowo książką, ciekawie ilustrowaną, zamyka swoją syberyjską epopeję, swoiste opus magnum, któremu początek dała „Syberiada polska”. Ten cykl powieściowy Dominy, niezwykle, poruszający, według zgodnej opinii krytyki literackiej zostanie zapisany w historii literatury polskiej jako rzecz nie do zapomnienia.

cena: 29,90 zł | ilość stron: 120 | oprawa: twarda

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

CYTATY

DR HAB. JAROSŁAW FLIS,
politolog

Kto w mniejszym stopniu zniechęci swoich wyborców, ten wygra.
„Polityka”

DOROTA WELLMAN,
dziennikarka

Chcę, żeby mniej kretynów było w Sejmie. Dlatego idę na wybory.
„Wysokie Obcasy”

KS. WOJCIECH LEMAŃSKI

Jak ja szanuję papieża Franciszka. Tyle nadstawiało głowę pod kardynalski kapelusz, a tu figa z makiem. Ani biskup krakowski, ani prymas, ani przewodniczący KEP.
Facebook

WOJCIECH PSZONIAK,
aktor

Niech ci psychiatrzy, którzy mówią, że śmieję się z chorych, zanalizują Kaczyńskiego.
na:Temat.pl

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Dobrobyt dla swoich

Życie kandydatów przed wyborami toczy się między występami w telewizji i innych mediach a wizytami na bazarach i targowiskach. Aż strach pomyśleć, o czym by kandydaci opowiadali, gdyby nie przynieszone z bazaru ludowe mądrości. Pod hasłem: „A mnie ludzie powiedzieli, że...”. Za mądre te wizyty nie są, bo kto na co dzień nie kupuje na bazarach, nie ma tam też czego szukać w kampanii. Wszystko razi sztucznością. Rezygnując z tych desperackich wizyt, uniknęliby przynajmniej kpín. Wiara, że opinie handlarzy to Polska w pigułce, jest równie sensowna jak przekonanie, że safari to obraz Afryki.

Świat stał się tak skomplikowany, że coraz więcej ludzi nie jest w stanie ogarnąć rozumem, jak to wszystko działa. Nie wie i nawet nie próbuje pojąć, co od czego zależy. Brak elementarnej wiedzy, i to przy obowiązku edukacyjnym do 18. roku życia, powinien być powodem do wstydu. A nie jest. Nieuctwo traktowane jest jak jakaś nowa cnota. Politycy, walcząc o każdy głos, często podlizują się prymitywom ledwo potrafiącym czytać. W kraju wydającym miliardy na edukację jest to duży problem. Wstydlawy. Niepodejmowany publicznie. Zamiast bić na alarm, pochylamy się z troską nad współczesnymi analfabetami.

A że jest ich coraz więcej, to znaleźli się politycy, którzy postanowili ich wykorzystać. Prekursorem cynicznego wykorzystywania nieuków do własnych celów jest Jacek Kurski. Specjalnie dla nich tak ułożył program telewizji rządowej, by „ciemny lud” to kupić. W ślad za Kurskim maszerują tabuny polityków, którzy mówią temu ludowi: jesteście tacy jak wy. Nie musicie mieć wiedzy. Wystarczy wasza wiara. Ta kościelna. A przede wszystkim wiara w Jarosława. Nowego lidera państwa. Bezcelnie wmawiają tym ludziom, że teraz to oni są nową elitą. I to działa. Bo co ta część ludu widzi? Widzi takich jak oni. I myśli sobie: jesteście tacy sami. Nie jesteście gorsi od tych polityków. Ani głupszy. Przecież mówimy i wyglądamy jak oni.

Ludzie co rusz słyszą, że celem polityki PiS jest zapewnienie Polakom takiego dobrobytu jak na Zachodzie. I widzą, że niemało polityków PiS już taki dobrobyt osiągnęło. A skoro tamci potrafili, to i przed nimi jest taka szansa. Są przecież nową elitą.

BAKOWSKI

ZAPISZ SIĘ DO
NEWSLETTERA

**ODBIERZ KOD
-10% NA ZAKUP
KSIĄŻEK**

sklep.tygodnikprzeklad.pl



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Co może proboszcz**
Kampania i kazania – PiS zdobywa wyborców w kościołach
- 10 Naród z Kościołem, Kościół z narodem**
Sojusz tronu i ołtarza kwitnie
- 14 Afera Banasia, czyli parę pytań do „pancernego Mariana”**
Wątpliwe interesy szefa NIK
- 16 PiS grzebie w zębach**
Opieka stomatologiczna dla uczniów
- 20 I tak zamiotą pod dywan**
Molestowanie seksualne na uczelniach
- 24 Mundurowi skarżą się na „dobrą zmianę”**
Raport posłanki Bożeny Kamińskiej
- 36 Ofiara kamiennych serc**
Dlaczego zginęła Barbara Blida
- 58 Czy każdy grzyb można polizać**
Rozmowa z Zofią Leszczyńską-Niziołek

HISTORIA

- 26 Dzień żałoby po powstaniu warszawskim**
Rocznica powstania powinna być obchodzona 2 października

ZAGRANICA

- 31 Wiatrowycz odszedł, ale jego zatrute dziedzictwo pozostało**
Dymisja szefa Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej
- 32 Iberyjski prymus**
Portugalia przed wyborami
- 44 Pięć wieków Hawany**
Eusebio Leal Spengler łączy Warszawę ze stolicą Kuby
- 46 Ameryka na bruku**
Biedni lokatorzy z Milwaukee

EKOLOGIA

- 42 Wypędzeni przez klimat**
1,5 mld uchodźców klimatycznych

OPINIE

- 50 Głosujcie na Lewicę**
Stanowisko Rady Stowarzyszenia „Kuznica”

KULTURA

- 51 Kroniki poznawania świata**
„Nowolipie” Józefa Hena
- 52 Culturalia**
- 66 Marabut. Nowy Świat**

ZDROWIE

- 54 Tętniak – bomba w głowie**
Długie kolejki do nowoczesnych operacji

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Dobrobyt dla swoich
- 19 Jan Widacki**
Przedwyborcza sałata
- 25 Roman Kurkiewicz**
Greta, ty czarownico!
- 35 Tomasz Jastrun**
Poślizg
- 41 Ludwik Stomma**
Wykleć, przekleć, ogłupiali
- 57 Edward Mikołajczyk**
Prztyczek w jądro

36

KRAJ

OFIARA KAMIENNYCH SERC

Dlaczego zginęła
Barbara Blida



WYPĘDZENI PRZEZ KLIMAT

1,5 mld uchodźców klimatycznych

42

EKOLOGIA



TĘTNIAK – BOMBA W GŁOWIE

Długie kolejki do nowoczesnych operacji

54

ZDROWIE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK LASZYK/REPORTER, BEATA ZAWRZEL/REPORTER,
AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA



Co się kryje w jogurtach owocowych

Gen. Stefan Grot-Rowecki
o przyczynach i winnych klęski wrześniowej

Prof. Stanisław Rakusa-Suszczewski:
Jak ratować lodowce Antarktydy?

✉ PiS przejmuje komisje wyborcze

Przed objęciem władzy w Polsce przez PiS ordynacja wyborcza zezwalała na zgłaszanie członków do komisji wyborczych partiom politycznym, które wystawiały listy kandydatów do Sejmu i Senatu. Według nowej ordynacji członków obwodowych komisji wyborczych mogą zgłaszać wszystkie komitety wyborcze, nawet te, które nie zarejestrowały list kandydatów do Sejmu i Senatu RP. W efekcie tego manewru komisje wyborcze zostały zdominowane przez członków i sympatyków PiS. W niektórych podwarszawskich gminach i miastach wygląda to następująco: na zarejestrowanych np. dziewięć komitetów sześć składa się z samych ludzi PiS, którzy zostali zgłoszeni przez następujące komitety wyborcze: KWW Wierni Bogu i Ojczyźnie, KW Konfederacja Wolność i Niepodległość, KW Jedność Narodu, KWW ROP, KW II Rzeczpospolita Polska i oczywiście KW PiS. Sama obecność tylu ludzi związanych z PiS w komisjach wyborczych sugeruje wyborcom głosowanie na jedynie słuszną partię. Skutkuje to również sytuacją przećwiczoną już w czasie wyborów do europarlamentu. Pisowcy w komisjach wyborczych, mając wgląd w listy wyborców, będą mogli w czasie przysługujących im przerw jeździć do rodzin, które jeszcze nie głosowały, i „zapraszać” do wzięcia udziału w wyborach. Oczywiście namawiając do głosowania na kandydatów PiS. Nie można z góry zakładać, że będą również fałszowali wybory, ale taka ich przewaga w komisjach wyborczych może to ułatwić.

Artur Kołowski, kandydat na posła do Sejmu RP z okręgu nr 20 (powiaty: grodziski, legionowski, nowodworski, otwocki, piaseczyński, pruszkowski, warszawski zachodni oraz wołomiński)

f Tchórzliwe tchudry

Moim sąsiadem przez wiele lat był starszy pan, który przeszedł całą szlak bojowy od Lenino do Berlina. Bardzo lubił opowiadać o czasach wojny. Jedno zdanie zapamiętałem: „Nie zdążyłem do Andersa”. Czy to była ich wina? Temu bydlakowi, który zniszczył pomnik Berlinga, niech ręka uschnie

Wojtek Szluga Giedrys

W normalnym kraju byłby zarzut zniszczenia mienia. U nas „bohaterowie” sfotografowali się jak zwycięzcy. I bardzo dobrze, będzie materiał dowodowy...

Mirek Nap

Należy ogłosić zbiórkę na odbudowę zniszczonego pomnika gen. Berlinga.

Zdzisław Panfil

f Czy jesteśmy bezradni wobec hejtu

Hejt to nie jest nic szczególnie nowego. To jest krzyk zamiast argumentów, wtedy gdy argumentów nie ma. To jest narzędzie walki politycznej, wtedy gdy chodzi nie o rozwiązanie problemu, a o zniszczenie przeciwnika. Gdy staje się powszechny, kończy się demokracja. Jesteśmy właśnie w takim okresie.

Adam Jaśkow



ZDJĘCIE TYGODNIA

Napięta sytuacja w kraju może doprowadzić do tragedii. Haitiński senator Jean Marie Ralph Féthière, otoczony przez manifestantów zranił dwie osoby, m.in. fotoreportera AP Chery Dieu-Nalio.



eprasa.pl ebdf2dd3f3



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Najlepsze posłanki i najlepsi posłowie tej kadencji to...

WOJCIECH SZACKI,
Polityka Insight

Pytanie jest ekstremalnie trudne, ponieważ byliśmy świadkami bodaj najgorszej jakościowo kadencji całego parlamentu w historii III RP. Jego rola została ograniczona do wymaganego przepisami minimum; skoro konstytucja przesądza, że ustawy przyjmuje Sejm, to je przyjmował, ale nic poza tym. Posłowie PiS podpisywali się nie pod konkretnymi projektami, lecz *in blanco*, na wypadek, gdyby trzeba było ekspresowo złożyć jakiś projekt. PiS znajdowało sadystyczną przyjemność w skracaniu debat i nocnych głosowaniach. Ustawy – nawet tak ważne jak o Sądzie Najwyższym – zawierały przepisy bublowate, a mimo to były uchwalane; były też wielokrotnie nowelizowane. Symbolem tej kadencji będą dla mnie marszałek Marek Kuchciński, który dbał głównie o karanie posłów opozycji, komfort swoich podróży do domu i utrudnianie pracy dziennikarzom, Krystyna Pawłowicz czy głosująca na dwie ręce Małgorzata Zwiercan. Po stronie opozycyjnej też nie obrodziły polityczne talenty. Kilko posłów miało jednak lepsze momenty. Wyróżniłbym Krzysztofa Breję za serię interpelacji w sprawie nagród dla ministrów oraz Sławomira Nitrasa, który

miał spory udział w dymisji Kuchcińskiego. Niestety, nie da się powiedzieć dużo więcej dobrego.

FILIP GOŁĘBIEWSKI,
Instytut Dyskursu i Dialogu

Trudno jest pozytywnie wyróżnić kogośkolwiek polityka w mijającej kadencji. Charakteryzowała się ona raczej obniżeniem standardów, zarówno w zakresie tworzenia prawa, jak i stylu debatowania. Znacznie łatwiej byłoby wybrać najgorszych posłów. Jednak z perspektywy Instytutu Dyskursu i Dialogu zadaniem polityków w parlamencie jest także prezentowanie kultury dialogu mimo różnic dzielących poszczególne ugrupowania. Według mnie w tym wymiarze pozytywnie wyróżnił się Stanisław Tysza, który zawsze starał się argumentować *ad rem* zamiast *ad personam*. Spokój i klasę starał się zachowywać również Michał Dworczyk.

AGATA SZCZĘŚNIAK,
OKO.press

Chciałabym wyróżnić kogoś, kto znalazł ponadpartyjne poparcie dla ważnej ustawy i przeprowadził ją przez parlament. Ale w tym Sejmie, który był maszynką do przegłosowywania projektów PiS, nie ma takiej

osoby. Był to także Sejm wybrakowany: bez posłów i posłanek lewicy. Z tymi zastrzeżeniami na zapamiętanie zasługują: Monika Rosa – konsekwentnie walczyła o prawa kobiet (ellaOne, dofinansowanie dla Centrum Praw Kobiet) i złożyła imponującą liczbę interpelacji; Joanna Scheuring-Wielgus – zaangażowana w protest opiekunek i opiekunów osób z niepełnosprawnościami, używała też immunitetu, by pomagać m.in. dziennikarzom; Katarzyna Lubnauer – jako pierwsza kobieta w historii polskiego parlamentaryzmu zawalczyła o władzę w partii, świetnie sobie radzi w TVP; Arkadiusz Myrcha – interweniował w sprawie specjalnego traktowania inicjatyw o Rydyzka.

WOJCIECH NOCKIEWICZ,
Czytelnik PRZEGŁĄDU

Ponieważ opozycja nie miała wielkich możliwości przeprowadzenia własnych inicjatyw, można wymienić posłów, którzy dali się zapamiętać z mównicy sejmowej pod względem umiejętności retorycznych: Michał Kamiński, Krzysztof Mieszkowski, Borys Budka, Kamila Gasiuk-Pihowicz. Specjalna nagroda dla posła Michała Szczerby za „panie marszałku kochany”.

Not. Michał Sobczyk



Jakub Dymek

Co może proboszcz

Kampania i kazania – PiS zdobywa wyborców w kościołach

Pewnego dnia roku pańskiego 2017 proboszcz jednej z parafii w południowej Polsce sięgnął po program telewizyjny, by zobaczyć, przy czym po tygodniu pełnym parafialnych obowiązków można by się zrelaksować. Gdy przeglądał propozycje poszczególnych stacji, jego oko zbłądziło na niepokojący tytuł – „Ida”. Oscarowy film Pawła Pawlikowskiego nie cieszył się poważaniem prawicowych komentatorów – chodziła za nim opinia dzieła antypolskiego, choć mało kto wdawał się w szczegóły, jak i dlaczego polski laureat filmowego Oscara miał być antypolski.

Nasz proboszcz postanowił interweniować – nie miał numeru telefonu do szefa tego konkretnego kanału Telewizji Polskiej, ale miał wspólnych pisowskich znajomych z Jackiem Kurskim, bez trudu więc zdobył numer do niego. I zatelefonował z interwencją: „Jak to mogło panu prezesowi umknąć?”. Potem poszło szybko, bo po telefonicznym kablu między piętrami i pokojami w gmachu przy ul. Woronicza. I choć zapowiedź „Idy” została już wydrukowana w programach, pracownicy odpowiedzialni za emisję jeszcze tego samego wieczoru podmieniali taśmy na inne.

Listy w wyborach samorządowych były de facto układane przez proboszczów – mówi polityk związany ze Zjednoczoną Prawicą.

To apokryficzna historia opowiedziana przez byłych i aktualnych pracowników TVP – nikt nie chce się podpisać pod nią nazwiskiem. Zresztą niewykluczone, że anegdota o księdzu ściągającym „Idę” z ramówki jednym telefonem jest w rzeczywistości kompilacją różnych wydarzeń z ostatnich lat. Ale nikt też nie mówi, że się nie wydarzyła. Bo każdy w Polsce wie, że są takie chwile, kiedy proboszcz znaczącej więcej niż premier.

Kościół popierany

Gdy wpisać w wyszukiwarkę zapytania związane z wpływem Kościoła na życie polityczne w Polsce, większość wyników zaprowadzi nas do raportów socjologów i ośrodków badania opinii publicznej. Lub też do kościelnych opracowań czy prac ba-

dawczych księży na papieskich uniwersytetach. Jedne i drugie mierzą się z problemem na poziomie teorii – spraw ustrojowych, ładu instytucjonalnego, realizowania bądź nie zapisów konkordatu. Autorzy większości publikacji zastanawiają się, czy Kościół może i powinien agitować w sprawach politycznych i wymuszać na funkcjonariuszach publicznych takie lub inne decyzje. Mniejszość stawia inne pytanie: jak się to dzieje.

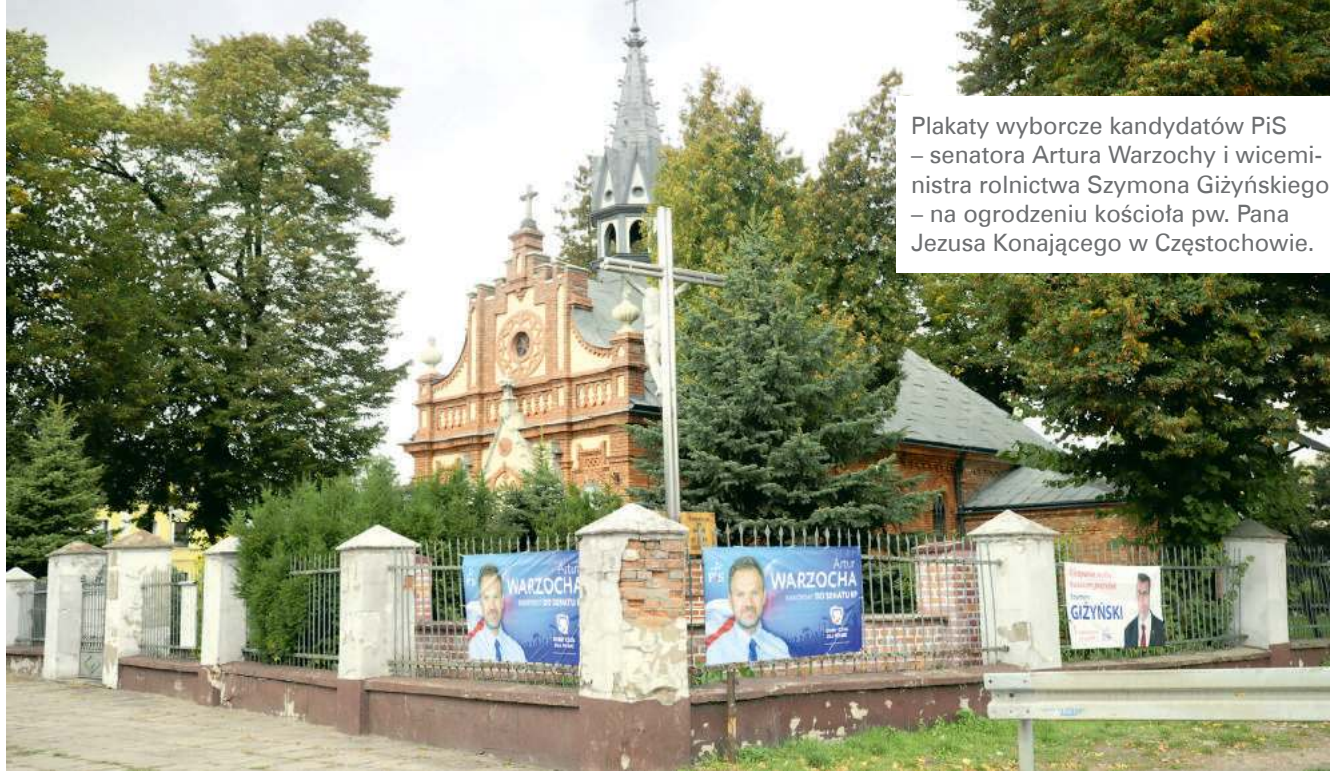
W Polsce, pisała socjolożka prof. Mirosława Grabowska, mamy model „Kościoła popieranego”, czyli sytuację, w której teoretycznie wszystkie związki wyznaniowe i religie traktowane są przez państwo z równym dystansem, a zasada rozdziału tego, co boskie, i tego, co cesarskie, obowiązuje. Ale w rzeczywistości „próbuję się jakoś oddać sprawiedliwość dominującej pozycji jednego wyznania i Kościoła, jego historycznym zasługom i społecznej roli”, pisze Grabowska. Czyli wśród równych jest

ży, jak głosować w wyborach. Tylko 12% z nas uważało, że nie ma niczego złego w nawoływaniu przez księży z ambony do głosowania. A jednak pozostałe 88% musi z tym żyć. Problem parafialnej agitacji na pewno bowiem nie maleje.

Plakatów cudowne rozmnożenie

„A kto to wita wiernych w kościele w Gawłowie?”, pytała redakcja portalu e-Sochaczew w 2015 r. Obok: zdjęcie skromniutko wówczas jeszcze uśmiechniętej Beaty Szydło, przyszłej premier. Szydło wisiła na kościelnym płocie, tuż przy furtce, tak że każdy wierny musiał niemalże się potknąć o kandydatkę PiS. Za to w Grajewie koło Łomży parafianka pisze na forum, że dzwoniła do kurii ze skargą, tam jej powiedzieli, że plakaty mogą wisieć, ale tylko za zgodą proboszcza. *Ergo*, proboszcz musiał zgodzić się na PiS na płocie. „Jak wam się nie podoba, to chodźcie do kościoła, gdzie proboszcz nie pozwala się ogłaszać na płotach. Ksiądz na pewno popiera PiS i ma rację. Biercie z niego przykład. Amen”, odpisuje jej na tym samym forum użytkownik Waldi. Bardzo podobnie odpowiedział dziennikarzom portalu Gazeta.pl proboszcz z Radomia, na którego kościelnym płocie wisiły plakaty Andrzeja Dudy: „No to co? Jak komuś przeszkadzają, to jego problem”. To był rok 2015 i gdy porównać zdjęcia z poprzedniej, pierwszej zwycięskiej dla PiS, kampanii z sytuacją dzisiejszą, widać, że trend jest coraz silniejszy.

W Konstantynowie Łódzkim przed wyborami do Parlamentu Europejskiego plakaty wszystkich trzech kandydatów PiS – co pokazywał opublikowany przez „Dziennik Łódzki” filmik – wisiły rzędem, jeden za drugim. Proboszcz zastonił się niewiedzą. Jak informował portal OKO.press, Patryk Jaki w tej kampanii nie tylko prezentował się przy kościołach, ale i proboszczowie (jak to było np. w Dąbrowie Tarnowskiej)



Plakaty wyborcze kandydatów PiS – senatora Artura Warzochy i wiceministra rolnictwa Szymona Giżyńskiego – na ogrodzeniu kościoła pw. Pana Jezusa Konającego w Częstochowie.

zapraszali w ogłoszeniach parafialnych na spotkanie z politykiem Solidarnej Polski. Księża byli gościnni również wobec innych kandydatów obozu Prawa i Sprawiedliwości i w wyborach samorządowych, i do Parlamentu Europejskiego: spotkania w przykościelnych salkach, domach modlitwy i innych parafialnych lokalach odbywali m.in. Joanna Lichocka, Stanisław Piotrowicz, Jacek Sasin, Beata Szydło i Stanisław Karczewski.

Teraz „Gazeta Wyborcza” donosi wręcz o „parafiach pod wezwaniem PiS”. Rekordowa może się pochwalić ośmioma plakatami wyborczymi (dla ścisłości należy dodać, że wiszą one nie na kościele, lecz na „ogrodzeniu domu zakonnego”). W łódzkiej katedrze leżały ulotki Waldemara Budy, wiceministra inwestycji i rozwoju.

Parafrazując więc proboszcza z Radomia, należy w tym momencie zapytać: „No i co za problem?”. Wszystkie te działania są bowiem (w teorii) legalne. Jak to możliwe?

Bóg zapłać

Wbrew rozpowszechnionej opinii prowadzenie kampanii wyborczej i agitacja polityczna w kościołach nie są zabronione. Propozycję wprowadzenia do polskiego prawa takiego zakazu zgłoszono już w 1991 r. i wówczas ją odrzucono. Tak zostało do dziś. Ostatnią próbę wprowadzenia do kodeksu wyborczego zakazu prowadzenia kampanii w kościołach,

podjął przed ponad pięciu laty SLD, a poparła PO, po czym projekt ugrzązł w sejmowej „zamrażarce”.

Można więc wieszać plakaty na płotach kościołów – jak konsekwentnie robią to kandydaci PiS – ale z pewnymi ograniczeniami. Na przykład gdy obiekt wpisany jest do rejestru zabytków lub znajduje się na terenie objętym ochroną przez urząd konserwatora. Jest rzecz jasna warunek: według kodeksu tylko osoby fizyczne mogą wywieszać materiały wyborcze nieodpłatnie. Kościół powinien mieć umowę i otrzymać choćby symboliczną zapłatę od komitetów wyborczych. Czy takie umowy istnieją i czy każdorazowo kandydaci

przez Państwową Komisję Wyborczą sprawców podobnego naruszenia. A to dlatego, że wszystko ostatecznie zależy od dobrej woli proboszcza. Jeśli się zgodził, to i umowa się znajdzie. Gdyby zaś stwierdził, że się nie zgodził, to ewentualna kara i konieczność ściągania materiałów na własny koszt spada na komitet. I tu koło się zamyka – ostatecznie „u proboszcza” i tak reklamują się ci, którzy mogą liczyć na jego przychylność. I, można się domyślać, spory pozaregulaminowy rabat – aż do 100%.

Kary? Pewien ksiądz w Tarnowie wymienił z nazwiska kandydata na prezydenta miasta i w trakcie mszy

Proboszczowie, dzięki temu że PiS rządzi i walczy o reelekcję, mają największy wpływ na politykę od lat.

dochowują formalności? Zgadnąć, że jest z tym różnie, można już po samych wypowiedziach zainteresowanych: albo nie wiedzą, albo „ksiądz pozwolił”. Proboszczowie również sięgają po te same dwie odpowiedzi: albo „pozwolili” na plakaty i problemu nie ma, albo „nie wiedzieli” i (z ich strony) problemu też nie ma.

Gdyby więc trzymać się litery prawa, to każdorazowo – ilekroć ktoś powiesi na kościelnym płocie plakat lub udostępniony mu zostanie bez umowy lokal na prowadzenie kampanii – można by mówić o naruszeniu kodeksu. W realu... cóż – nie sposób odszukać przypadku ukarania

świętej nakazał na niego głosować. Gdy powiadomiono o tym biskupa, ten przez swojego rzecznika powiedział mediom, że „nie powinno do tego dojść”. Ksiądz został wezwany na rozmowę dyscyplinującą. Co jednak ciekawe, w jego gablocie parafialnej znaleziono odezwę wyborczą: „Za tydzień wybory. Głosujmy zgodnie z sumieniem. Jednak popieranie wrogów Ojczyzny i Kościoła jest poważnym nieporządkiem moralnym”. To ogłoszenie nie podlega już naganie, bo nie zawiera żadnych nazwisk, a jedynie „dosadne podteksty” (*sic!*), tłumaczył rzecznik biskupa. Kto jest wrogiem ojczyzny i Kościoła, łatwo można

▶ odgadnąć drogą eliminacji, skoro na pewno nie jest nim PiS ani popierany przez rządzącą partię kandydat.

W ostatnich wyborach, na wiosnę, głośno było właściwie tylko o jednym księdzu, który dostał więcej niż naganę – w Puszczykowie w niedzielę wyborczą ksiądz agitował: „Głosujcie na PiS albo Marka Jurka”. O złamaniu ciszy wyborczej powiadomiono policję i za to wykroczenie księdzu grozi mandat.

Wybory warte mszy

W wielu regionach mniej zamożne komitety lub kandydaci z odległych miejsc na listach nie mają komfortu wybierania przestrzeni, w której będą się reklamować. W ostatnich wyborach samorządowych nawet w dużych miastach i olbrzymich okręgach kandydaci dostawali czasem symboliczne wręcz kwoty na promocję. Nie trzeba więc tłumaczyć, jak wiele może znaczyć możliwość wywieszenia swojego plakatu, spotkania z wyborcami i przychylność księdza. W dużych miastach nie zdajemy sobie sprawy, że są miejsca, gdzie głos proboszcza jest ważniejszy niż cokolwiek, co mówi radio i telewizja. „To wszechmogący i jedyny arbiter moralności w rzeczywistości powiatowej – mówi opozycyjna kandydatka do Sejmu. – Jeden z 10 tys. w Polsce, z których każdy coś wyborczo »wywiesza«, nawet jeśli nie dosłownie”. I to „dosłownie” jest ważne – bo rzeczywiście księża na prowincji nie muszą mówić wprost, kogo popierają.

Co znaczy poparcie jednego proboszcza? – zapyta ktoś. Wbrew pozorom czasem naprawdę wszystko. „Mało kto chce o tym mówić, ale listy w wyborach samorządowych były *de facto* układane przez proboszczów – mówi polityk z południa Polski związany ze Zjednoczoną Prawicą. – Były miejsca, gdzie okręgi wyborcze pokrywały się z parafiami, tam proboszcz miał najwięcej do powiedzenia o tym, kogo nie chce, kto nie może być partyjną jedynką itd. Nawet jeśli to było tylko proboszczowskie *veto*, to ono ustawało całe wyborcze domino – wiadomo było, komu trzeba w kampanii pomóc, a komu lepiej nie, dla kogo zbierać podpisy, do czyjego sztabu oddelegować wolontariuszy z parafii itd. Czasem jeden drobny gest wystarczy, by dyskretnie, acz definitywnie wskazać faworyta

i go namaścić. A w małych społecznościach nie brakuje sposobów, by taki czytelny sygnał wysłać”.

Wybory samorządowe otwierały elektoralny trójbój: po nich były europejskie, a teraz idą parlamentarne. Jeśli więc ktoś dostał po nosie na początku, dziś może nie kandydować już wcale. Bo skoro nie sprawdził się w samorządowych, to może lepiej by i cały cykl przesiedziać na ławce. Historie polityków, którzy w swoim własnym okręgu mają konflikt z proboszczem, są rzadkie, bo często ci ludzie w ogóle do krajowej polityki nie trafiają.

Oczywiście bywają kandydaci tak silni swoją popularnością bądź pozycją w partii, że nie muszą się martwić o mandat. Ale mądry polityk dmucha na zimne – dziś nawet premier (pisaaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE dwa tygodnie temu) nie odpuszcza żadnego kościelnego święta ani niedzieli w swoim okręgu. Bo i po co?

Gra o tron (i ołtarz)

Polityczna rola Kościoła nigdy nie była akceptowana. Ten trend wręcz się zaostrza. Dominująca postawa społeczna jest taka: Kościołowi w polityce mówimy nie – tłumaczyła przed poprzednią kampanią parlamentarną cytowana już prof. Grabowska. „Ksiądz lub świecki katolik wypowiadający się na tematy moralne w sprawach publicznych – proszę bardzo. Natomiast ksiądz aktywny politycznie, agitujący w kampanii wyborczej – nie”.

Statystyki są jasne, rzeczywistość jednak skrzeczy. Mimo rosnącej niezgody Polaków na otwartą kościelną agitację, jest jej nie mniej, ale więcej. Księża częściej – a przykład idzie z góry – angażują się w kampanię. Proboszczowie, dzięki temu że PiS rządzi i walczy o reelekcję, mają największy wpływ na politykę od lat. Kościół doskonale wie, że doraźnie może na tym stracić. Choćby ostatnie badania „Polityczny cynizm Polaków” pokazały, że PiS nie traci na swoich związkach z Kościołem, ten zaś stawia na szali swój autorytet i jest przez wyborców oceniany surowiej.

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że to decyzja nieprzemysłana, przypadkowa i szkodliwa. Kościół w Polsce ma wszak tysiąc lat doświadczenia w grze z władzą. Ci, którzy postanowili prowadzić kampanię z i dla PiS, wiedzą, co robią.

Jakub Dymek

Robert Walenciak

Idą ręka w rękę. I na górze, i na dole. Na górze Jarosław Kaczyński idzie razem z arcybiskupem Jędraszewskim, ojcem dyrektorem Rydzykiem i z arcybiskupem Głodziem.

Na dole proboszczowie wspierają posłów, polityków PiS. Zapraszają ich przed ołtarze. Marek Suski czyta w kościele list premiera Morawieckiego, z ambony przemawia Ryszard Czarnecki, w kościelnych ławach rozdawane są partyjne ulotki.

Sojusz tronu i ołtarza kwitnie.

O co tu chodzi? Na czym ten sojusz się opiera? Kto komu świadczy usługi? Jaką walutą tu się płaci?

Zacznijmy od góry

Na samej górze mamy wspólne msze i wspólne śpiewanie. Podczas uroczystości Radia Maryja Mateusz Morawiecki trzymał za rękę o. Rydzyka i pisał z nim w jednym rytmie. Podobnie pód jego rządu. Ministrowie tańczyli, jak im kościelny chór śpiewał.

Ale wspólnota nie polega tylko na pisanii. To także wspólna walka.

„Czerwona zaraza już po naszej ziemi całe szczęście nie chodzi, co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie marksistowska, bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha, neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęczowa” – to słowa abp. Marka Jędraszewskiego wypowiedziane podczas mszy w rocznicę powstania warszawskiego. Wynika z tego, że Kościół ma wroga, z którym walczy. Zawsze zresztą wroga sobie szukał. Byli innowiercy, masoni, komuniści, ateści, w najnowszych czasach – *homo sovieticus*, potem gender, a teraz LGBT. Gender nie chwycił, ludzie nie za bardzo wiedzieli, o co chodzi, ale gdy słyszą o całujących się na ulicach facetach – to ich rusza. Dlatego nimi biskupi straszą, z nimi chcą prowadzić wojnę. Bo wojna zwalnia z innych problemów, z niczego nie trzeba się tłumaczyć.

Tym samym tonem mówi Jarosław Kaczyński. Oto jego słowa: „Ruch LGBT i gender zagrażają naszej tożsamości, zagrażają naszemu narodowi, zagrażają polskiemu państwu. Niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący, czy nie, musi akcep-

Naród z Kościołem, Kościół z narodem

Nie ma dnia bez spotkań kandydatów PiS w parafiach. Albo agitacji księży za PiS



Posłanka Krystyna Pawłowicz i poseł Bartosz Kownacki na spotkaniu w oratorium przy kościele Jezuitów w Bydgoszczy.

tować chrześcijaństwo, bo polska kultura wyrosła z chrześcijaństwa, nie ma innego powszechnie znanego systemu wartości niż ten, który wyrasta z chrześcijaństwa. Jego głosiicielem i dzierżycielem jest Kościół katolicki. Kwestionowanie pozycji Kościoła katolickiego w Polsce ma charakter niepatriotyczny. Niezależnie od osobistej wiary”.

Oto więc krótki wykład, niczym „czerwona książeczka”. Naród z Kościołem, Kościół z narodem, kto myśli inaczej, jest gorszym sortem, poza wspólnotą, której zagrażają obcy, teraz także LGBT i inne zachodnie nowinki. Kaczyński to mówi, a biskupom w to graj. We Włocławku tamtejszy biskup, Wiesław Mering, tak się do niego zwracał: „Bardzo bym chciał, panie premierze, żeby czuł się pan tu, między nami, człowiekiem nie tylko akceptowanym, ale podziwianym. Jesteśmy wdzięczni za wszystko, co pan robi i robił dla Polski – razem ze swoim bratem prof. Lechem Kaczyńskim. Pańskie sukcesy są naszymi sukcesami”.

I dodał, że „jest czymś zupełnie naturalnym wspieranie Jarosława Kaczyńskiego w wysiłkach, które mają na celu zrealizowanie wizji państwa i ojczyzny tak bliskiej obu braciom. Niech Bóg pozwoli nam zrealizować te wizje, te zamiary, które uważamy za najważniejsze dla naszej ojczyzny”.

Na dole jest jeszcze serdeczniej

Co prawda prymas Polski Wojciech Polak zdążył powiedzieć, że „plakaty wyborcze na kościołach nie powinny być wieszane”, a rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ks. Paweł Rytel-Andrianik przypomniał, że „zgodnie z prawem kościelnym ambona jest miejscem głoszenia Ewangelii i przekazywania nauczania Kościoła katolickiego. Wykorzystywanie jej do innych celów jest nadużyciem”, ale rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Nie ma dnia, by media nie opisywały spotkań kandydatów PiS w parafiach. Albo agitujących za PiS księży. Spotkania odbywają się w budynkach parafialnych, przed kościołami, wśród

banerów kandydatów PiS. W miastach i miasteczkach.

„Tęczowe LGBT jest tak naprawdę nowym wcieleniem czerwonej flagi rewolucyjnej” – takie rzeczy opowiadał podczas spotkania w przyparafialnej sali na warszawskich Jelonkach minister Piotr Naimski.

Duchowni nierzadko otwarcie wspierają swoich faworytów. „Gazeta Wyborcza” cytowała niedawno jednego z nich, ks. Eugeniusza Szymańskiego z Lublina. „Jedyną realną siłą, która w swoim programie w dużej mierze uwzględnia katolicką naukę społeczną i historię naszego narodu, jest Prawo i Sprawiedliwość”, mówił ksiądz. Podobnie mówią inni.

Czy to zaskakuje?

Nie do końca, bo Kościół jest obecny w polskiej polityce od lat. Początkowo, jeszcze w latach 80., miał być siłą pośredniczącą, sprzyjającą rozmowom, porozumieniu władzy i opozycji. Później, w III RP, poczuł swoją siłę i krok po kroku powiększał zakres wpływów.

Tę siłę doskonale widzieli politycy. I w rozmaity sposób próbowali wkraść się w łaski hierarchów. Nieprzypadkowo to Platforma Obywatelska była pierwszą partią, której liderzy jeździli na partyjne rekolekcje. I z dumą mówili, że są „Kościółem tagienickim”. Na niewiele im się to zdało. Dziś hierarchowie traktują PO jak powietrze. Dziś polski Kościół jest z PiS.

Dlaczego tak łatwo do tego doszło?

Jeden naród, jeden Kościół, jedna partia, jedna kasa

Tak wygląda model państwa, który zaproponował Jarosław Kaczyński. I ten model i biskupi, i proboszczowie przyjęli za swój. *Deal* został zawarty.

Dlaczego tak sprawnie? Bo ten układ pasuje i jednym, i drugim. Choć wcześniej bywało różnie. Jarosław Kaczyński, gdy zaczynał polityczną działalność, zachowywał wobec Kościoła sceptycyzm. O ZChN mówił, że to najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski. Ojca Rydyzka podejrzewał o związki z Rosją. Cóż więc się stało, że dziś jest pierwszym sojusznikiem Radia Maryja, a w podkreślaniu roli Kościoła w życiu Polski dawno przebił ZChN?

Na pewno o tej przemianie zdecydowała polityczna kalkulacja. Racją stanu PiS jest niedopuszczenie do

► tego, by na prawo od tego ugrupowania powstała jakaś polityczna siła. Bo byłaby realną konkurencją. Dlatego Kaczyński musiał zablokować wszelkie tego typu ruchy.

Co ważne, związki z Kościołem dają mu siłę. Dają mu żelazny elektorat. Sieć parafii jest w zasadzie jedyną siecią w Polsce, dzięki której może docierać z przekazem do milionów. I regularnie z nimi pracować. Kościół ma także swoje media, niezależne od mediów establishmentowych. A w czasach kampanii wyborczej jest to znakomite miejsce do politycznej agitacji.

Pytanie tylko, dlaczego Kościół tak łatwo się zgodził na sojusz z Kaczyńskim. Jakkolwiek by liczyć, PiS jest w społeczeństwie mniejszością, więc tak jawne poparcie jednej partii oznacza, że zwolennicy innych ugrupowań zaczęli traktować duchownych jako agitatorów. Lub wręcz jako ludzi sobie wrogich. Czy jest więc w interesie Kościoła wiązanie się tylko z jedną partią? Zamykanie się na większość?

Dziś hierarchowie traktują Platformę jak powietrze. Polski Kościół jest dziś z PiS.

Okazuje się, że tak. Po pierwsze, Kościół słabnie. Liczba *dominicanos*, czyli Polaków uczęszczających na niedzielą mszę, regularnie maleje. Kościół potrzebuje więc pomocy państwa, by ten proces zatrzymać. Jest tajemnicą poliszynela, że wprowadzenie zakazu handlu w niedzielę odbyło się z inspiracji hierarchów, zaniepokojonych tym, że niedzielnym mszom wyrosła konkurencja – galerie handlowe. PiS stosowną ustawę więc przeprowadził. Czy zatrzymało to proces wyłudniania się kościołów? Tego jeszcze nie wiemy.

Walka hierarchów z galeriami handlowymi to symbol ich walki z Zachodem, z przemianami ostatnich kilkunastu, kilkadziesiąt lat. Patrząc na pustoszące kościoły, biskupi wyciągnęli najprostszy wniosek – szukają pomocy państwa, by zatrzymać tę falę. Falę, która – tak oceniają – jest efektem zmniejszania się różnic między Wschodem a Zachodem. Symbolem Zachodu, tego, co może nastąpić i u nas, są Irlandia, jeszcze kilkanaście lat temu katolicka, dziś laicka, czy Holandia, gdzie kościoły zamieniono w mieszkania, sklepy, galerie. Dla polskiego kleru wrogiem

jest więc liberalny, zlaicyzowany Zachód. To, że przynosi do Polski cywilizacyjne zmiany, pomyślność dla milionów, dla kleru jest sprawą drugorzędną. Bo co im po pomyślności narodu, skoro oni odsuwani są na trzeci plan, skoro do kościołów przychodzi coraz mniej wiernych?

Swego czasu ZChN-owski wicepremier Henryk Goryszewski powiedział: „Nie jest ważne, czy w Polsce będzie kapitalizm, wolność słowa, czy w Polsce będzie dobrobyt – najważniejsze, aby Polska była katolicka”. I to jest ten program na dziś. On determinuje zachowania i biskupów, i proboszczów. Bo oni kierują się w pierwszej kolejności swoim interesem, pożytkiem swojej instytucji.

Po drugie, wiedząc to wszystko, Kaczyński ograł biskupów. Do tej pory Kościół brał, ale nie kwitował. Miał swoje sympatie, ale starał się utrzymywać do polityków równy dystans. Żeby na każdego mieć wpływ i z każdym robić interesy. Ten model

stosunków państwo-Kościół Kaczyński obalił. Zbudował model państwa, w którym Kościół jest instytucją uprzywilejowaną jako nosiciel wartości moralnych i narodowych. Dał więc Kościołowi, ile mógł, i ogłosił się jego obrońcą.

Postąpił więc podobnie jak z milionami ludzi niezamożnych. Dał im 500+ i zaczął straszyć, że przyjdzie Platforma i te pieniądze zabierze.

W III RP biskupi mieli pozycję samodzielną, nadrzędną. Negocjowali z państwem różne rzeczy, zyskując kolejne przywileje w zamian za poparcie lub neutralność. Ale jak można negocjować, gdy druga strona daje wszystko? Tylko że w tym modelu jest pułapka. Bo biskupi nie traktują już Kaczyńskiego jako człowieka, z którym robi się interesy. Uważają go za swojego obrońcę. Nie negocjują z nim, tylko go wspomagają.

A niektórzy się go boją. Bo pamiętają historię abp. Stanisława Wielgusa, który po parunastu godzinach musiał zrezygnować z metropolii warszawskiej. Bo na stół rzucono jego teczkę z okresu współpracy z SB. Potem, po odejściu Wielgusa, prezydent Lech Kaczyński dzwonił z gratulacjami

do redaktora naczelnego „Gazety Polskiej”, która te teckę ujawniła. To pokazuje metodę kija i marchewki, jaką szef PiS zastosował wobec hierarchów.

A przyszło mu to łatwo, gdyż ta marchewka okazała się całkiem okazała. Za rządów PiS transfery państwo-Kościół osiągnęły rekordowe rozmiary.

Ile rocznie Kościół dostaje?

Odpowiedź na to pytanie może się opierać tylko na danych szacunkowych. A i tak są to wielkości olbrzymie. Niektórzy oceniają wręcz, że rocznie Kościół otrzymuje od państwa 16 mld zł. Na tę sumę składają się transfery pieniężne, pensje, ale i podatkowe umorzenia.

Najłatwiej w tym rachunku wskazać na pensje, które państwo wypłaca katechetom. Jest to ok. 1,2 mld zł rocznie. Za te pieniądze uczniowie w szkołach mają dwie lekcje religii tygodniowo, a np. chemii – jedną.

Państwo łoży też na działalność edukacyjną Kościoła katolickiego. To ok. 0,5 mld zł rocznie dotacji na prowadzone przez Kościół szkoły wyższe i inne placówki oświatowe.

Jest też Fundusz Kościelny, który pochłania 159 mln zł. Teoretycznie to jedna z mniejszych pozycji. Ale na pewno jedna z najbardziej kontrowersyjnych. Fundusz został utworzony w latach 50. ubiegłego wieku jako rekompensata za nieruchomości, które państwo odebrało Kościołowi. Z funduszu regulowane były składki emerytalne księży.

Po roku 1989 nastąpiła akcja zwrotu Kościołowi nieruchomości, która niespodziewanie przybrała potężne rozmiary. W ramach zadocuczynienia przekazano organizacjom religijnym nieruchomości o powierzchni ponad 150 tys. ha. Wśród nich ponad 700 nieruchomości zabudowanych. Zwracano nawet budynki czy inne dobra, które Kościół utracił przed I wojną światową!

W sumie przez ok. 20 lat działalności komisja majątkowa przekazała Kościołowi katolickiemu majątek wartości ok. 5 mld zł oraz rekompensatę i odszkodowania w wysokości 143,5 mln zł. A Fundusz Kościelny istnieje nadal. I wciąż się zwiększa. Jeśli w czasach PO-PSL pochłaniał on ok. 100 mln zł rocznie, to dziś o 50%



Na ingresie abp. Marka Jędraszewskiego obecna była cała czołówka PiS z Jarosławem Kaczyńskim, Joachimem Brudzińskim, Ryszardem Terleckim, Mariuszem Błaszczakiem oraz marszałkiem Senatu Stanisławem Karczewskim.

więcej. Dlaczego? Oficjalnie dlatego, że PiS wkłada do niego środki przeznaczone na remonty świątyń.

Kolejnym przychodem Kościoła, nad którym państwo nie ma kontroli, są pieniądze z tacy i za posługi religijne. Te środki są nieopodatkowane, duchowni, w przeciwieństwie choćby do lekarzy, są uprzywilejowaną grupą społeczną.

Dochody te są oczywiście trudne do oszacowania. Biorąc pod uwagę liczbę proboszczów i wikariuszy, portal Money.pl przyjął, że ich roczne dochody „z tacy i co łaska” to prawie 1,23 mld zł rocznie. Oczywiście są one zróżnicowane w zależności od parafii. W tych małych, wiejskich, sięgają kilkudziesięciu tysięcy, w największych, miejskich, przekraczają 400 tys. zł.

Księża nie rozliczają się z tych pieniędzy z państwem, za to płacą kwartalny podatek zryczałtowany. Jego wysokość zależy od liczby osób mieszkających na terenie parafii. I wynosi on, zależnie od wielkości miejscowości, od 384 do 1374 zł dla proboszczów, średnio – 879 zł. Wikariusze płacą od 242 do 446 zł, czyli średnio 344 zł. Wszyscy księża wnoszą więc 63 mln zryczałtowanego podatku rocznie. Gdyby zaś duchownych objęto powszechnie obowiązującym podatkiem PIT, od swoich dochodów musieliby zapłacić 233 mln zł. Tak więc państwo rozliczając ich w preferencyjny sposób, *de facto* funduje Kościołowi

swoistą ulgę podatkową w wysokości 170 mln zł rocznie.

Kościoty są też zwolnione z podatków lokalnych i od nieruchomości. Ponadto duchowni nie płacą podatków od czynności cywilnoprawnych, od spadków i darowizn, są też zwolnieni z opłat celnych.

Państwo za to finansuje pensje kapelanów i duchownych w wojsku, policji, straży granicznej, więzieniach, straży pożarnej, a nawet w urzędach skarbowych. To wszystko kosztuje rocznie 21-25 mln zł.

Kościół jest też największym po skarbie państwa posiadaczem ziemskim w Polsce, dysponuje nieruchomościami o powierzchni 138 211 ha (dane z roku 2014 r.), czyli ok. 0,44% całej powierzchni Polski.

Kaczyński ograł biskupów. Do czasów PiS Kościół brał, ale nie kwitował.

Mając taki majątek, można go pomnażać, korzystając z pomocy tak poniewieranej z ambon Brukseli. Unijne pieniądze Kościół dostaje na remonty, renowacje, przebudowy i modernizacje obiektów sakralnych, a także na dopłaty do uprawianej ziemi. Kościoły realizują teraz inwestycje, których wartość przekracza 1 mld zł, z czego ok. 700 mln zł wyłożyła Bruksela w ramach programu „Kapitał ludzki” i unijnych programów regionalnych.

Rekordzistą w takim pozyskiwaniu pieniędzy jest prawdopodobnie Instytut Teologiczno-Pastoralny im. św. Józefa Sebastiana Pelczara w Rzeszowie. Dostał ponad 44 mln zł na budowę swojej siedziby. Z kolei ojcowie paulini z Jasnej Góry otrzymali ponad 25 mln zł na remont bazyliki w swoim klasztorze.

Mamy więc system, w którym państwo oferuje Kościołowi wszelkie ulgi, a z drugiej strony dopłaca do jego działalności. Ale to nie koniec, bo pieniądze płyną strumieniem także w inny sposób.

Bezpośrednio do zakonów i do parafii

Spójrzmy na dochody imperium o. Rydzyka, głównego sojusznika PiS. Od kiedy PiS doszło do władzy, z budżetu państwa przez fundacje redemptorysty – według wyliczeń portalu OKO.press – przeszło już ponad 214 mln zł. Płacą ministerstwa, państwowe instytucje i spółki skarbu państwa. Na geotermię, na szkołę wyższą, na muzeum...

Na liście darczyńców znajduje się choćby państwowy Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Instytucja przeznaczyła 19,5 mln zł z unijnych funduszy na geotermię o. Rydzyka. To jedna ze sztandarowych inwestycji ojca dyrektora i jedna z najbardziej podejrzanych. Bo wiadomo, że solanka, którą zamierza tłoczyć na ogrzanie Torunia, ma zbyt niską temperaturę.

Drugą wielką inwestycją jest muzeum Pamięć i Tożsamość. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przeznaczyło na tę placówkę 117 mln zł. Hojne też

okazały się władze Torunia, które za 120 tys. zł. ofiarowały muzeum dwie działki o łącznej wartości 2,4 mln zł.

Na liście darczyńcy (w sumie 40 pozycji), którą ujawniają media, jako darczyńcy widnieją także: Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Sprawiedliwości (szkoła Rydzyka wygrała wart 3 mln zł konkurs na szkolenie medialne dla pracowników wymiaru sprawiedliwości), ▶

► Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju, a nawet Ministerstwo Zdrowia.

Hojni są także samorządowcy. I to niezależnie od barw partyjnych. We Wrocławiu każda z parafii otrzymała po 15 ha ziemi (na czym skorzystał Mateusz Morawiecki, kupując za bezcen ziemię wartą dziś miliony). W Szczecinie radni ofiarowali parafii działkę wartą 1,5 mln zł za 3,5 tys. zł. W Toruniu radni zgodzili się na to, aby miasto przekazało nowo powstałej parafii św. Andrzeja Apostoła niemal hektarową działkę pod budowę kościoła, stosując 99-procentową bonifikatę.

Kościół jest więc największym wygranym III RP. Bo otrzymał wielkie pieniądze i szczególną pozycję w państwie.

Wie także, że nigdy nie dostanie więcej i że będzie musiał oddać przynajmniej część tego, co wziął. Dlatego się broni, przedstawiając się jako ofiara prześladowań, szukając wrogów, bo w ten sposób można mobilizować wiernych, i zawierając sojusze, żeby mieć wpływ na państwo i jego instytucje.

To jest ta gra.

Robert Walenciak

STANOWISKO ZARZĄDU KRAJOWEGO UNII PRACY



Po spotkaniach przewodniczącego Unii Pracy Waldemara Witkowskiego z przewodniczącym SLD Włodzimierzem Czarzastym oraz sekretarza generalnego UP z Robertem Biedroniem (Wiosna), Włodzimierzem Czarzastym (SLD) i Adrianem Zandbergiem (Lewica Razem) Zarząd Krajowy Unii Pracy wyraża rozczarowanie i dezaprobatę w stosunku do decyzji podjętych przez liderów

tych partii. A w szczególności do decyzji o starcie na listach Komitetu Wyborczego SLD i kształcie tych list.

W programie wyborczym tych partii nie znalazły się też nasze postulaty programowe:

- człowiek ważniejszy od kapitału,
- środowisko ważniejsze od biznesu,
- Unia Europejska ważniejsza od USA.

Unia Pracy nie będzie wspierać porozumienia wyborczego Wiosny, SLD i Lewicy Razem, ponieważ wbrew swoim zapowiedziom i publicznym deklaracjom liderzy tych partii w sposób autokratyczny ułożyli listy wyborcze i nie otworzyli się na partnerską współpracę z innymi organizacjami lewicowymi.

Została zaprzepaszczonego wyjątkowa szansa utworzenia szerokiej lewicowej koalicji, w której znalazłyby się na warunkach partnerskich wszystkie partie i organizacje społeczne definiujące się jako lewicowe. Podjęte decyzje reaktywują prymat SLD na lewicy, służą likwidacji różnorodności i w konsekwencji doprowadzą do marginalizacji pozostałych ugrupowań lewicowych. Ubolewamy, że liderzy partii tworzących porozumienie wyborcze nie spostulali potrzebom i możliwościom rzeczywistego zjednoczenia całej polskiej lewicy.

Wielokrotnie deklarowany i zapowiadany przez przywódców głównych partii opozycyjnych pakt senacki w wielu województwach i okręgach wyborczych okazał się fikcją. W dalszym ciągu w wyborach do Senatu RP Polacy są skazani na duopol PO-PiS, a sympatycy lewicy nie mają na kogo głosować. Za niepokojącą sytuację polityczną przed październikowymi wyborami parlamentarnymi po stronie demokratycznych sił opozycyjnych w Polsce odpowiedzialni są Grzegorz Schetyna z PO, Włodzimierz Czarzasty z SLD i Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL. Ich działalność przyczynia się do umacniania autorytarnych rządów PiS.

Członkowie Unii Pracy mający poważny dorobek i doświadczenie w działalności politycznej i społecznej oraz cieszący się znaczącym poparciem społecznym w swoich środowiskach nie znajdują się na listach wyborczych SLD. Mamy jednak nadzieję, że zarówno oni, jak i liczni nasi sympatycy znajdą na nich wiarygodnych kandydatów, na których będą mogli oddać swój głos.

Życzymy lewicowym koleżankom i kolegom sukcesów wyborczych. Apelujemy do wszystkich członków i sympatyków Unii Pracy o masowy udział w wyborach parlamentarnych 13 października 2019 r.

Przewodniczący Unii Pracy Waldemar Witkowski
Sekretarz Generalny Unii Pracy Grzegorz Andrzej Niski

Robert Walenciak

Marian Banaś, wierny druh Jarosława Kaczyńskiego, prezes Najwyższej Izby Kontroli, wcześniej szef Krajowej Administracji Skarbowej, wiceminister i minister finansów w rządzie Morawieckiego, został złapany za rękę. Przez stację TVN.

Wszyscy, którzy choć trochę interesują się polityką, sprawę znają. W kamienicy, której był właścicielem, wynajmowano pokoje na godziny. Krakowskie prostytutki przyprowadzały tam swoich klientów. Przyjmował ich, jako recepcjonista, obwieszony złotymi łańcuchami znany krakowski gangster.

– To jest niebezpieczny bandyta, to jest sutener, który popełniał przestępstwa gangsterskie – mówił o nim autor reportażu Bertold Kittel.

Miał on numer telefonu „do Banaś” i dzwonił do niego jak do kumpla, co zostało uwiecznione przez kamerę.

Sprawa jest więc dla Mariana Banaśa kompromitująca. Ale to jeszcze nic, bo od czasu emisji programu w TVN pojawiają się kolejne pytania. I wychodzą na jaw kolejne skandaliczne sprawy.

Oto niektóre wątki.

Marian Banaś, działacz opozycji w czasach PRL, w III RP był urzędnikiem państwowym. I w tym czasie dorobił się dwóch domów, trzech mieszkań, ziemi rolnej i wspomnianej kamienicy. Czy wartość tego majątku może mieć pokrycie w zarobkach państwowego urzędnika? CBA sprawdza od paru miesięcy jego oświadczenie majątkowe. I od paru miesięcy nie może tego sprawdzania zakończyć. Dlaczego?

Banaś tłumaczy się, że kamienicę dostał jako darowiznę od „żołnierza AK” w zamian za opiekę. Kim był ów „żołnierz AK”, tego nie wiemy. Choć sama konstrukcja, że „żołnierz AK” w czasach Polski Ludowej był właścicielem kamienicy w Krakowie, skłania do zastanowienia.

Jak więc naprawdę Marian Banaś został właścicielem budynku? Kiedy to nastąpiło? Kim był jego darczyńca?

Banaś twierdzi, że kamienicę otrzymał w roku 2000. Natomiast wykazał ją w oświadczeniu majątkowym dopiero w roku 2015. Dlaczego ukrywał ten składnik majątku?

Afera Banasia, czyli parę pytań do „pancernego Mariana”

Od czasu emisji programu o szefie NIK wychodzą na jaw kolejne skandaliczne rzeczy

Dodajmy, że jako szef Krajowej Administracji Skarbowej domagał się, by karać więzieniem (nawet do pięciu lat) funkcjonariuszy celno-skarbowych za podanie nieprawdy w oświadczeniach majątkowych.

Następnie Banaś kamienicę wyremontował, korzystając ze środków unijnych (świadczy o tym stosowna tabliczka). Deklarował, że ma się tam mieścić dom pielgrzyma. Można zdrowo się obśmiać, patrząc, jacy pielgrzymi obecnie z niej korzystają. Ale nasuwa się też pytanie, czy Marian Banaś świadomie oszukał Unię.

Marian Banaś wyremontował kamienicę, korzystając ze środków unijnych. Deklarował, że ma się tam mieścić dom pielgrzyma.

Jak pokazała telewizyjna kamera, za korzystanie z pokoi na godziny nie są wydawane żadne paragony. Zatem i podatki z tego tytułu nie są odprowadzane do skarbu państwa. Czy minister Banaś o tym wiedział i to aprobował?

Z jego oświadczeń wynika też, że wynajmował kamienicę synowi siedzącego w recepcji dżentelmena za 5 tys. zł, czyli co najmniej trzykrotnie poniżej wartości rynkowej. Czy celowo zaniżał wartość umowy, żeby płacić mniejsze podatki?

On się tłumaczy, że ustalił z najemcą, że kamienicę mu sprzeda i że w zasadzie miesiąc temu ją sprzedał. Być może tak się stało, być może ta sprzedaż to efekt reportażu, który wcześniej był kręcony. Tylko że hotel na godziny funkcjonował od paru lat.

I jeszcze jedno – dlaczego wciąż w księgach wieczystych Marian Banaś figuruje jako jej właściciel?

Ponadto okazuje się, że pod zastaw tej kamienicy kredyt w wysokości



Co Mariusz Kamiński, jako szef służb, naprawdę wiedział o Marianie Banasiu?

2,5 mln zł wziął syn Banasia, Jakub. Zatem czyja jest to kamienica?

Nawiasem mówiąc, ciekawa jest też droga zawodowa Jakuba Banasia. Otóż ukończył on prawo, po studiach w Krakowie prowadził własną firmę, a potem, już za czasów „dobrej zmiany”, rozpoczął karierę w państwowych spółkach. W roku 2017 r. został zatrudniony jako dyrektor w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, a po pięciu miesiącach został tam doradcą zarządu. Rok później został p.o. prezesa w podległej PGZ spółce Maskpol, która jest czotowym producentem sprzętu dla wojska. Tam pracował jedynie pół roku. Obecnie jest dyrektorem i pełnomocnikiem zarządu w państwowym Banku Pekao SA.

Czyżbyśmy odkryli jedną z tajemnic repolonizacji?

Ciekawe w tym wszystkim jest też zachowanie służb specjalnych. Czy wiedziały one o interesach Mariana Banasia i jego współnikach? Jeżeli nie, to ile są warte? Jeżeli tak – dlaczego go nie ostrzegły? Bały się go? A może zbierały na niego haki?

Jest jeszcze jedna ważna refleksja w tej sprawie, zawarta w liście byłych ministrów finansów: „Przedstawione w mediach relacje biznesowe byłego ministra finansów ze światem przestępczym podważają moralną podstawę zaufania obywateli do administracji skarbowej. Jak podatnicy (krajowi i zagraniczni) mieliby ufać polskiemu aparatowi skarbowemu i uważać go za rzetelny, kiedy związki jego byłego szefa z przestępcami pozostają niewyjaśnione”.



W należącej do Mariana Banasia kamienicy przy ul. Krasickiego 24 w Krakowie miał być dom pielgrzyma.

Ewa Smolińska-Borecka

PiS grzebie w zębach

W myśl nowej ustawy każda szkoła ma zapewnić uczniom opiekę stomatologiczną. Ale pieniędzy na to rząd nie dał

Przez uchylone drzwi gabinetu słysząc nieprzyjemny dźwięk wiertła dentystycznego. Drobnitka Patrycja nie wygląda na sześciolatkę, ale jest dzielna jak nastolatka. Leży spokojnie na fotelu, nawet nie pisnie. Mama, Małgorzata Bielecka, wpatruje się w córkę, jakby chcąc dodać jej otuchy. Koniec. Jeszcze tylko krótka rozmowa z dr Martą Bursztą i mama z córką szczęśliwie wychodzą z gabinetu. – Przychodzę tu z Patrycją i starszą, 11-letnią Sandrą od trzech lat – mówi pani Bielecka. – Wcześniej leczyłam córki w prywatnym gabinecie, ale nie byłam zadowolona, bo tamta pani doktor nie miała odpowiedniego podejścia do dzieci. Znajoma powiedziała mi, że w Szkole Podstawowej nr 3 jest nowy gabinet lekarski i świetna pani doktor. I że przyjmowane są także dzieci spoza tej szkoły, które mieszkają w naszej gminie Konstancin-Jeziorna. Postanowiłam zapisać dziewczynki na wizytę. Pani doktor jest wspaniała. Jestem bardzo zadowolona. Córki także.

Od 12 września obowiązuje ustawa, która nakłada na szkoły obowiązek zapewnienia uczniom do 19. roku

każ uczeń zawsze znajdzie pomoc. Właśnie dzwoni mama Patryka. Mówi, że syna bolał ząb, więc chciałaby, żeby pani doktor sprawdziła, co się dzieje. – Proszę się nie martwić, jutro z jakiejś lekcji go zabiorę do siebie – uspokaja dr Burszta. A potem wyjaśnia: – Wielu rodziców uczniów tej szkoły, m.in. mama Patryka, podpisało zgodę na to, żeby dziecku można było udzielać profilaktycznych świadczeń stomatologicznych bez ich obecności. Ze względu na to, że pracują, takie postępowanie jest dla nich dużym ułatwieniem. Staramy się tak układać wizyty, żeby uczniowie opuszczali mniej istotne lekcje.

W kraju jest ok. 24 tys. szkół. W momencie wejścia w życie ustawy funkcjonowało w nich 720 gabinetów dentystycznych. Umowę z NFZ na udzielanie świadczeń w zakresie

nie. Naczelna Rada Lekarska i ten projekt oceniła krytycznie, m.in. artykuł, który wprowadzał zmiany w ustawie o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych. Dodano do niej art. 47ca, który przewiduje, że w gabinecie, z którym organ prowadzący szkołę zawarł porozumienie, świadczenia stomatologiczne dla uczniów szkoły są udzielane poza kolejnością. Zdaniem NRL taka regulacja spowoduje, że gabinety te będą nastawione prawie wyłącznie na leczenie uczniów tych szkół. Poza tym liczba etatów w całej stomatologii, zarówno dla dzieci i młodzieży, jak i dla dorosłych, jest równa liczbie etatów przeliczeniowych, jaka będzie potrzebna do obsługi szkół. W tej sytuacji zabraknie środków finansowych na opiekę stomatologiczną dla osób dorosłych. Naczelna Rada Lekarska podkreśliła, że w planie finansowym NFZ powinny być przewidziane dodatkowe środki w wysokości co najmniej kilkuset milionów złotych (!). Tymczasem ustawodawca nadal utrzymuje, że stomatologiczna rewolucja nie wymaga dodatkowych nakładów. Że jakoś to będzie.

W kraju jest około 24 tys. szkół. Gabinety dentystyczne są w 720 placówkach.

życia opieki lekarza dentysty. W gminie Konstancin-Jeziorna gabinet dentystyczny jest tylko w jednej szkole. Powstał wiele lat temu, potem go zawieszono, a trzy lata temu reaktywowano. Pozostałe szkoły publiczne stanęły przed problemem, bo – jak ostatnio często się zdarza – ustawa jest obciążona wadami. Nie wiadomo, ilu szkołom udało się wprowadzić ją w terminie. Ale raczej niewielu.

Niejasności

Kiedy mówię dr Marcie Burszcie, że jest jak siłaczka, bo na swoich barkach dźwiga ciężar opieki nad uczniami w całej gminie, uśmiecha się. A ten uśmiech działa kojąco. To m.in. w nim, poza umiejętnościami lekarza dentysty, tkwi tajemnica sympatii, jaką uczniowie darzą panią doktor. Kalendarz ma zapisany na kilka tygodni, ale oczywiście w nagłych przypad-

stomatologii ogólnej dla dzieci i młodzieży ma 7 tys. placówek. W kraju jest 13,2 tys. lekarzy dentystów. Jak ustawodawca wyobrażał sobie funkcjonowanie ustawy o opiece zdrowotnej nad uczniami? Na dodatek założył, że ta dentystyczna rewolucja nie będzie wymagać zwiększenia ilości pieniędzy z NFZ, które przeznacza się na wszystkie usługi stomatologiczne, zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych.

Już w 2018 r. powstał projekt ustawy wprowadzającej zasady współpracy szkół z gabinetami stomatologicznymi. Naczelna Rada Lekarska odniosła się do niego dość krytycznie. Zarzuciła mu, że nie wprowadza jasnych zasad współpracy szkół z gabinetami dentystycznymi mieszczącymi się poza szkołą. Te uwagi nie zostały uwzględnione. W marcu br. do Sejmu trafił kolejny projekt, znacznie różniący się od tego, który wcześniej był konsultowany społecz-

„Hojne” ministerstwo

W ubiegłym roku Ministerstwo Zdrowia rozpisało konkurs dla publicznych szkół podstawowych „Prawa dostępności do świadczeń stomatologicznych dla dzieci i młodzieży w szkołach w 2018 r.”. W ramach konkursu do rozdysponowania było 5 mln zł, za które miało powstać co najmniej 47 gabinetów stomatologicznych, miały też się odbyć wykłady na temat dbałości o kondycję uzębienia dla uczniów i ich rodziców. Do konkursu zgłosiło się 95 szkół. Z Warszawy tylko dwie, z Pragi Północ, a najwięcej z Krakowa – dziewięć. I aż cztery krakowskie znalazły się wśród zwycięzców, miasto uzyskało w sumie 462,55 tys. zł. W marcu



2019 r. gabinety w czterech krakowskich szkołach rozpoczęły pracę. Ministerstwo Zdrowia policzyło, że w ten właśnie sposób 0,25% z 18,8 tys. publicznych szkół podstawowych wzbogaciło się o gabinet stomatologiczny. Co napawa resort dumą, ale przecież jest kroplą w morzu potrzeb. Wprawdzie ustawa o opiece zdrowotnej nad uczniami przewiduje, że wyposażenie gabinetów stomatologicznych zostanie sfinansowane z NFZ, ale pieniądze na ten cel nie zostały przewidziane.

Koszt zakupu wyposażenia gabinetu dentystycznego wynosi ok. 115 tys. zł. Jednak zorganizowanie takiego gabinetu w szkole to nie tylko problem pieniędzy. Niebagatelną sprawą jest znalezienie odpowiednich pomieszczeń, bo sam gabinet musi mieć określoną przepisami powierzchnię, do tego dochodzi pomieszczenie na autoklawy, pomieszczenie na odpady stomatologiczne, WC dla personelu, doprowadzenie wody. Wiele szkół, szczególnie średnich, gdzie skumulowały się obecnie dwa roczniki, ma poważne problemy z wygospodarowaniem sal na zajęcia lekcyjne. Jedynym możliwym rozwiązaniem okazuje się więc zawarcie umowy z placówką poza szkołą lub – w przy-

padku małych miejscowości – korzystanie z usług świadczonych w dentobusach (w kraju jest ich 16).

W Warszawie zdecydowano, że opiekę stomatologiczną nad uczniami zorganizuje się przede wszystkim na zasadzie umowy z gabinetami zewnętrznymi. Podobne wnioski wyciągnęło wiele innych miast i miasteczek. W Urzędzie Miasta i Gminy Konstancin-Jeziorna, który jest organem nadzorującym szkolnictwo podstawowe, też zrobiono taką analizę. W gminie

Ustawa przewiduje, że wyposażenie gabinetów stomatologicznych zostanie sfinansowane z NFZ, ale środków na ten cel nie przewidziano.

jest 1,9 tys. uczniów chodzących do sześciu publicznych podstawówek. Gabinet jest tylko w Szkole Podstawowej nr 3, w innych szkołach nie ma możliwości jego zorganizowania. Pozostało zawarcie umowy z placówką, która ma kontrakt z NFZ na świadczenie usług stomatologii ogólnej dla dzieci i młodzieży. W gminie takie kontrakty mają trzy podmioty: dwa prywatne i jeden, którego organem założycielskim jest burmistrz Konstancina-Jeziorny – samodzielny publiczny zespół zakładów opieki zdrowotnej. Tenże SPZZOZ prowadzi zresztą gabinet w SP nr 3. Dlate-

go z tym właśnie podmiotem burmistrz podpisał umowę dotyczącą obsługi stomatologicznej uczniów publicznych szkół podstawowych w gminie. Umowa przewiduje m.in. stworzenie dwóch gabinetów stomatologicznych dla dzieci i młodzieży w istniejących ośrodkach: pierwszego w wiejskim ośrodku zdrowia w pobliżu SP nr 6 w Opaczu, drugiego w wiejskim ośrodku zdrowia blisko SP nr 4 w Słomczynie. Gdzie miałyby się mieścić gabinety dla trzech pozostałych szkół z gminy, na razie nie wiadomo.

Ale nawet gabinety w Opaczu i Słomczynie są pod znakiem zapytania. Żeby mogły funkcjonować, muszą mieć podpisane kontrakty z NFZ. SPZZOZ wystąpił o kontrakt, ale nie wiadomo, kiedy zostanie rozpisany taki konkurs. Do ustawy o opiece zdrowotnej nad uczniami nie zostały wydane rozporządzenia, które regulowałyby rewolucję w świadczeniach stomatologicznych. Jak NFZ zamierza podpisywać kontrakty, skoro założono, że ta rewolucja nie pociągnie za sobą kosztów?

Nie ma sal ani pieniędzy

Wystarczy przejechać przez mostek nad rzeką Jeziorką, by ze szkoły nr 3 dotrzeć do szkół znajdujących się na terenie zajmowanym niegdyś przez placówkę kształcącą pracowników papierni. Na lewo od orlika – Zespół Szkół im. Władysława Stanisława Reymonta, który obejmuje Liceum Ogólnokształcące nr 1 oraz

Technikum nr 1. To jedyne publiczne szkoły średnie w gminie Konstancin-Jeziorna. Na prawo od orlika, w mniejszym budynku, jedyne szkoły niepubliczne w gminie – podstawówka i liceum NoBell (bez dzwonka – przyp. red.).

Kilkuletni chłopcy ze szkoły podstawowej NoBell właśnie rozgrywają mecz na orliku. To szczęście, że kilka lat temu boisko powstało, i szczęście, że starosta piaseczyński uważa, że należy o nie dbać. Dlatego zespół szkół funkcjonujący obok orlika dostaje z powiatu fundusze na utrzymanie, oświetlenie ▶

► i sprzątanie boiska. W szkole NoBell właśnie przerwa. Pierwszy miesiąc roku szkolnego to gorący czas dla dyrekcji. Dziesiątki rzeczy trzeba jeszcze dopiąć, wiele problemów rozwiązać. Wicedyrektor Mirosława Stonecka w biegu. Dziwi ją pytanie o gabinet stomatologiczny w szkole. – Nie ma takiego obowiązku, że musi być zorganizowany w szkole – mówi.

Liczba etatów w całej stomatologii jest równa liczbie etatów potrzebnych do obsługi szkół. Kto będzie leczył dorosłych?

– Większość rodziców uczniów naszej szkoły uznała, że ich dzieci nie będą korzystać z oferty takiego gabinetu w ramach NFZ. Wśród rodziców są osoby, które prowadzą różną działalność, również w zakresie opieki stomatologicznej nad dziećmi i młodzieżą. Już z nimi rozmawialiśmy o zawarciu umowy dotyczącej opieki nad naszymi uczniami.

W zespole szkół im. Reymonta o opiece stomatologicznej rozmawiam z dyrektorką Ewą Kustrą i wi-

cedyrektorką Ewą Lipiec. Za kilka dni ma się odbyć spotkanie w tej sprawie u starosty piaseczyńskiego, który nadzoruje szkoły średnie w powiecie. Owszem, w szkole dokonano analizy pomieszczeń, ale stwierdzono, że nie ma miejsca na gabinet stomatologiczny. Szczególnie że pojawił się podwójny rocznik i uczniów jest znacznie więcej, a z 470 uczniów

liceum i technikum aż 250 stanowią pierwszoklasiści. Ewa Kustra, podobnie jak część dyrektorów szkół średnich z powiatu, uważa, że lepiej by było, gdyby to starosta, a nie dyrektorzy szkół, zawarł umowy z podmiotami, które miałyby sprawować opiekę stomatologiczną nad uczniami. Ale jaki będzie finał spotkania, to się okaże. Ona wie jedno – to większy problem niż zapewnienie pielęgniarki dla szkoły. Tamten pojawił się w ubiegłym roku. Z wyliczeń NFZ wynikało,

że pielęgniarka w szkole ma być cztery dni po kilka godzin. – Uznałam, że to bez sensu, żeby opieka pielęgniarki była tak ograniczona – opowiada pani dyrektor. – Moim zdaniem gabinet, skoro już został stworzony, powinien ze względu na bezpieczeństwo uczniów funkcjonować codziennie i dłużej. W powiecie przyznano mi rację. Szkoła otrzymała z powiatu dodatkowe 400 zł miesięcznie na pokrycie kosztów zatrudnienia pielęgniarki. Ale nie chciałam być w podobnej sytuacji w przypadku gabinetu stomatologicznego. Uważam, że to starosta powinien zwinąć umowy.

Bo to jest tak: rząd tworzy projekty ustaw, sejm nie przejmując się tym, co podpowiadają organizacje zawodowe czy pozarządowe w ramach konsultacji. A potem, gdy projekt staje się prawem, rząd uznaje, że zwyczajni ludzie muszą się ustawić podporządkować. Muszą. Szkół w Polsce jest 24 tys., lekarzy dentyistów 13,2 tys., pieniędzy tyle, ile było wcześniej. Co z tym fantem zrobić?

Ewa Smolińska-Borecka

**Zbrodnia
bez kary**

Wysyłali ludzi na śmierć. Oddani, sumienni, pracowici.
Urzednicy Hitlera, tryby niemieckiej maszyny.
Dlaczego po wojnie uniknęli odpowiedzialności?

Czytaj na www.interia.pl

interia

Z Galicji



Jan Widacki

Przedwyborcza sałata

Ulice naszych miast, miasteczek i wsi pokryły billboardy, bannery, afisze, „siatki” z fizjonomiami tych, którzy chcą nas uszczęśliwić, zasiadając w Sejmie nowej kadencji. Oklejone są wszystkie skrzyżowania, tablice i słupy ogłoszeniowe, nadto przystanki, a po wsiach dodatkowo płoty i stodoły. Będzie co sprzątać po wyborach.

Poszczególne partie wydają miliony na promowanie swoich kandydatów. Co bogatsi startujący dokładają z własnych pieniędzy. Zdecydowana większość tych kontraktów rozmaitych rozmiarów należy do kandydatów PiS. Z rzadka można zobaczyć jakiś billboard lub banner Platformy czy PSL, a już niemal zupełnie nie widać kandydatów Lewicy. Brakuje im pieniędzy czy mają jakiś inny pomysł na kampanię? Niestety, raczej to pierwsze.

Opozycja, jak się zdaje, już pogodziła się z przegraną, Platforma nie mówi o zwycięstwie, będzie szczęśliwa, jeśli PiS nie zdobędzie konstytucyjnej większości, a prześczęśliwa, gdyby jego zwycięstwo było jeszcze mniejsze i nie dało możliwości samodzielnego stworzenia rządu. Ale to mało prawdopodobne, zresztą PiS znajdzie sobie koalicyjną przystawkę. Wynik PSL zapewne nie będzie imponujący, myślę, że w razie czego ludowcy do koalicji dadzą się namówić.

Co można powiedzieć? Nawet gdyby pochwalić opozycję za jej realizm, trzeba pamiętać, że bez woli zwycięstwa chyba jeszcze nikomu nie udało się wygrać wyborów. Działacze Platformy, zawsze wygodni i nieskłonni się przemęczać, teraz kompletnie się zdemobilizowali. Tymczasem liderzy PiS wciąż jeżdżą w teren, odbywają dziesiątki spotkań. Pomysł zamienienia Schetyny na Kidawę-Błońską w gruncie rzeczy polega na tym, że premierem nie zostanie Kidawa-Błońska, a miał nie zostać Schetyna. Reklamując kandydatkę do niezostania premierem, podkreśla się, że jest prawniczką byłego prezydenta Wojciechowskiego i ministra Grabskiego. No fajnie. Ale to nie pradziadkowie kandydują, nawiasem mówiąc, gdyby kandydowali, znaleźliby się na dwóch różnych listach.

Kandydatka do niezostania premierem powiedziała w radiu, że po wyborach Platforma postawi Ziobrę przed Trybunałem Stanu. Dużo w tym optymizmu. Ale Ziobro może spać spokojnie. Aby postawić kogoś przed Trybunałem Stanu, nie wystarczy wygrać wyborów. Trzeba by je wygrać z miażdżącą przewagą. A w to nawet partyjni koledzy Kidawy-Błońskiej nie wierzą. Zresztą Platforma rządziła osiem lat i nie udało się jej wtedy postawić Ziobry przed Trybunałem Stanu. Potrafiłaby teraz?

W tym wszystkim zginęła gdzieś zupełnie Lewica. Liderzy jakby zapadli się pod ziemię. Mimo to wedle sondaży na Lewicę chce głosować 12-13% wyborców. Gdyby rzeczywiście taki wynik zdobyła, scena polityczna znacznie by się przebudowała. Ta nieobecność liderów Lewicy w dużej mierze spowodowana jest tym, że po prostu nie pokazują ich liberalne, komercyjne media. Wychodzą bowiem z założenia, że słupki poparcia Lewicy rosną kosztem słupków Platformy, która to tendencja z natury rzeczy im się nie podoba. Szkoda. Im lepszy byłby wynik Lewicy, tym większa szansa na rozmontowanie niszczącego Polskę duopolu partii konserwatywnych światopoglądowo.

Skoro już losy wyborów są przesądzone, spróbujmy w tej całej smutnej kampanii wyborczej wyłapać jakieś elementy humorystyczne. Spróbujmy spojrzeć na nią z dystansu.

Większość kandydatów Platformy szczerzy do nas zębami w uśmiechu. Gdyby ktoś nie wiedział, że chodzi o wybory,

mógłby myśleć, że to jakaś reklama pasty, która wybiela zęby „bardziej niż zwykłe pasty”. Kandydaci PiS patrzą ponuro, na ich twarzach maluje się głę-

boka troska o losy państwa i narodu. Niektórzy sfotografowali się z Kaczyńskim lub Ziobrą. Znać, że liderzy ich popierają.

Pewien kandydat do Senatu obiecuje na billboardach, że zbuduje metro w mieście, jak tylko mieszkańcy go wybiorą. Co ma Senat do budowy metra? Czyżby kandydat na senatora nie wiedział, jakie są kompetencje Senatu? Idiota? A może wie, ale obiecuje, dobrze wiedząc, że nie będzie miał na to wpływu. Oszust?

Są też billboardy ogólnopolskie. Kidawa-Błońska przytula jakąś kobietę, a napis głosi, że koniec awantur, teraz ma być miło i przyjaźnie. Ludzie komentują, że to alegoria Koalicji Obywatelskiej – Platforma przytula ostatnią członkinię Nowoczesnej. Ale tu zdania są podzielone. Niektórzy mówią, że chodzi o przytulenie wyprzedków z PiS. Platforma przytuliła ich wielu i umieściła na swoich listach.

Smutek i pesymizm kampanii ożywiła ostatnio plotka wpisująca się w ciąg zdarzeń: film „Kler” – film Sekielskich – historia księdza Tymoteuszka. Prawdziwa lub nie. Jak to plotka. Oto znana mamuśka zbyt ostro brała zakręt i przydzwoniła komuś w samochód. Dostała mandat 500 zł. A więc 500 minus. Aby mamuśce wynagrodzić, syn ksiądz postarał się o 500 plus. Rodzina wyszła na zero.

Z rzeczy wesołych to by było tyle. Wybory już wkrótce.

I tak wszystko zamiotą pod dywan

Prawie połowa polskich studentek i studentów doświadczyło molestowania

Anna Brzeska

Po wyjściu z gabinetu profesora miałam atak paniki. Napisałam do przyjaciół, opowiedziałam im, co się stało. Sugerowali mi, że powinnam to gdzieś zgłosić. Byli wściekli. Ale ja zawsze tak dobrze się z nim czułam, tak dużo dla mnie zrobił – dawał mi książki, kupował herbatę. Zawsze taki miły. Sądziłam, że może naprawdę się we mnie zakochał, i było mi go wręcz żal.

Marianna jest dziś na II roku na uniwersytecie, choć planowała już rzucić studia z powodu złego stanu psychicznego. Mocno jednak wciąż gnęły ją zajęcia prowadzone przez pewnego cenionego na uczelni profesora. To w dużym stopniu dzięki jego interesującym wykładom zdecydowała się kontynuować naukę.

Myślałam, że jestem partnerką do rozmowy

– Profesor na pewno zauważył, że angażuję się w zajęcia, dużo czytam, lubię go, raz nawet pokłóciłam się z nim o poglądy. Wszyscy widzieli, że jest między nami jakaś relacja, często dyskutowaliśmy jeszcze po zajęciach, na korytarzu – opowiada studentka. – Bardzo go podziwiałam, a on na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że jestem w niego wpatrzona. Konsultowałam z nim moje prace, więc często bywałam w jego gabinecie. Na korytarzu czasem mnie obejmował, ale widziałam, że zachowuje się tak również wobec innych studentek. Troszczył się o nasze sprawy. Miałam wrażenie, że po prostu się lubimy.

Szybko jednak okazało się, że sympatia żonatego profesora do zaangażowanej i inteligentnej studentki ma drugie dno. Marianna: – Któregoś razu opowiadał mi w gabinecie, jak został profesorem, a ja

zwierzyłam się mu, że miałam problemy z psychiką. Na koniec spotkania przytulił mnie i powiedział: „A teraz całus”, po czym cmoknął mnie w usta. Szybko wyszłam z gabinetu. Nie pamiętam, jak znalazłam się w bibliotece.

Studentka nie zgłosiła zdarzenia władzom uczelni. Liczyła na to, że sprawa sama się rozwiąże, gdy profesor przyjmie do wiadomości, że dziewczyna nie jest zainteresowana romansem. – Powiedziałam mu któregoś razu, że interesują mnie wątki homoseksualne w sztuce – mówi Marianna. – Zapytał mnie, czy też jestem homoseksualna, potwierdziłam i szybko zmieniłam temat. Nie byłam pewna, jak zareaguje, bo to już człowiek po sześćdziesiątce.

Profesora jednak nie zniechęciła jej orientacja seksualna. – Następnego dnia znów mnie zaczęli na korytarzu i zaprosił do gabinetu. Powiedział, że ma dla mnie książkę – wspomina. – Nie mogłam mu odmówić, bo obok stała pani, z którą zaraz zaczynałam zajęcia. Pewnie i tak powiedziałyby, że mam iść,

Na koniec spotkania profesor przytulił mnie i powiedział: „A teraz całus”, po czym cmoknął mnie w usta.

skoro wzywa mnie profesor. Czułam, że znów coś może się stać, ale byłam tak przerażona, że miałam mętlik w głowie. I rzeczywiście, już na schodach mnie objął. Potem, w gabinecie, zapytał, czy mogę z nim posiedzieć, bo ma wolną godzinę. Odmówiłam, tłumacząc się, że mam zajęcia. Powiedział, że mnie z nich zwolni, zaproponował kawę. Dalej się broniłam, instynktownie czułam, że muszę stamtąd uciekać. Znowu mnie jednak przytulił i wprost do ucha wyszeptał pytanie, czy gniewam się za wczoraj. Powiedziałam, że nie, choć rzeczywiście byłam zła. Puścił mnie.



Studentka przyznaje, że po raz kolejny nie umiała zareagować stanowczo na zaloty profesora. Dlaczego? – Bo mnie przytulił, dał mi książkę, zaproponował czekoladki... Pomyślałam, że może poprzedniego dnia po prostu go poniosło, że może żałuje tego, co zrobił – odpowiada Marianna. – W dodatku był dla mnie taki dobry. Zawsze wydawało mi się, że gdy ktoś nas przytula, to z sympatii. Zresztą sądziłam, że naprawdę się kumplujemy. Ciągłe dawał mi książki – niektóre bardzo stare i cenne. Tymi prezentami też byłam przytłoczona.

Drugim problemem Marianny był lęk o jej reputację. Gdy profesor zaprosił ją na konferencję i obiad, w których uczestniczyli głównie wykładowcy, czuła się zażenowana. – Rozmawiał tylko ze mną. W dodatku rzucał żarty z seksualnym podtekstem. Podkreślał, jak wiele znaczy w środowisku akademickim, na ile osób ma wpływ. Po jego wystąpieniu, które wygłosił zupełnie na odczepnego, wrócił do mnie, powiedział, że idziemy – i ruszył do wyjścia. Wyszłam za nim, bo byłam tam na jego zaproszenie, ale czułam się okropnie. Poszliśmy do muzeum. Po drodze zaczął mi się



żalić na żonę. Potem, gdy przechodziliśmy przez park, znów próbował mnie obejmować, całować, włożyć mi język do ust. Chciało mi się wymiotować. Wyrwałam się. Czułam się zawiedziona, że cały ten dzień i konferencja były tylko po to, by zaciągnąć mnie na dróżkę w parku, gdzie nikogo nie ma. Zaczęłam mu to wszystko wyrzucać, a on znów mnie przeproszał. W końcu zaproponował, że da mi kolejną książkę w prezencie. Powiedziałam, że śpieszę się do domu. Na pożegnanie jeszcze złapał mnie za rękę.

Na egzaminie profesor zachowywał się bez zarzutu, ale potem poprosił ją o numer telefonu. – Wykreśliłam się. W odpowiedzi na kolejny mejl napisałam mu, że go bardzo szanuję i podziwiam, ale nie może mnie nigdy więcej całować ani dotykać. Podziękował za miłe słowa i to wszystko. Poczułam się jak idiotka, bo łudziłam się, że traktował mnie jako partnerkę do rozmowy.

Grzeczne studentki nie mówią „nie”

W opowieści Marianny jest jeszcze jeden wątek. – Zostałam wychowana na grzeczną dziewczynkę. Chodziłam do prywatnego liceum, tylko dla dziewcząt. Boję się agresji ze strony mężczyzn. Nie umiem im odmawiać. Gdy o problemach

z profesorem powiedziałam w końcu mamie, stwierdziła, że takie sytuacje są bardzo częste, sama wielokrotnie była ich świadkiem podczas studiów, i że mam się tym nie przejmować. Zasugerowała, abym oddała profesorowi książki, dołączyła czekoladki i podziękowania za wszystko, co dla mnie zrobił. I żebym uważała, żeby nie powiedzieć za dużo, bo będę miała problemy. Poradziła mi również, by w przyszłości pracować na uczelni raczej z kobietami, np. wybrać promotorkę, nie promotora, bo wtedy „nikt nie będzie mógł niczego mi zarzucić”.

Marianna obawia się, że jeśli doniesie komuś o molestowaniu przez profesora, wpłynie to na jej studia. – Nie chcę z nich rezygnować tylko dlatego, że on tam jest. Nie uważam też, że wysyłałam mu jakieś sygnały, które go zachęciły. Wydawało mi się normalne, że wykładowcy są życzliwi dla studentek, pożyczają im książki, rozmawiają. Nie chciałam stracić profesora jako człowieka, bo go lubiłam. Był wspaniałym wykładowcą.

Pytam Mariannę, czy wie, do kogo mogłaby się zgłosić na uczelni, by zapobiec kolejnym przypadkom molestowania. – Szczerze mówiąc, nie bardzo – odpowiada. – Chyba wołałabym po prostu rozpuścić o tym plotkę, która szybko się rozniesie i będzie ostrzeżeniem dla innych dziewczyn. Sądję, że on jest przekonany, że sama tego chciałam, i wcale nie czuje się winny. Z drugiej strony mam

Dopóki on tylko mówił, to było do przeżycia, ale gdy złapał mnie za piersi...

wrażenie, że molestował także inne studentki. Wydaje mi się, że sztuczki, które wobec mnie stosował, miał już przetrenowane.

Ostatecznie Marianna przyznaje, że mogłaby rozważyć zgłoszenie sprawy rektorowi ds. studenckich. – Jest miłym człowiekiem. Ale obawiam się, że mogłoby to się obrócić przeciwko mnie, zarówno jeśli chodzi o moje dalsze studia, jak i opinię innych studentów o mnie. Na pewno znalazłby się osoby, które uznałyby, że chcę się wypromować przez tego rodzaju oskarżenia jako lewicowa aktywistka – stwierdza. – Miałam chodzić na seminarium tego profesora, ale przez to wszystko na pewno się nie zdecyduję, mimo że interesuje

mnie przedmiot, który on prowadzi. Po egzaminie poczułam ulgę, że już nie będę musiała tak często go spotykać. Mam jednak wciąż całą półkę z książkami od niego. Nie chcę ich, ale boję się, że jeśli cokolwiek zrobię, obrazę go i zaszkodzi mi w studiach.

Teraz najważniejsze dla Marianny jest to, by inne studentki mogły poznać jej historię i przekonać się, że takie sytuacje nie są niczym wyjątkowym. – Chcę, by wiedziały, że to naprawdę się dzieje na wielu uczelniach.

Grupa ryzyka

W lutym br. ukazał się raport rzecznika praw obywatelskich „Doświadczenie molestowania wśród studentek i studentów”, z którego wynika, że problem dotknął aż 40% osób studiujących. Co czwarty uczestnik badania doświadczył molestowania na terenie uczelni. Z problemem zdecydowanie częściej stykały się kobiety. Dotyczył on bowiem aż 47% studentek i 31% studentów, a sprawcami w zdecydowanej większości byli mężczyźni. Również kobiety ponosiły więcej negatywnych psychicznych konsekwencji molestowania. Studia zostały w raporcie określone jako czas, kiedy znacznie częściej padamy ofiarą molestowania niż w innych okresach życia. Studenci i studentki są więc w pewnym sensie grupą ryzyka.

W lipcu natomiast Helsińska Fundacja Praw Człowieka opublikowała raport o molestowaniu na uczelniach publicznych oraz procedurach reagowania na nie i zapobiegania mu. Został on opracowany na podstawie ankiet z 94 uczelni publicznych w Polsce, zebranych w latach 2010-2018.

Co udało się ustalić fundacji? Tylko 14 spośród 93 uczelni ma w strukturach organ, którego zadaniem jest przeciwdziałanie dyskryminacji. „Można wnioskować, że na uczelniach brakuje pracowników, którzy mogliby koordynować działania prowadzące do zapobiegania tego typu zjawiskom, ale także, że osoby dotknięte tymi zjawiskami nie wiedzą, do kogo należy się zwrócić ▶

► w podobnej sytuacji”, pisze Julia Gerlich, autorka dokumentu przygotowanego przez HFPC.

Uczelnie wprowadzają wdrażając procedury antymobbingowe i antydyskryminacyjne, ale są one adresowane wyłącznie do pracowników. Tylko nieliczne placówki wprowadziły regulacje dotyczące studentów.

Co jeszcze? Skuteczność podejmowanych przez uczelnie działań, które teoretycznie powinny zapobiegać takim zjawiskom jak molestowanie czy mobbing, okazała się bardzo niska. Nie wprowadzono szczególnych rozwiązań, które miałyby zapewnić bezpieczeństwo i poczucie komfortu potencjalnym ofiarom, a ewentualnym sprawcom sprawiedliwy „proces”. Nic więc dziwnego, że choć molestowanie dotyczy tak

W opowieściach osób, które doświadczyły molestowania na uczelniach, dominuje bezradność i przekonanie o bezsensowności zgłaszania problemu. Bagatelizowanie tego rodzaju sytuacji przez władze uczelni czy kadrę, a jednocześnie lęk studentek i studentów przed solidarnością środowiska akademickiego, którego większość stanowią mężczyźni – to wszystko sprawia, że molestowanie wciąż zgłasza się tak rzadko.

Spędzimy razem jeszcze dwa semestry

Kolejna historia wydarzyła się na Uniwersytecie Wrocławskim. Opowiada ją Kasia, która skończyła tam fizykę. Nękał ją wykładowcę

ciekła mu ślinka na widok tych dziewczyn.

Co się wydarzyło? – Z uczelni chodziłam na piechotę do domu, bo miałam blisko – opowiada dalej Kasia. – Tamtego dnia szłam z koleżanką. Przyłączył się do nas, bo szedł w tę samą stronę. Zaczął się przechwalać, jaki to on jest *cool*, gdzie to nie pływał na kajakach, jakiego to zioła nie palił. Typowe gadanie faceta koło pięćdziesiątki, który chce się przypodobać młodym dziewczynom. W pewnym momencie koleżanka, która mieszkała bliżej, pożegnała się z nami i wtedy się zaczęło. Mimo że powiedziałam, że muszę szybko iść do domu, zatrzymywał mnie. Przekonywał, że jest ładna pogoda, namawiał: pogadamy sobie, wypijemy piwko, pytał, gdzie mieszkam. Okazało się, że to ulica, na której się wychowałam i na której mieszka jego matka. Dawał do zrozumienia, że ma klucze do jej mieszkania. W końcu zgodziłam się na spacer, poszliśmy też do sklepu. On kupił sobie piwo, a ja sok.

Była studentka dr. Maćka przyznaje, że nie uciekła, bo bała się problemów z zaliczeniem przedmiotu. – Nie chciał mnie puścić do domu. A ja grałam ostrożną, uległą. Mówiąc wprost, „paliłam głupa”, choć dobrze wiedziałam, o co mu chodzi. To mnie zresztą uratowało. Zaczął wtedy mówić, że mam ładną figurę, że ładnie się ubieram, mam wspaniałe włosy... Na to wszystko reagowałam uprzejmie, mówiąc: „Tak? O, dziękuję”, jakbym nie brała tego wszystkiego do siebie. Szliśmy więc dalej alejką parkową. W pewnym momencie doszliśmy do ścieżki odchodzącej na krzaki. „Chodź, pokażę ci coś, tu jest fajny widok”, powiedział. Zatrzymałam się, myśląc, że w razie czego rozwalę trzymany w ręku soczek na jego głowie. Zobaczył to i powiedział znacząco: „No wiesz, spędzimy razem jeszcze dwa semestry”.

Na szczęście dla Kasi na ścieżce „z widokiem” byli jacyś ludzie. – Sądzę, że on podczas tego spaceru sprawdzał, czy jestem typem studentki, która za zaliczenie pójdzie z nim do łóżka – stwierdza.

Mimo że wykładowcy już nigdy potem nie udało się wyciągnąć Kasi na spotkanie, tamto zdarzenie miało duży wpływ na jej późniejsze studia. Słyszała, że studentki starszych lat

Tylko 14 z 93 uczelni ma w strukturach organ, którego zadaniem jest przeciwdziałanie dyskryminacji.

znacznej części studentów, w latach 2010-2018 zgłoszono jedynie 50 przypadków postępowania wyjaśniającego lub dyscyplinarnego w sprawie molestowania (lub molestowania seksualnego) czy dyskryminacji. Najważniejszy wniosek z tego jest taki, że większość uczelni po prostu nie podejmuje działań prewencyjnych, a ich procedury są zwyczajnie nieskuteczne.

nazwiemy dr. Maćkiem – Kasia nie chce, by podawać jego nazwisko.

– Na I roku studiów ten facet był moim wykładowcą – mówi. – Od początku było wiadomo, że coś z nim nie tak. Gdy pisał na tablicy i któraś z dziewczyn chciała wyjść z sali, a miała krótką spodniczkę – on się jakby zawieszał. Odprowadzał ją wzrokiem aż do drzwi, czekając, aż przejdzie przez całą salę. Niemal

FUNDACJA JUDAICA
CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ
1993-2019

DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ
WSPÓLNOTA OBYWATELSKA

BAJIT CHADASZ
SPOTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ

WRZESIEŃ - LISTOPAD, 2019

Informacje: Centrum Kultury Żydowskiej
ul. Rabina Meisela 17, 31-058 Kraków, tel. (12) 430 64 49, info1@judaica.pl
www.judaica.pl facebook.com/judaica.krakow

Współorganizator programu Bajit Chadasz:
Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miasta Krakowa

Sponsorzy

Patronat medialny

Współpraca redakcyjna

chodziły z dr. Maćkiem nie tylko na piwo. Tajemnicą poliszynela było też to, że wykładowca nagabuje nowe studentki i „czasem mu się to udaje”. – Sam mi opowiadał, że w domu robią „orgietki”, i pytał, czy nie chciałyby kiedyś przyjść. Nie wiem, czy to tylko jego wyobrażenia, czy naprawdę tak było. Tak czy owak, byłam wtedy jeszcze dziewicą i takich rzeczy było mi bardzo trudno słuchać.

Chociaż studentka wyraźnie uniikała dr. Maćka, on kazał jej zwracać się do niego po imieniu. – Za każdym razem, gdy mnie spotkał na uczelni, bardzo to egzekwował. Ja jednak zawsze mu mówiłam „panie doktorze”, starałam się zachować dystans – podkreśla młoda kobieta.

Aby nie zostawać sam na sam z wykładowcą, zaangażowała najbliższych kolegów do towarzyszenia jej na uczelni. – Widząc go, miałam żółdek wielkości orzeszka. Starałam się nie znaleźć się blisko niego, ta ciągła czujność, pochłaniała mnóstwo mojej energii. Sporo wysiłku włożyłam także w chronienie swojej reputacji wśród innych studentów.

Gdybym zareagowała w jakikolwiek sposób, nie byłoby mi tak źle.

Nie chciałam, by ktoś pomyślał, że wykorzystywałam swoje walory fizyczne, by coś zyskać. W ogóle dziwię się, że skończyłam te studia – stwierdza.

Kasia nie zdecydowała się na zgłoszenie władzom uczelni, że wykładowca proponował jej spotkania towarzyskie. – Nie miałam dowodów na to, co się działo, więc nie mogłam nic zrobić. Byłoby tylko słowo przeciwko słowu. Nawet gdybym poszła z tą historią do rektora, nic bym nie zyskała. Zapytałby pewnie: „Dotknął pani? Nie. Zdała pani? Tak. No to w czym problem?”.

Dr Maciek nadal wykladał na Uniwersytecie Wrocławskim. Kilka lat temu Kasia spotkała go na swojej ulicy. Towarzyszyła mu młoda kobieta, szli w stronę domu jego matki.

Wybierają was z klucza, prawda?

Anna: – To było moje pierwsze – i ostatnie – spotkanie oko w oko z prorektorem ówczesnej akademii

medycznej. Pojechałam tam nie jako studentka, ale już służbowo, jako doradca klienta z ramienia banku obsługującego uczelnię. To miały być profesjonalne negocjacje dotyczące zasad współpracy w biznesie. Prorektor jednak od początku rzucał seksistowskie żarty. Zaczął od znaczącego spojrzenia i tekstu: „Was to chyba zatrudniają z klucza”, bo koleżanka, która była tam przede mną, podobnie jak ja była z tych „biuściastych”. Najgorsze, że towarzyszący mi dyrektor śmiał się z tych żartów, a potem wyszedł zanieść papiery do samochodu. I wtedy prorektor złapał mnie za piersi!

Anna przerywa rozmowę i przepasza, że mówi niespójnie, ale jeszcze nikomu o tej sytuacji nie opowiadała, mimo że minęło już 12 lat.

– Gdy klient był bardzo dochodowy, ciążyła na nas ogromna presja, by go nie stracić – wyjaśnia. – Ale tamta sytuacja zupełnie przekroczyła granice. Dopóki on tylko mówił, to było do przeżycia, ale gdy złapał mnie za piersi... Najgorsze było to, że nic z tym nie zrobiłam. Chyba

Po spotkaniu z prorektorem Anna zdecydowała się przejść w firmie do sektora obsługi średnich i małych przedsiębiorstw. – Doszłam do wniosku, że dla własnego dobra powinienam raczej unikać tego typu sytuacji.

Pracownik, który przejął obowiązki Anny w obsłudze dużych klientów, został potem jej przełożonym, mimo że pracował w firmie krócej niż ona. Anna przyznaje, że gdyby nie prorektor, może byłaby dziś na miejscu kolegi. – Ale wtedy to była najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć – ocenia.

Prorektor, który złapał Annę za biust, obecnie jest wykładowcą jednej z prywatnych uczelni.

Cisza ministerstwa

Autorkę raportu HFPC, Julię Gerlich, pytam, czy do jej pracy odnieśli się w jakikolwiek sposób przedstawiciele polskiego rządu – Nie. Przedstawione dane nie zostały w żaden sposób skomentowane przez przedstawicieli Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego – odpowiada. – Publikacja raportu odbiła się jednak echem w mediach, a w debacie publicznej powrócono do raportu RPO.

Nieco lepiej przedstawia się sytuacja z reakcją uczelni. – Już na etapie prowadzonych badań jeden z uczelnianych pełnomocników zwrócił się z prośbą o przestanie rekomendacji – wyjaśnia Julia Gerlich. – Po publikacji raportu z fundacją skontaktowała się również pani Katarzyna Jurzak, pełnomocniczka rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego ds. bezpieczeństwa studentów i doktorantów.

Wśród rekomendacji dla uczelni, które znalazły się w raporcie HFPC, są m.in. szkolenia dla pracowników i studentów dotyczące reagowania na molestowanie, zagwarantowanie dostępu do informacji dla ofiar zjawiska, katalog tzw. środków przejściowych przy rozpoczęciu procedury reagowania na molestowanie oraz powołanie przez uczelnie organu, którego zadaniem byłoby reagowanie na przypadki molestowania.

Raport zawiera również model przeciwdziałania molestowaniu i reagowania na jego przypadki oraz przykłady dobrych praktyk. Czy uczelnie wezmą sobie do serca rady ekspertów z HFPC? Okaże się już wkrótce.

Anna Brzeska

Mundurowi skarżą się na „dobrą zmianę”

Aż 169 funkcjonariuszy podpisało się pod doniesieniami o nieprawidłowościach w MSWiA

Arkadiusz Panasiuk

Kilkunastostronicowy raport pośtanki Bożeny Kamińskiej PO-KO o nieprawidłowościach w służbach mundurowych obejmuje okres od 1 października 2018 r. do początku września 2019 r. W tym czasie Kamińska otrzymała 202 sygnały, z czego aż 169 listów było podpisanych imieniem i nazwiskiem. To świadczy o determinacji skarżących się na „dobrą zmianę” funkcjonariuszy, bo mundurowi nominaci Prawa i Sprawiedliwości ochoczo wszczynają z byle powodu postępowania dyscyplinarne wobec podwładnych.

Przeważająca liczba zgłoszeń pochodzi z Podlasia, matecznika wiceministra spraw wewnętrznych i administracji Jarosława Zielińskiego, ale niemały bałagan panuje też na południu kraju i w Warszawie.

Najwięcej zgłoszonych nieprawidłowości dotyczy przekraczania uprawnień oraz nadużywania stanowiska służbowego przez przełożonych. Nieco mniej jest molestowania, mobbingu, korupcji i nepotyzmu, a najmniej tuszowania nieprawidłowości na komendach i posterunkach.

Tyle statystyka. A oto przykłady:

- Komenda Powiatowa Policji w Parczewie: „70% kierownictwa na zwolnieniach lekarskich od psychiatrii, frustracja policjantów; komendant w godzinach pracy uczestniczy w mszy św.”.

- Pododdział Kontroli i Bezpieczeństwa Policji w Lublinie: „Szykanowanie młodych policjantów, układy rodzinno-kołosiowskie, łamanie prawa, kradzież amunicji, fałszowanie dzienników szkoleń”.

- Biuro Operacji Antyterrorystycznych w Warszawie: „Komenda Główna Policji: zakup zbędnego sprzętu do nurkowania, nieprawidłowe awanse”.

- Komenda Powiatowa Policji w Janowie Lubelskim: „Mobbing, po-

niżanie pracowników, znęcanie się, nepotyzm, zmuszanie do przejścia na emeryturę, awans za seks, fałszowanie dokumentacji, awanse dla »swoich«”.

- Komenda Powiatowa Policji w Elku: „Fałszowanie statystyk, »papierowe« patrole z sekcji kryminalnej”.

Do pośtanki Kamińskiej zgłaszali się nie tylko policjanci. W sierpniu tego roku napisał do niej „Dąb”, funkcjonariusz Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej: „(...) Komendant



Podlaskiego Oddziału SG Grzegorz Biziuk tak się zasłużył, że dostał bardzo szybki awans na generała. Jeszcze dwa lata temu był podpułkownikiem. Pan gen. bryg. Biziuk wiernie i skutecznie toruje drogę awansu i kariery zawodowej znajomym i rodzinie swojej, a w szczególności wiceministra Zielińskiego. Podlaski Oddział Straży Granicznej jest jak prywatny folwark tych panów, a kłamstwo i nadużywanie władzy to codzienność. Dziś kadra oddziału jest zastraszona, ludzie boją się rozmawiać, a zarządzanie oddziałem oparte jest na pomówieniach i plotkach. Na niepokornych nasytane są kontrole i bezpodstawne komisje. Jeżeli nic nie stwierdzą, to uruchamiany jest system oszczerstw i pomówień, z których treścią zainteresowani nie są zapoznawani (...).

Dalej było m.in. o wyrzucaniu z placówek Straży Granicznej na Podlasiu doświadczonych komendantów podpułkowników oraz instalowaniu na ich miejsce niższych szarż „po linii rzymskokatolickiej”.

Tak działo się przynajmniej w placówkach Straży Granicznej w Białowieży i Czeremsku. Listy w tej sprawie do premiera Mateusza Morawieckiego pisał sam prawosławny metropolita warszawski i całej Polski Sawa, ale niewiele to dało. Prawosławnych podpułkowników wysłano na emeryturę, a na ich miejsce przyszli katolicki porucznicy i kapitanowie.

Przy tym wszystkim pojedyncza w raporcie skarga funkcjonariusza Służby Więziennej Okręgu Białostockiego na „zatrudnianie osób z PiS (protegowani p. J. Zielińskiego) i nepotyzm w najczystszej postaci” to oczywista oczywistość.

Bożena Kamińska nie ukrywała, że przygotowuje raport. I najwyraźniej wywołało to panikę rządzących, bo w dniu, w którym go ujawniła, prawicowe media i TVP ostro ją zaatakowały. Zarzucono jej, że za sejmowe pieniądze wynajmuje służbowe mieszkanie, i to prawdopodobnie od własnego zięcia. Jarosław Zieliński pytał na Twitterze, czy Kamińska zwróci Kancelarii Sejmu ponad 100 tys. zł, bo „elementarne standardy uczciwości tego wymagają, zwłaszcza jeżeli chce się rozliczać innych”. Cóż, pośtanka prawa nie łamała, ale nagonka rządowej propagandy odniosła chwilowy skutek, bo dziennikarze raczej zignorowali jej raport. Tylko że bałaganu w służbach mundurowych za „dobrej zmiany” jest tyle, że nie da się tego ani umniejszyć, ani przykryć zięciem pośtanki. ■

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Przełomowe, patrząc na światową reakcję, wystąpienie w ONZ Greta Thunberg, 16-letniej Szwedki, która zainicjowała globalny protest, zwany szkolnym strajkiem klimatycznym, wywołało prawicowe tsunami nienawiści wobec aktywistki. Pospolite ruszenie prawicowych komentatorów, trolli internetowych, sympatyków negacjonistów klimatycznych z jednej strony poraża skalą i zasięgiem, z drugiej jednak staje się symbolem kompletnej bezzadności nienawistników. Nie ma rozmowy o tym, co mówi, wykrzykuje, w ONZ nawet przez trzy, najbardziej znana nastolatka politycznego świata (wreszcie to nie piosenkarka, piosenkarz, piłkarz, modelka), jest rozmowa o tym, czy jej wolno, jak wygląda, na co pozwala – a raczej nie pozwala – jej wiek. Greta Thunberg naruszyła niepisane zasady zamykania ust tym, co to jak „dzieci i ryby” głosu nie mają. Prawica nagle zawyla, że trzeba rozmawiać z dorosłymi, z ekspertami, z naukowcami, a nie z nastolatką. Ta sama prawica, która na okrągło od lat neguje, deprecjonuje, lekceważy i przemilcza naukowy konsensus klimatyczny. Ci sami publicyści i politycy, którzy marnowali nasz czas i energię na podważanie niepodważalnego, dzisiaj, w obliczu ofensywy politycznej najmłodszych,

pokolenie. Doceńmy skuteczność tej akcji, oglądając zdjęcia sprzed roku, na których zakapturzona siedzi w deszczowe dni samotnie pod Riksdagiem, i te z ostatnich tygodni, kiedy miliony dzieciaków i młodzieży wyszły na całym świecie na ulice, krzycząc w obronie planety, którą wciąż zamieszkujemy.

Nade wszystko jest jeszcze Greta Thunberg młodą kobietą, a tych słuchać trudno albo ciężko. Uruchamiają się wszystkie przyduszone formy niezgody na kobiecą opinię, kobiece zdanie, kobiece skuteczne polityczne działanie, na kobiecą empatyczną mądrość. Gdyby Greta żyła wcześniej, sptonęłaby na stosie. Oglądając nawet w umiarkowanym wymiarze ogrom wylanej na nią nienawiści i pogardy, cofamy się do świata, w którym istnienie takiej kobiety było karane śmiercią w płomieniach. Ale żyjemy dzisiaj. Żyją nasze dzieci, wnuki. Zabierają głos w sprawie swojej i naszej. Ten przekaz nie jest skomplikowany, chociaż najwyraźniej nieprzyswajalny dla klasy politycznej (nad polską wariacją tego gatunku, z premierem i prezydentem na czele podczas katowickiego szczytu klimatycznego, spuśćmy zasłonę milczenia; dzisiaj znikają klipy z błazniącym się Morawieckim, który mówiąc o „rządowych działaniach na rzecz klimatu”,

Greta, ty czarownico!

poderwanych do akcji przez Gretę, jeszcze rok temu siedzącą samotnie w każdy piątek pod szwedzkim parlamentem, chcą kogo innego, chcą wszystkich, tylko nie Gretę.

Polska prawacka szczujnia i okolice nie pozostają w tyle, szkoda nawet się pochylać nad tymi Warzechami, Ziemkiewiczami, Feusette'ami, do których dołączają komentatorzy, wydawałoby się, z wyższej półki, jak choćby Witold Jurasz, co odnotowuję z przykrością, czy pojawiający się jak duchy z innego świata mądrale z Balcerowiczowskiego FOR albo zahibernowany w neoliberalnym bursztynie własnych uprzedzeń i niekompetencji Witold Gadomski z „Gazety Wyborczej”. Wszyscy oni z najwyższą pogardą usiłują wyśmiać, zdeprecjonować przesłanie Szwedki. Bo za młoda, za nerwowa, emocjonalna, chora psychicznie (Greta ma zdiagnozowany zespół Aspergera, o czym zresztą sama, bardzo świadomie i przytomnie, opowiada), że ktoś za nią stoi, że powinna się uczyć, siedząc w klasie, a nie płynąć jachtem księcia Monako (żeby nie lecieć samolotem) do Nowego Jorku. Okazuje się, że nawet książę Monako może być jakimś antidotum na prawackie zaślepienie.

Ktoś sensownie skomentował, chłodno patrząc na metody uprawiania skutecznej polityki w skali globu, że antygretowa histeryczność wzięła się z tego, że 16-latka odebrała prawicy monopol na szantażowanie strachem, kiedy wprowadziła do światowej agendy temat apokaliptycznego zagrożenia konsekwencjami zmian klimatycznych. Naukowcom i innym uświadomionym dorosłym to się nie udało przez dekady, a Greta poruszyła swoje

myśli smog z emisją dwutlenku węgla, a walkę z globalnym ociepleniem – z ograniczeniem plastiku. O największym trucicielu – węglu – nie pada ani słowo). Do wielowiekowej tradycji głupoty polskiej Morawiecki i Duda dopisują nowe, pełnokrwiste, czarne jak węgiel, rozdzieliki.

Czarownica, „ekoterrorystka”, „rozwydrzona” i „zmanipulowana”, przemawiała w niemożliwy do zapomnienia sposób: „Ludzie są chorzy, ludzie umierają, a wy potraficie tylko mówić o pieniądzach i snuć fantazje o nieskończonym wzroście gospodarczym. Jak możecie? Młodzi ludzie zaczynają rozumieć waszą zdradę i nie pozwolimy wam od tego uciec. Nie powinnam być tutaj. Powinnam wrócić do szkoły po drugiej stronie oceanu. Ukradliście moje marzenia i moje dzieciństwo swoim pustostwom. Jak śmieliście?!”.

Był czas palenia czarownic. Był czas niesłuchania ostrzeżeń klimatologów. Był czas chowania głów w piasek. Był czas lekceważenia zagrożenia katastrofą. Był czas niepodejmowania decyzji. Ten czas minął. I powiedziała o tym światu dobitnie 16-letnia szwedzka uczennica, która odrobiła lekcję. „Dlaczego każecie nam się uczyć, jeżeli nie słuchacie uczonych” – taki transparent nieśli młodzi ludzie w polskich marszach szkolnego strajku klimatycznego. Naszym obowiązkiem jest stać za nimi murem i wspierać ich walkę o uratowanie świata, który zniszczyliśmy. My – dorośli, jeśli to cokolwiek znaczy. My i nasz kapitalizm. My i nasza bezmyślność. My i nasz spokój. I obojętność. I brak empatii. Dlatego #muremzagreta.

Dzień żałoby po powstaniu warszawskim

Rocznica powstania powinna być obchodzona 2 października, w dniu jego upadku i wygnania z miasta 650 tys. warszawiaków

Marek Przygodzki

Ja sam nie uczestniczyłem w powstaniu. Urodziłem się dopiero po wojnie. Jednak kilka osób z rodziny straciło w nim życie albo zdrowie, jestem także świadkiem wieloletniej traumy, jaka po nim pozostała. Moja rodzina to warszawscy wygnańcy, którzy w wyniku powstania utracili cały swój przedwojenny świat i dorobek wielu pokoleń. Rostem w towarzystwie kuzynów, którzy byli popowstaniowymi sierotami. Ciotek i wujków, którzy brali udział w walce i przeżyli, ale w jej ogniu stracili partnerów i przyjaciół. Mój chrzestny, wujek Janek, został inwalidą na całe życie, na skutek ran odniesionych w jakimś niepotrzebnym ataku. Drugi wujek, Zbyszek, zginął na Ochocie razem z rannymi, którymi się opiekował. Zostawił żonę z dwójką malutkich dzieci. Siostra ojca, Basia, przeżyła powstanie tylko dzięki temu, że koledzy z oddziału zanieśli ją nieprzytomną do jej matki, do domu, a ta ją odratowała. Mój ojciec miał szczęście. Nie wziął udziału w powstaniu. Siedział już wtedy w obozie koncentracyjnym. Moja matka z młodszą siostrą Ireną, jej małymi dziećmi, małym bratem i chorą własną matką opuściły

Dziadek już 50 lat temu ostudził moje zachwyty nad bohaterstwem powstańców, mówiąc mi, że ich krew została przelana kompletnie bez sensu.

Warszawę parę godzin przed wybuchem powstania. Wyjechali do znajomych, do Zaborowa, gdyż szwagier i kuzyn, którzy przyszliz zabrać broń schowaną w domu, uprzedzili je, że w mieście będzie mała strzelanina. Tylko parę dni. Niemcy już uciekają, trzeba więc zrobić zbrojną



Większość wypędzonych mieszkańców stolicy trafiła do obozu przejściowego Dulag 121 w Pruszkowie.

demonstrację! Dlatego wyjechali, tak jak stały, w letnich sukienkach.

Ta mała strzelanina bardzo się przedłużyła. Od 6 sierpnia, gdy do Zaborowa dotarła także Halinka, 10-letnia córka kuzyna mojej matki, było wiadomo, że dzieje się

niem bliskich. Mijała żołdaków, którzy patrzyli na nią jak zahipnotyzowani. Myśleli chyba, że ona już nie należy do świata żywych, więc jej nie zabili.

„Gorączka” Okulicki

Z powstania nie wrócił żaden z chłopaków. Matka musiała sama ratować resztę rodziny przed zamknięciem i śmiercią głodową. Dzieci przeżyły następną, ciężką zimę tylko dzięki temu, że Niemiec, dyrektor miejscowej cukrowni, ulitował się i dał im dwa worki cukru. Matka chodziła z tym cukrem po wioskach i wymieniała go na jedzenie oraz ubrania. Do Warszawy zdołała wrócić dopiero po 25 latach.

Dobrze znam nie tylko świeże relacje ludzi, którzy byli uczestnikami

coś strasznego. Halinka siedziała w skrytce, gdy Niemcy mordowali mieszkańców ich kamienicy. Potem ze strychu patrzyła na to, co się działo po sąsiedzku. Nie mogła się doczekać powrotu ojca, więc w biały dzień ruszyła zaślaną trupami i zalaną krwią ulicą Wolską w poszukiwa-

dramatu. Znam także okoliczności ówczesnych wydarzeń. Bogatą wiedzę na ten temat dały mi rozmowy z dziadkiem Michałem, ojczymem mojej matki, który z wojny wrócił w 1945 r. jako inwalida, niewidomy. Z wykształcenia był prawnikiem. A z zamiłowania znawcą najnowszej historii politycznej. Jako były legionista doskonale znał układy wśród wojskowych elit przedwojennej Polski. Był zaprzyjaźniony z gen. Leopoldem Okulickim. Tym, który po upadku powstania był ostatnim

całkowicie błędne. Powstanie okazało się straszną pomyłką, za którą pokolenie moich rodziców zapłaciło ogromną cenę.

Czas panowania mitów

Niestety, po wojnie nie było dobrze go czasu na dokonanie uczciwej oceny przyczyn i skutków tej katastrofy. Wtedy obóz londyński nie chciał uderzyć się w piersi. Co prawda, gen. Władysław Anders napisał, że wywołanie powstania w Warszawie

Gdy rozmawiałem z nimi 50-60 lat temu, wszyscy byli świadomi, że wysłano ich do walki, której wygrać nie mogli. Mieli poczucie winy, gdy patrzyli, jak ginie ich ukochane miasto, jak cierpią jego mieszkańcy. Czuli się bezradni i oszukani przez polityków i dowódców. Równocześnie ogromnie potrzebowali choćby cienia nadziei. Chcieli wierzyć, że ich ofiara miała jakieś uzasadnienie, że katastrofa została spowodowana spiskiem wrogów. Dlatego nastał czas panowania mitów.

Te mity nie były groźne, dopóki nie stały się narzędziem współczesnej polityki. Dzisiaj politycy uparcie głoszą, że bez powstania nie byłoby wolnej Polski. Opowiadają o krwawej ofierze, którą byliśmy winni pokoleniom poprzednich powstańców, o największej bitwie europejskiego podziemia i największym wydarzeniu w naszej tysiącletniej historii. Z powstańców zrobili herosów zbiorowej

Powstanie okazało się straszną pomyłką, za którą pokolenie moich rodziców zapłaciło ogromną cenę.

dowódcą Armii Krajowej, sądzonym potem w Moskwie i zmarłym w Rosji. Dziadek doskonale znał temperament i sposób myślenia Okulickiego, gdyż razem z nim przebył długą drogę. Razem poszli do Legionów Piłsudskiego walczyć o wolną Polskę w czasie I wojny światowej. W tym celu uciekli z bocheńskiego liceum. Zgłosili się do wojska, mając po 15 lat, i wzajemnie zaświadczyli, że mają więcej. W Legionach służyli w jednej drużynie. Po kryzysie przysięgowym spędzili razem półtora roku w Szczybrnie, śpiąc prycza w prycze.

Dziadek już 50 lat temu ostudził moje zachwyty nad bohaterskimi wyczynami powstańców, mówiąc mi, że ich krew została przelana kompletnie bez sensu. Powiedział mi wtedy, że całe powstanie było wynikiem cynicznej gry polityków i głupoty naszych dowódców. Politycy chcieli mieć powstanie w wielkim mieście, bo uważali, że świat to zauważy. Liczyli na efekt propagandowy takiego zrywu i chcieli zastosować szantaż moralny wobec sojuszników. Nie liczyli się z kosztami społecznymi tej awantury. A wojskowi zlekceważyli Niemców. Byli przekonani, że oni już uciekają. Dziadek nazywał Okulickiego „gorączką”. Ten człowiek kochał machać szablą i przylatując z Londynu, był przekonany, że trzeba będzie tylko rozbroić Niemców, tak jak w 1918 r., więc parł do rozpoczęcia walki. Całe krajowe dowództwo koniecznie chciało pokazać, jacy to jesteśmy dzielni i zorganizowani. Bardzo się śpieszyli, żeby zdążyć powojować, zanim Rosjanie wejdą. Ich kalkulacje polityczne i militarne były

było nie tylko błędem, ale także zbrodnią, jednak ten pogląd nie przebił się szerzej. Głównie dlatego, że podzielała go nowa krajowa władza, współpracująca ze Związkiem Radzieckim. To był dla naszych



Napis na tabliczce głosi: „W piwnicach tego domu spoczywają ranni żołnierze AK i ludność cywilna spaleni żywcem przez zbirów niemieckich dnia 02.09.1944. Cześć ich pamięci!”.

londyńczyków wróg równie groźny jak Niemcy Hitlera. Radziecka armia wyzwoliła Polskę spod okupacji niemieckiej i kraj zaczynał wracać do życia. Jednak nowy rząd nie był niezależny od wyzwoliciele. Nie mógł mieć racji w tak bolesnej sprawie.

Wtedy nie tylko politycy, ale także byli powstańcy potrzebowali jakiegoś uzasadnienia dla tej katastrofy.

wyobraźni i sami się do nich dokleili. Nie ma już mowy o odpowiedzialności za katastrofę, gdyż polityka historyczna przekuła ją w zwycięstwo. Klęska spowodowana głupotą polityków stała się mitem założycielskim naszej obecnej państwowości, a krwawy heroizm jest obowiązującym modelem patriotyzmu. Dziś powstanie warszawskie to fajne gry dla

► młodzieży. Rocznicę powstania stały się czasem nadętej celebry i mów pełnych fałszu. A obchody zostały zdominowane przez „patriotów”, którzy wyglądem i zachowaniem przypominają niemieckich siepaczy. Kiedyś te rocznice były dla nas bardzo ważnym czasem bolesnej zadumy. Politycy nie mieli na nie wstępu. Dzisiaj jestem chory, gdy nadchodzi ten czas. Obawiam się, że politycy, którzy nakręcają karuzelę kłamstw, chcą wystąpić do boju kolejne pokolenie. Tę karuzelę trzeba zatrzymać, sprawy nazwać po imieniu. Konieczne jest uczciwe opowiadanie, co się stało, i ustalenie osób odpowiedzialnych za podjęcie fatalnej decyzji

a ogromną część miasta zrównali z ziemią.

II. Powstanie nie miało żadnego wpływu na odzyskanie przez Polskę wolności. Dzisiaj dobrze wiemy, że nasz kraj uzyskałby po wojnie tyle samo wolności bez powstania, ile otrzymał, mając je na sumieniu. Tyle samo, ile wtedy uzyskały Czechy, Węgry, Rumunia lub Bułgaria. Wszystkie te kraje odzyskały pełną suwerenność w 1989 r., tym samym co Polska. Żaden jednak nie dochodził do tego poprzez wysadzanie

Mikołajczyk zezwolił na podjęcie takiej akcji zbrojnej, gdyż leciał do Moskwy na rozmowy z PKWN i Stalinem. Rozmowy były zaplanowane na 2 lub 3 sierpnia, więc termin wybuchu powstania nie był przypadkowy. Mikołajczyk nie wiedział jednak wtedy, że demonstracja zbrojna nie może niczego zmienić. Przebieg naszej przyszłej granicy wschodniej został uzgodniony pomiędzy przywódcami trzech sojuszniczych mocarstw już na konferencji w Teheranie, w 1943 r. Zachodni sojusznicy traktowali nas

Gdy rozmawiałem z powstańcami 50-60 lat temu, wszyscy byli świadomi, że wysłano ich do walki, której wygrać nie mogli.



Dwie ciotki autora, dowódca oddziału Wiera Dudzińska, ps. „Angora”, i najmniejsza w oddziale, Barbara Przygodzka, ps. „Żabka”, służyły w oddziale sanitarnym w Śródmieściu.

o wywołaniu powstania w Warszawie. To się należy moim bliskim, którzy odeszli, a także okłamywanej obecnie młodzieży.

Błędy polityków

I. Koszty powstania były straszne. „Wielka bitwa polskiego podziemia” była rzezią mieszkańców miasta i młodzieży rzuconej do boju prawie bez broni. Po polskiej stronie zginęło w niej ok. 200 tys. osób, w tym prawie 18 tys. powstańców. Dalszych kilkadziesiąt tysięcy osób zostało rannych. Niemcy ponieśli niewielkie straty w ludziach i sprzęcie (zaledwie 1570 zabitych oraz ok. 9 tys. rannych). Do spacyfikowania Warszawy potrzebowali raptem kilkunastu tysięcy żołnierzy. Po stłumieniu powstania wysiedlili z niej ok. 650 tys. pozostałych przy życiu mieszkańców,

w powietrze własnej stolicy. Trzeba też dodać, że już w lipcu 1944 r., czyli przed wybuchem powstania, było wiadomo, że Polska będzie po wojnie odrębnym państwem. Wtedy został opublikowany tzw. Manifest PKWN, stanowiący oficjalną deklarację zamiarów Stalina dotyczących naszego kraju oraz informujący o rozpoczęciu formowania przyszłego polskiego rządu. Wywołanie powstania wręcz zaszkodziło budowaniu naszej wolności. W jego wyniku Polska straciła swoje centrum administracyjno-naukowo-intelektualne oraz dużą część młodej elity. Nasz kraj stawał do powojennej odbudowy państwowości ze złamanym kręgosłupem.

III. Wszystkie rachuby polityczne były błędne. Polscy politycy z Londynu wymyślili powstanie jako akt sprzeciwu wobec przesunięcia naszej granicy wschodniej. Premier

jako przypadek beznadziejnie nieelastyczny, nie trudzili się zatem, aby nas do nowych granic przekonać, a nawet nie poinformowali, że się na nie zgodzili. Mikołajczyk dowiedział się o tym od Stalina dopiero w październiku 1944 r.

Wybuch powstania miał wzmocnić pozycję przetargową rządu londyńskiego, a spowodował skutek wręcz odwrotny. Spóźnione zabiegi o pomoc zepchnęły nas na pozycję petenta, zarówno w stosunku do Stalina, jak i wobec zachodnich sojuszników. Dla Stalina podjęcie pod nosej jego armii nieuzgodnionej z nim, konfrontacyjnej akcji zbrojnej było aktem wrogim, dowodem, że polskie podziemie może być zagrożeniem dla jego wojsk, idących w stronę Niemiec. Stalin poddał ten problem pod rozagę zachodnim sojusznikom, którzy także nie byli uprzedzeni o planowanym wybuchu powstania i którym zależało na przyspieszeniu działań na wschodzie. W efekcie dali oni Stalinowi wolną rękę w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa na jego zapleczu. Równocześnie sojusznicy podjęli decyzję o zaprzestaniu dostarczania uzbrojenia partyzantce działającej na naszym terenie. To była katastrofa polityczna. W efekcie Armia Krajowa znalazła się poza obrębem nadchodzącego prawa.

Błędy wojskowych

IV. Decyzja o rozpoczęciu akcji zbrojnej 1 sierpnia 1944 r. była całkowicie nieodpowiedzialna. Dowódcy AK, którzy ją podejmowali,

dobrze wiedzieli, że dysponują uzbrojeniem dla zaledwie 3 tys. żołnierzy, a druga strona ma w mieście ponad 20 tys. dobrze wyposażonego wojska, rozmieszczonego w ufortyfikowanych obiektach. Wiedzieli, że podjęcie działań zaczepnych w takiej sytuacji jest czystym szaleństwem. Ich pierwotny plan zakładał, że oddziały powstańcze mają zająć się zlikwidowaniem niemieckiej administracji i policji dopiero w chwili wkraczania Rosjan. Mieliśmy ich przywitać jako gospodarze. To miałyby jakiś sens. Jednak błędne kalkulacje polityczne i nadmierne ambicje personalne spowodowały nagłe przyspieszenie akcji i potrzebę atakowania ufortyfikowanych obiektów. Tę nieszczęsną decyzję podjął bezpośrednio gen. Tadeusz Bór-Komorowski pod presją generałów Okulickiego, Pełczyńskiego i Chruściela.

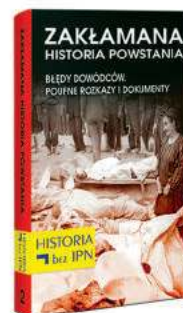
V. Ocena sytuacji na froncie była nieprawidłowa. Podstawową przyczyną podjęcia decyzji o rozpoczęciu powstania było przekonanie, że Niemcy są już rozbici. Taka ocena została sformułowana, gdy armia niemiecka właśnie szykowała kontruderzenie na przedpolach Warszawy i przerzucała na wschód kolejne dywizje pancerne. Drugim błędem było przyjęcie założenia, że Rosjanie pójdą z marszu za Wisłę. Dla wojskowych fachowców powinno być oczywiste, że po 400-kilometrowym skoku Armia Czerwona będzie jechała na resztkach paliwa, amunicji i żywności. Trzeba było założyć, że po dotarciu do linii wielkiej rzeki będzie musiała odpocząć i odbudować siły. Nasze dowództwo powinno było zauważyć, że latem 1944 r. Niemcy bynajmniej nie szykowali się do opuszczenia lewego brzegu Wisły, a tym bardziej Warszawy. Powinno wiedzieć, że jeśli nawet nadchodząca armia zechce od razu pójść za Wisłę, i tak nie będzie jej forsować w Warszawie. Trzeba było spokojnie czekać na rozwój wydarzeń i nie rozpoczynać akcji na pierwszy sygnał o pojawieniu się rosyjskich czołgów. Trzeba było wycofać się ze złej decyzji natychmiast po otrzymaniu meldunku, że Niemcy rozpoczęli duże przeciwnatarcie. Był jeszcze czas na odwołanie powstania, ale Bór-Komorowski nie wykorzystał tej szansy.

KŁAMSTWA O POWSTANIU SĄ CZĘŚCIĄ POLITYKI HISTORYCZNEJ WŁADZY.

W PiS i IPN NIE MA MIEJSCA NA OBIEKTYWIZM.



41 zł



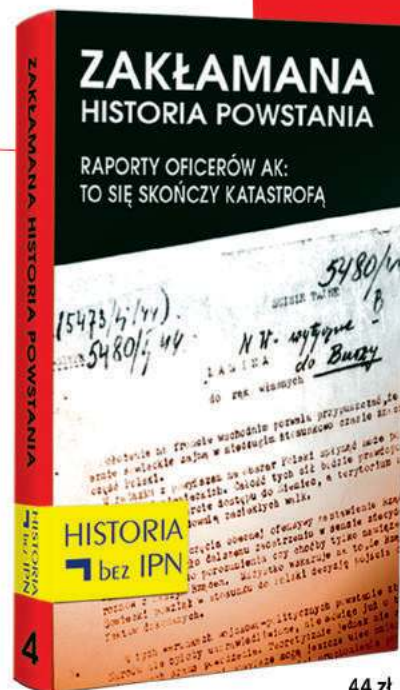
42 zł



40 zł

IM DALEJ OD POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, TYM MNIEJ PRAWDY.

4 TOMY
W PAKIECIE
TANIEJ -
130 zł



44 zł

„Zakłamana historia powstania” to 4 tomy niepublikowanych lub mało znanych dokumentów i analiz. Pokazujemy, jak prezydent Duda, premier Morawiecki i politycy prawicy kłamią. Jak często plotą bzdury o przeszłości. Odtrutką na ich łgarstwa są nasze książki.

Kupujcie! Czytajcie! Polecajcie!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl ebfdd2dd3f3



Książki też w formie E-BOOKA

▶ **VI. Całkowicie nierealistyczne było założenie, że Rosjanie wesprą powstanie, którego organizatorzy nie chcą z nimi rozmawiać.** Nasi sztabowcy wyznawali teorię dwóch wrogów i czekali na III wojnę światową. Nie podjęli najmniejszej próby uzgodnienia swojej akcji z nadchodzącą ze wschodu armią. Organizowali powstanie, które w sposób oczywisty było wymierzone przeciwko planom Stalina. A równocześnie założyli, że Stalin musi wejść do Warszawy i pomóc Armii Krajowej. To były samobójcze kalkulacje.

VII. Rozpoczęcie akcji zbrojnej było źle przygotowane pod względem taktycznym i operacyjnym. Podejmując pośpieszną decyzję, nie zapewniono dywersyjnego

dymienie placu, przez który musieli przebiec. Niemcy strzelali do nich jak do kaczek.

VIII. Nieprawdą jest, że powstania nie można było uniknąć. Dzisiaj wielu komentatorów twierdzi, że o jego wybuchu przesądziły nastroje społeczne. Mówią: „Polacy poderwali się, gdyż nie mogli dłużej

Powstańcy czuli się oszukani przez polityków i dowódców, równocześnie chcieli wierzyć, że ich ofiara miała jakieś uzasadnienie.

wytrzymać na kolanach, nie można było powstrzymać młodzieży, która rwała się do walki”. To prawda, że młodzież rwała się do walki i chciała się zemścić za długi okres krzywd i upokorzeń, jednak ci młodzi ludzie byli zdyscyplinowanym wojskiem, które słuchało swoich dowódców

nie będzie odwrotu. To ich dowódcy zadecydowali o wyborze miejsca, sposobu i terminu rozpoczęcia walki. Niestety, podjęli decyzję najgorszą z możliwych.

Jeżeli koniecznie chcieli walczyć, powinni zaatakować Niemców w terenie, poza stolicą. Jeszcze w czerwcu 1944 r. w Komendzie Głównej AK

obowiązywał plan „Burza”, który odrzucał możliwość podjęcia walki w miastach. Zakładał on wyprowadzenie z Warszawy paru tysięcy dobrze uzbrojonych żołnierzy, którzy w nocnym ataku mogli zdobyć lotnisko Okęcie. Równocześnie planowano wysadzić w powietrze mosty na Wiśle, aby zatrzymać główne siły niemieckie po drugiej stronie rzeki. Rankiem na Okęciu mogłyby zacząć lądować alianckie wojska desantowe oraz inne dostawy. Napływające siły, wspierane przez partyzantów, mogłyby rozpocząć manewr oskrzydlenia Warszawy. Siły powstańcze mogły nawiązać kontakt z armią Berlinga wychodzącą zza Wisły. W takiej sytuacji Niemcy, zagrożeni otoczeniem, faktycznie powinni zwać ze stolicy. Jednak realizacja tego planu wymagała nawiązania współpracy z Rosjanami, co było niemożliwe dla naszych wojskowych. Woleli utopić miasto we krwi.

Myślę, że następne rocznice powstania warszawskiego powinny przestać być okazją do nadmuchiwania balona narodowej pychy. Musimy skończyć z uprawianiem polityki historycznej. Potrzebujemy polityki mądrej. Dlatego proponuję, żeby przestać obchodzić rocznicę powstania 1 sierpnia, który przypomina nam krótki okres początkowego entuzjazmu i bojowej euforii.

Dziś powstanie warszawskie to fajne gry dla młodzieży.

Demonstracja naszej siły na przywitanie Rosjan, którzy już wchodzą. Damy kopa Niemcom, którzy już uciekają. Po prostu zostali oszukani. Nikt im nie powiedział, że pójdą z gołymi rękami na wielokrotnie silniejszego wroga. Na bój, którego nie będzie można wygrać i od którego

Ta rocznica powinna być obchodzona 2 października, w dniu upadku powstania i wygnania z miasta 650 tys. warszawiaków. W tym dniu znacznie lepiej widać to, co wtedy się stało. To powinien być dzień narodowej żałoby.

Marek Przygodzki



Zaświadczenie o odznaczeniu Krzyżem Walecznych Wiery Dudzińskiej, ps. „Angora”, za udział w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r.

przygotowania ataków. Nie pomyślano nawet o tak prostych sprawach jak koncentracja sił na wybranych, ważnych obiektach strategicznych. Podejmując prawie jawny, rozproszony atak na terenie wielkiego miasta przy użyciu skromnych sił, nie można było liczyć nawet na cud. Kompania, w której walczył wujek Janek, miała tylko trzy pistolety maszynowe. Reszta uzbrojenia to głównie broń krótka, granaty i butelki z benzyną. Pierwszego dnia powstania kompania została skierowana do ataku na koszary żandarmerii, ufortyfikowane i najeżone karabinami maszynowymi. Nikt nie zadbał o wysadzenie w powietrze muru otaczającego koszary ani o za-

Wiatrowycz odszedł, ale jego zatrute dziedzictwo pozostało

Nie ma sygnałów, by ukraińska polityka historyczna miała się zmienić

Bohdan Piętko

18 września został odwołany ze stanowiska szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Wołodymyr Wiatrowycz, który pełnił tę funkcję od 25 marca 2014 r. Odchodząc, stwierdził, że zdołał zrealizować większość celów, które przed sobą postawił. Wymienił usunięcie komunistycznej symboliki ze sfery publicznej, otwarcie archiwów KGB, „oddanie sprawiedliwości uczestnikom ruchu wyzwolenczego”, czyli przyznanie praw kombatanckich członkom OUN i UPA (nawet tym, którzy brali udział w zbrodniach przeciwko ludzkości), a także przeprowadzenie szeroko zakrojonej akcji „popularyzacji ukraińskiej historii”. Ta akcja polegała głównie na propagowaniu sfałszowanej historii ukraińskiego nacjonalizmu i negacji jego zbrodni. Odwołany szef UIPN nie wspominał o zablokowaniu możliwości ekshumacji Polaków zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich na dawnych Kresach Wschodnich II RP.

Powodu zdymisjonowania Wiatrowycza trzeba szukać w tym, że ekipa prezydenta Wołodymyra Zełenskiego postrzegą go jako człowieka Poroszenki. Na razie nie ma bowiem sygnałów, by miała się zmienić ukraińska polityka historyczna.

18 lipca przewodniczący Ukraińskiego Komitetu Żydowskiego Eduard Dolinsky poinformował, że w Samborze odślonięto w Alei Chwały pomnik Zynowija Terszakowca – szefa Lwowskiego Krajowego Prowodu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów-Banderowców. Terszakowiec był m.in. odpowiedzialny za organizowanie w Połtawie ukraińskiej policji pomocniczej, która wymordowała ok. 8 tys. Żydów. Ponosi też odpowiedzialność za czystki etniczne na Polakach i zbrodnie na Ukraińcach. Tylko

w latach 1947-1948 podległe mu struktury OUN-B i UPA zamordowały w obwodzie lwowskim co najmniej 853 członków partii komunistycznej i bezpartyjnych cywilów – głównie Ukraińców.

Z kolei 28 lipca na cmentarzu w Czerwonym pod Złoczowem uroczyste pochowano szczątki 29 esesmanów z 14. Dywizji Grenadierów Waffen-SS „Galizien” (1. ukraińskiej). W uroczystości tej wziął udział m.in. nowy wiceprzewodniczący Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Roman Fytypiw. Wpisał się on w retorykę UIPN Wiatrowycza. – Na tym miejscu polegli ludzie, którzy mieli honor bronić naszego państwa. Dzisiaj mamy wielką odpowiedzialność, aby kontynuować tę walkę o wyzwolenie narodowe – powiedział Fytypiw (cyt. za www.kresy.pl).

To tylko dwa z wielu przykładów, które pokazują, że w polityce historycznej Ukrainy nie zaszły zmiany. Jej celem było wykreowanie antyrosyjskiej Ukrainy poprzez budowanie świadomości państwowo-narodowej Ukraińców na tradycji nacjonalistyczno-banderowskiej. Towarzyszyło temu bezprecedensowe fałszowanie historii. Warto przypomnieć, że książkę Wiatrowycza „Stosunek OUN do Żydów: formowanie stanowiska na tle katastrofy” skrytykowali John-Paul Himka, Taras Kuryło, Per Anders Rudling i Grzegorz Rossoliński-Liebe. W ich opinii praca ta zaprzecza antysemityzmowi OUN i zbrodniom nacjonalistów ukraińskich na Żydach i w dużym stopniu przyczynia się do wypaczenia historii. Także inna książka Wiatrowycza, „Druga wojna polsko-ukraińska 1942-1947”



została ostro skrytykowana. Historycy, m.in. Grzegorz Hryciuk, Grzegorz Motyka, Andrzej L. Sowa i Andrzej Zięba, zwrócili uwagę, że już samo posługiwanie się terminem wojna do opisu stosunków polsko-ukraińskich w latach 1939-1947 jest próbą ukrycia ludobójczej czystki dokonanej na Polakach przez OUN-B i UPA. Według prof. Zięby książka Wiatrowycza jest pełna przemilczeń i fałszerstw wprowadzających czytelnika w błąd, mających na celu rozgrzeszenie sprawców zbrodni i skonsolidowanie Ukraińców wokół nacjonalistycznej mitologii. Niemiecka badaczka nacjonalizmu ukraińskiego Franziska Bruder już w 2011 r. wezwała świat naukowy do bojkotowania Wiatrowycza.

Niestety, wezwanie takie nigdy nie padło ze strony polskich władz, uważających, że antyrosyjską Ukrainę trzeba wspierać za wszelką cenę. Prof. Włodzimierz Osadczy trafnie zauważył, że bez potępienia przez nowe władze Ukrainy działalności Wiatrowycza jego odwołanie powinno wzbudzać w Polsce nie entuzjazm, ale rozczarowanie, że nastąpiło z półrocznym opóźnieniem. Wiatrowycz odszedł, ale jego zatrute dziedzictwo pozostało i nic nie wskazuje, by miało zostać szybko usunięte z ukraińskiej przestrzeni publicznej. ■



António Costa lubi spotykać się z wyborcami. I może liczyć na dużo sympatii.

Wojciech Osiński

Iberyjski prymus

Premier Portugalii António Costa rządzi od czterech lat i w październikowych wyborach ma spore szanse na zwycięstwo

António Costa uśmiecha się nie tylko w blasku fleszy, on uśmiecha się zawsze. Bez względu na to, czy rozmawia w Berlinie z Angelą Merkel, czy ze starszą sprzedawczynią w lizbońskim sklepiku spożywczym. Ten Portugalczyk o indyjskich rysach ma szczególną umiejętność tworzenia wokół siebie aury spokoju. Spacerując po ulicach ukochanej Lizbony, nikomu nie odmawia krótkiej rozmowy. Wyborcy to sobie cenią, tym bardziej że Costa jest pierwszym od długiego czasu premierem, który nie rzuca słów na wiatr. Jego poprzednicy wprowadzili też często się uśmiechali, ale pod przykrywką ich spokoju i zadowolenia pogłębiały się bezład i ogólna niemożność.

Gruchot nadal jedzie

António Costa rządzi Portugalią od 2015 r. Na początku jego wyborcy z trudem ukrywali rozczarowanie, że 58-letni lider Partii Socjalistycznej (PS) stanie na czele chwiejnego rządu mniejszościowego. Martwili się, że gabinet uzależniony od niepewnych porozumień z komunistyczną

Unitarną Koalicją Demokratyczną (CDU) oraz trockistami z Bloku Lewicy (BE) prędzej czy później ulegnie erozji. A niektórzy politycy opozycji, dziś już pogrążeni w parlamentarnym niebycie, z drwiącym uśmiechem określali jego rząd mianem gruchota (*geringonça*).

Tymczasem cicha koalicja z „ultralewicowymi buntownikami” – jak pisał dziennik „Diário de Notícias” – postrzegany wcześniej w Pałacu São Bento, siedzibie Zgromadzenia Republiki, jako siewcy kłopotów, przetrwała całą kadencję. Co istotniejsze, Costa uruchomił w kraju zmiany, które nie tylko odwróciły trendy sondażowe PS, lecz również wzmocniły jego własną pozycję.

Sympatyczny *senhor* Costa ma spore szanse na wygraną w wyborach parlamentarnych 6 października, co więcej, szef rządu i sekretarz

generalny PS powalczy nie tyle o samo zwycięstwo, ile o absolutną większość. W 2015 r. jego ugrupowanie przegrało wprawdzie o włos z Partią Socjaldemokratyczną (PSD), ale Costa odmówił wsparcia rządowi Pedra Passosa Coelho, przegłosowawszy z nowymi sojusznikami z CDU i BE wotum nieufności dla szerokiej centrowej koalicji Portugalii naprzód! (PàF). Dziś sondaże wskazują wyraźną niechęć większości wyborców do zmiany obecnej władzy, tym bardziej że PSD w kampanii wyborczej żadnych kuszących pomysłów nie przedstawiła. W ostatnim sondażu dla dziennika „Público” PS osiąga 39%, czyli o ok. 7 pkt proc. więcej niż w 2015 r. – Nie ma wątpliwości, że António Costa wygra w cuglach. Batalia toczy się raczej o to, jak wysoko – zapewnia Miguel Sousa Tavares, znany

portugalski komentator i publicysta tygodnika „Expresso”.

Podczas gdy w sąsiedniej Hiszpanii sytuacja polityczna nadal jest niestabilna i co rusz rozpisuje się nowe wybory, nad Tagiem zapanował więc względny spokój. I to mimo że jeszcze w 2015 r. państwo po zachodniej stronie Półwyspu Iberyjskiego było w bliźniaczo podobnym położeniu, a Portugalczycy otwarcie mówili ankietnikom o buncie przeciw całemu systemowi.

Zmiany na lepsze

Kiedy António Costa cztery lata temu przejmował władzę, protesty mieszkańców Portugalii przypominały zachowanie Greków

António Costa umiejętnie zbudował wizerunek polityka, który wyciąga rękę do ludu.

w najgorętszej fazie kryzysu strefy euro. Warunki podyktowane przez Europejski Bank Centralny, Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Komisję Europejską były surowe i zmusiły wielu Portugalczyków do dotkliwych wyrzeczeń. Jednocześnie jednak zapewniły państwu kredyt w wysokości 78 mld euro, który miał podreperować krajową gospodarkę. W przeciwieństwie do greckiej Syrii portugalskiemu rządowi udało się złagodzić skutki uboczne narzuconej przez UE polityki oszczędnościowej i zadbać o wzrost gospodarczy, przy równoczesnym przestrzeganiu kryteriów paktu stabilizacyjnego autorstwa zniechęconej Trojki.

António Costa urodził się w Lizbonie. Miał niespełna 14 lat, gdy w 1975 r., rok po rewolucji goździków kładącej kres dyktaturze tzw. Nowego Państwa, proklamowanego w 1933 r. przez António de Oliveirę Salazara, wstępował do przybudówki młodzieżowej PS. Obecny szef rządu jest synem znanego portugalskiego pisarza Orlanda da Costy, pochodzącego z Goa, stanu na zachodnim wybrzeżu Półwyspu Indyjskiego, portugalskiej kolonii od roku 1510 do 1961. Ojciec premiera był aktywnym przeciwnikiem ustroju Nowego Państwa, przez co stał się ofiarą prześladowań ze strony służb Salazara. Natomiast matka była dziennikarką i pierwszą kobietą

w Portugalii, która kierowała związkiem zawodowym.

W latach 80. António Costa studiował prawo na Uniwersytecie Lizbońskim, kierując jednocześnie organizacją studencką o wyraźnym zabarwieniu politycznym. Po studiach i odbyciu stażu w biurze późniejszego prezydenta z ramienia PS Jorge Sampaia Costa pracował jako adwokat. Ze stolicą Portugalii związany był od początku kariery politycznej – najpierw jako członek rady miejskiej, a następnie m.in. jako lider frakcji deputowanych PS w Zgromadzeniu Republiki, szef resortu sprawiedliwości w rządzie António Guterreza, minister spraw wewnętrznych w gabinecie José Sócratesa i wreszcie burmistrz Lizbony w latach 2007-2014.

To głównie w tej ostatniej roli Costa zaskarbił sobie sympatię większości mieszkańców miasta „na siedmiu wzgórzach”. Już wtedy wykazywał szczególną zdolność do zawierania kompromisów z socjalistycznymi „buntownikami”, co znacznie ułatwiło mu pójście po kolejne dwa zwycięstwa w wyborach do lizbońskiego ratusza. Z fotela gospodarza stolicy zrezygnował w 2015 r., aby skoncentrować się na kampanii przed wyborami parlamentarnymi. Swojemu miastu pozostał wierny do dziś – biuro prezesa Rady Ministrów mieści się w Małym Pałacyku

Portugalia od kilku lat co roku przyjmuje więcej imigrantów.

św. Benedykta w samym sercu stolicy. Z Lizboną Costa rozstał się zaledwie na kilka miesięcy (2004-2005), kiedy sprawował mandat posła do Parlamentu Europejskiego, będąc zarazem jednym z wiceprzewodniczących PE.

Trudne rozmowy

Podobnie jak cztery lata temu Costa w tym roku prowadził dobrze wyreżyserowaną kampanię, umiejętnie budując wizerunek polityka, który wyciąga rękę do ludu. – Obecny premier całkowicie różni się od innych polityków, którzy są zajęci prawie

wyłącznie poszerzaniem swoich wpływów. U Costy zauważam autentyczną szczerość i troskę o państwo – przekonuje historyk i eseista José Pacheco Pereira, co można uznać za szczególnie smaczek, bo jako członek konserwatywnego skrzydła PSD Pereira jest zdeklarowanym przeciwnikiem kruchej koalicji PS-CDU-BE.

Aby po raz wtóry przekonać wyborców, późnym latem Costa przemierzył ze swoim sztabem trasę wzdłuż ciągnącej się przez cały kraj Estrada Nacional 2, czyli portugalskiej Route 66. Kampanię rozpoczął w północnym Chaves, graniczącym z hiszpańską Galicią, a zakończył w odległym o 700 km Faro w Algarve, gdzie Atlantyk obmywa Portugalie od południa. W ciągu tych kilku tygodni odpowiadał na liczne pytania rodaków, nadal zirytowanych brakiem sukcesów rządu i mówiących nieodmiennie o tych samych problemach – przeludnionych szkołach, kiepskiej infrastrukturze, długich kolejkach przed gabinetami lekarskimi, tudzież sądownictwie, na którym często nie można polegać.

Na drodze do Algarve premier spotkał się również z konserwatywnymi „obrońcami wsi”, którzy mu naubliżali i krzyczeli, że jego rząd tylko przyspiesza destrukcję państwa. Niemniej jednak kampania Costy opiera się na jego niewzruszonym przekonaniu, że w wyborach językiem u wagi są właśnie te najtrudniejsze rozmowy z ludźmi, a wiecie w zamkniętych salach to relikwiarz przeszłości. Niektórzy liderzy PSD

widocznie do dziś nie wyciągnęli wniosków z topniejącej popularności. – Szef PSD i główny konkurent Costy Rui Rio brnie w powtarzane od lat błędy i prowadzi kampanię w niewielkich salach przed wybraną publicznością – uważa Sousa Tavares.

Metropolia innowacji

Odwaga Costy i jego łatwość nawiązywania kontaktu z wyborcami opiera się też zapewne na wierze, że w ostatnich czterech latach udało mu się coś osiągnąć. W 2015 r. stopa bezrobocia wynosiła ok. 12%, do września 2019 r. zmniejszyła się ▶

► prawie o połowę. To najlepszy wynik od 20 lat. Od 2016 r. średnia stopa wzrostu gospodarczego wynosi rocznie ok. 2%, również dzięki rosnącemu znaczeniu turystyki. Portugalskie plaże od Aveiro po Armação zawsze przyciągały tłumy gości z zagranicy, ale dziś spędzają oni wakacje także w większych miastach. Architektura starej Lizbony nie od dziś jest na topie, ale w ostatnich latach stolica Portugalii pretenduje też do miana metropolii innowacji, w której jak grzyby po deszczu wyrastają start-upy przedsiębiorców z całego świata. To zresztą również zasługa burmistrza Costy, za którego rządów Lizbona stała się gospodarzem Web Summit, bodaj największej w Europie imprezy poświęconej nowym technologiom i start-upom.

Twarzą ożywienia krajowej gospodarki i silnym ogniwem w rządzie PS jest Mário Centeno, wybitny ekonomista z Uniwersytetu Harvarda i były szef portugalskiego banku centralnego, któremu Costa powierzył tekę ministra finansów. Centeno utrzymał kurs stabilizacyjny poprzedników, zdobywając się jednak na ustępstwa wobec lewicowych sprzymierzeńców. Podwyższył więc m.in. renty, płacę minimalną oraz wynagrodzenia w sektorze publicznym. W ten sposób złagodził nieco wściekłość wywołaną narzuconym programem

oszczędnościowym. Potrafił obniżyć zarazem wydatki państwowe, skutecznie redukując biurokrację. Dług publiczny Portugalii jest co prawda nadal ogromny, ale agencje ratingowe z roku na rok wydają coraz lepsze oceny. Od 2015 r. zaufanie UE do Centena urosło do tego stopnia, że w 2018 r. powierzono mu stanowisko przewodniczącego Eurogrupy. Ówczesny minister finansów RFN Wolfgang Schäuble zażartował, że portugalski ekonomista jest Cristianem Ronaldem strefy euro.

Krucze sojusze

Costa i jego ministrowie zaznaczyli swoją obecność na arenie międzynarodowej. Winą za obecny kryzys instytucjonalny w Unii premier obarczył w przeszłości głównie

Portugalia od kilku lat przyjmuje co roku więcej imigrantów.

Ugrupowanie Costy prawdopodobnie za parę dni zwycięży. A jednak dotychczasowy premier będzie mógł dalej rządzić tylko wtedy, gdy wystygną pierwsze konflikty z socjalistami z CDU i BE. Ostatnie cztery lata pokazały, że Costa wprawdzie potrafił zjednoczyć lewicowe ugrupowania, które poróżniły się po rewolucji goździków, ale z drugiej strony utwierdziły go w przekonaniu, że utrzymanie jego rządu będzie wymagać zaspokojenia oczekiwań mniejszych partnerów. Ma za sobą szefa CDU Jerónima de Sousa, ale szefowa Bloku Lewicy Catarina Martins wysoko wycenia swoje poparcie. – Costa oszczędza tam, gdzie powinniśmy inwestować, czyli w szkolnictwie i służbie zdrowia – stwierdziła ostatnio, jakby

Costa jest przekonany, że w wyborach decydują rozmowy z ludźmi, a wiece w zamkniętych salach to relikwium przeszłości.

państwa Grupy Wyszehradzkiej oraz byłego już wicepremiera włoskiego rządu Mattea Salvini. Jego rząd wyrażał także diametralnie inne zdanie w kwestii polityki migracyjnej Brukseli niż Warszawa, Budapeszt i Rzym. Costa wielokrotnie zaznaczał, że zamierza uelastyczyć przepisy regulujące przyjmowanie imigrantów, aby zapobiec spadkowi liczby mieszkańców Portugalii w wieku produkcyjnym. – Potrzebujemy napływu 75 tys. imigrantów rocznie, aby powstrzymać spadek zarówno ludności w ogóle, jak i ludności aktywnej zawodowo. Bez imigrantów liczba osób pracujących zmniejszy się do 2060 r. o ok. 40%, podczas gdy liczba mieszkańców w wieku emerytalnym wzrośnie o ok. 38% – przekonywał w 2018 r. w wywiadzie dla „Expresso”, przy czym chodziło mu wtedy głównie o przybyły z Nepalu, Indonezji, Chin i Brazylii, zatrudnionych przede wszystkim w portugalskim rolnictwie. Premier chciałby jednak poluźnić też regulacje dla cudzoziemców, którzy zakładaliby nad Tagiem własne firmy wymagające znajomości zaawansowanych technologii, i dla zagranicznych studentów podejmujących naukę bądź pracę na portugalskich uczelniach. I mimo że strategia demograficzna rządu PS nadal spotyka się z dezaprobatą opozycji,

była liderką opozycji, a nie cichą kolicjantką. Rzeczywiście w 2019 r. na ulice ponownie wyszli nauczyciele, lekarze i pielęgniarki, domagający się lepszych wynagrodzeń i warunków pracy. A gdy niedawno strajkowali kierowcy cystern, zadaniem dostarczania paliwa na stacje benzynowe Costa obarczył policję i wojsko. Opozycja okrzyknęła go wprawdzie nie-reformowalnym łamistrajkami, za to turyści byli mu nad wyraz wdzięczni.

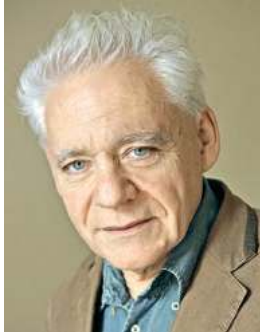
Ostatecznie atak na premiera nie wzmocnił opozycji, a pogrozkami ze strony Bloku Lewicy Costa nie za bardzo się przejmuje. Dał zresztą do zrozumienia, że nie zamierza zawiązać prawdziwej koalicji z komunistami, choć w najgorszym wypadku chciałby liczyć na ich poparcie. Sondaże dają mu jednak nadzieję na ziszczenie marzeń o utworzeniu rządu większościowego. Lider PS obiecał, że przeznaczy 10 mld euro na ulice, nowe odcinki linii kolejowych oraz szpitale, lecz próbuje już zawczasu powściągnąć rosnące apetyty lewicy. – Nie będziemy obciążać budżetu dalszym rozdawnictwem ani zmieniać politycznych przyjaźni w nieudane mariaże, które będą później blokować politykę jak w Hiszpanii, bo podoba się nam rola iberyjskiego prymusa – cieszy się premier.

Wojciech Osieński

O tym, że Marian Banaś nie jest kryształowo uczciwy, tygodnik „NIE” wiedział i pisał od dawna – o czym można przeczytać w najnowszym numerze.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Poślizg

Wydaje się, że statystycznie liczba porządných ludzi i łajdaków w każdej społeczności jest podobna. Liczba tych drugich zwiększa się gwałtownie na skutek okoliczności społecznych. Wszyscy wiemy, co się stało w Niemczech hitlerowskich, jak wielu konformistów i ludzi złej wiary produkował stalinizm. Presja dzisiaj to ułamek presji, jaka panowała w tamtych reżimach, ale mechanizm ten sam. Najbardziej demoralizuje się ludzi, kiedy im się coś daje: posady, pieniądze, w czasach stalinowskich pisarzom dawano mieszkania i wielkie nakłady książek. Wiara wtedy miesza się z cynizmem, jedno wspiera drugie, wielu cyników zaczyna wierzyć, by usprawiedliwić przed sumieniem swój konformizm. No i wtedy był strach, teraz go nie ma – na razie.

Czasami dziwimy się: wlaż w to bagno, niemożliwe, nigdy bym się nie spodziewał. O kimś innym myślimy: można było tego po nim się spodziewać. Ludzie zwykle sami nie wiedzą, jaki w nich drzemie potencjał podłości. Ona wymaga warunków, by mogła się ujawnić. W młodości przyjaźniłem się z Ż., wydawał się człowiekiem szlachetnym, dopóki nie zrobił mi wielkiego świństwa. Wybaczylem mu. A to jednak był znak. Potem spotykaliśmy się rzadko, ale serdecznie. Mieliśmy identyczne poglądy na świat, na Polskę. Nagle w internecie odkrywam, że on, pisowicz ze skłonnościami, myśli spiskowo, paranoicznie albo udaje, uwielbia mówić, poświęcił swoją moralność dla gadania w mediach reżimowych, peroruje zachwycony sobą. Oszałał, a może liczy na posadę, nie wiem. Im dłużej będą trwały rządy PiS, tym więcej osób wejdzie do bagna. To przeraża również dlatego, że przecież wiemy, że gdyby PiS nagle zmieniło się w okrutny reżim, większość tych ludzi akceptowałaby największe nikczemności. Byliby już zassani.

Moja przyjaciółka, młoda, zdolna dziennikarka, nie ma posady, a z samego pisania nie da się wyżyć. I nagle dostała pracę w TVP, na szczęście w kanale, który jest dosyć liberalny, ale pewnie do czasu. Nie czuje na razie cenzury, ale już na progu presję, by zapraszać pewne osoby. Tak, to są te preferencje co do osób, bo mają być tworzone nowe elity. Mówię jej: weszłaś do bagna, jeśli nie będziesz czujna i dzielna, wciągnie cię. Nie ma z czego żyć, ma kredyt, psa na utrzymaniu, więc jest świetnym materiałem, by zostać wessaną. Co gorsza, mimo

wrażliwości i inteligencji nie czuje sfery społeczno-politycznej, jest na to głucha i ślepa.

To smutne zaskoczenie, jak bardzo wielu młodych jest dzisiaj obojętnych na sprawy społeczne. Mówią, że mają w nosie politykę, że jest obrzydliwa. Nie wiedzą, że ta polityka pewnego dnia o świcie załomocze im w drzwi. Boję się, że znajoma pewnego dnia zacznie dorabiać ideologię do swoich kompromisów. To żelazny mechanizm. Też dlatego tak podłe są rządy PiS. Dziesiątki tysięcy posad jest do objęcia, czekają dobre pensje, więc ludzie idą na kompromisy, najpierw na małe, a małe otwierają drzwi do dużych.

•

Jestem ambasadorem kampanii społecznej „Twarze depresji”. Jej cel to przełamywanie stereotypów i walka ze stygmatyzacją osób chorych na depresję. M., młoda dziennikarka telewizyjna, stworzyła tę inicjatywę i ją animuje. Sama nie ma depresji, ale jest wrażliwa na ból duszy, jaki niesie ta choroba. Nagle dzwoni do mnie mój przyjaciel psychiatra, że M. jest u niego, coś z nim kręci, myślę: pewnie o depresji.

Pyta, czy ona może do mnie przyjechać. Telewizja publiczna – źle, ale jako ambasador akcji może powinienem coś powiedzieć, depresja nie ma

**Im dłużej będą trwały rządy PiS,
tym więcej osób wejdzie do bagna.**

barw politycznych. M. już u mnie z kamerą. Nagle dowiaduję się, że to będzie materiał o akcji aktorów „Nie świruj, idź na wybory”. Tak, aktorzy popełnili błąd, szczególnie Pszoniak, małpując ludzi psychicznie splątanych. Ale ich bronię. Kilka zdań. Obejrzałem potem cały materiał w „Panoramie” – zmanipulowany, uderza w opozycję. Skorzystano z jednego mojego zdania, nie pokazano, że bronię aktorów, nie pasowało to do tezy, że aktorzy są podli. Okazuje się, że podobnie zmanipulowano mojego przyjaciela psychiatrę, wykorzystano słowa, które powiedział, pewien, że poza kamerą.

Obejrzałem z tej okazji całą „Panoramę” i włosy na głowie stanęły mi dęba. To propaganda odwołująca się do najgorszych totalitarnych wzorów, z wykorzystaniem współczesnej wiedzy z dziedziny socjotechniki. Czuję się poniżony i zhańbiony, że wszedłem do tego szamba. Z zagapienia się, z głupoty. Upadłem, ale się podniosę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Ofiara kamiennych serc

Dlaczego zginęła Barbara Blida

Jan Cofałka

Lubiłem Barbarę Blidę za to, co robiła dla Śląska, trudno mi więc o niej pisać bez emocji. Gdy 25 kwietnia 2007 r. dowiedziałem się o jej śmierci, wyciąłem z jakiejś gazety jej zamysłone piękne zdjęcie, oprawiłem w ramkę i powiesiłem w domu nad biurkiem. Odtąd towarzyszy mi stale. Dopowiem od razu, że ci, którzy wydali polecenie, aby – dla jakichś wątpliwych, jak się potem okazało, politycznych gier i celów – wyprowadzić ją o świcie z domu w rodzinnych Siemianowicach Śląskich, gdzie ją znano od urodzenia, sfilmować skutą kajdankami i tym widokiem epatować potem w telewizji społeczeństwo – wydali tym samym na nią wyrok śmierci. „Jest pani ofiarą kamiennych serc”, powiedział, trafiając w sedno, nad jej grobem Kazimierz Kutz. Ona, która służyła, jak mogła najlepiej, Polsce i umiłowanemu Śląskowi, twarda, mocna kobieta, zawdzięczająca wszystko, co zdobyła w życiu, sobie, nie wytrzymała najścia nastanych na jej dom agentów, z zadaniem wywleczenia jej z rodzinnego gniazda, aby ją zhańbić, przekreślając całe jej dotychczasowe życie, godność i honor Ślązaczki. Pośyłając po nią o świcie do rodzinnej twierdzy Blidów, domu świętego dla każdego Ślązaka, upokarzali także Ślązaków jako gorszych Polaków żyjących w jakiejś śląskiej sytuacji. (...)

Trzy życiowe świętości Barbary Blidy

Jej życie opierało się na trzech głównych, ważnych dla niej zasadach, trzech świętościach, które zamykały się w słowach: praca, dom i Śląsk.

Trzeba powiedzieć, że Barbara Szwajnoch (po mężu Blida) była bardzo ambitna i dla niej praca – jak dla większości Ślązaków, a wśród nich jej dziadka i ojca – była świętością. Jej szkolnym kolegą w podstawówce, który potem zagrał na jej pogrze-

bie, był słynny lider zespołu SBB, Józef Skrzek. Jego młodszy brat, Jan „Kyks” Skrzek, komponował popularne na Śląsku bluesy. Jeden z tych bluesów, dobrze jej znany „Sztajger” (Sztajgar), był szczególnie popularny, wyrażał bowiem to, co było dla niej wartościowe i bardzo ważne. W bluesie tym „Kyks” wyrzucał sobie, że już nie fedruje, bo bluesa gra i bluesa czuje, ale zaraz się rozgrzesza, bo sztygar przecież twierdził: „Byłeś dobrze robił to / Jak uczyłeś mnie, pamiętasz / Wszystko jedno, o co szło / Jak coś robisz, to rzecz święta”. (...) W znaczeniu: rób to, co umiesz, ale najlepiej, jak umiesz. To była jedna z trzech zasad jej filozofii życiowej, wyniesionej z rodzinnego domu, przejęta od ojca. Przez jej pryzmat oceniała też innych.

Ojciec, który był dla niej zawsze autorytetem, powtarzał: „Ino mi wstydu nie przynieś”. Nie przynosiła go także wtedy, kiedy pojawili się pod jej drzwiami, o godz. 6 rano, wystannicy tego, który uczynił z niej obiekt politycznego ataku.

Drugą dla Barbary Blidy świętością, aż do tragicznego dnia, będącego poniekąd tego potwierdzeniem, były rodzinny dom i rodzina. Gdy tylko mogła, urywała się z nieprzychylniej jej stolicy do domu rodzinnego w Siemianowicach-Michałkowicach. Dom był dla niej szczególnie miejscem, czuła się w nim zawsze pewnie i bezpiecznie. Wynikało to z jej śląskiej mentalności. (...) Ten dom z klinkierowej brązowej cegły stanowił ich gniazdo, w którym – jak mówili – mieszkali w kupie. Dom, miejsce urodzenia Basi, wybudował za swoje pieniądze jej dziadek, Jan Gdowik, na placu, który wniosła w wianie jego żona Katarzyna. (...) Do tego domu ciągle się Barbarze spieszyło. W drodze ze stolicy do tego domu dwa razy została napadnięta. W 1998 r. skradli jej służbowego mercedesa i pobili, a pięć lat później ostrzelali terenową toyotę, którą prowadziła, i zostawili na drodze w kapciach. Po tych przygodach pojawił się u niej pistolet. Wielu te-

go nie rozumie i twierdzi, że przecież mogła się bronić w sądzie. Mogła, ale po takim sponiewieraniu, jakie jej przyszykowano, nie była w stanie tego sobie wyobrazić.

Trzecią jej życiową pasją był Śląsk. Kazimierz Kutz kiedyś powiedział, że Śląsk jest jego religią. To samo mogła powiedzieć Barbara Blida. Ona nie tylko była polską Ślązaczką, lecz nade wszystko fanatyczną miłośniczką Śląska, tu zawsze najlepiej się czuła, tu ją ceniono, a nawet kochano. (...)

Urodziła się tuż przed północą 3 grudnia 1949 r., na tym samym łóżku co jej starsza o osiem lat siostra Katarzyna, w tym samym domu w Siemianowicach Śląskich przy ulicy Oświęcimskiej 8. Kilkanaście minut później zaczynała się Barbórka, ulubione święto braci górniczej, ogłaszane o świcie pobudką z przemarszem orkiestry górniczej. Zdecydowano więc, że powinna zostać Barbarą. (...) Urodziła się w czasach, kiedy jedli chleb z cebulą pieczoną na blasze i wodzionkę. Kiedy miała roczek, zrobił się jej na buzi liszaj. Lekarz radził dawać jej krowie mleko, na które nie było ich stać, kupili więc kozę. Od dzieciństwa była bardzo zadziorna i gryzła, kiedy chciała postawić na swoim. Nawet jak się pokłóciła z ojcem i się do niego nie odzywała, to po kilku dniach mówiła: „Tato, przepraszam za to, co się stało, ale ja mam rację”. (...)

Polityka w domu

Polityka w ich domu była stale obecna, bo też czasy były wielce znamienne. Na przykład dziadek Gdowik zaczął zjeżdżać do kopalni „Michał”, mając 14 lat. Fedrował w niej kiedyś m.in. z Janem Mitręgą, po wojnie ministrem górnictwa, a nawet wicepremierem. W 1945 r. razem z innymi górnikami pilnował, aby uciekający Niemcy nie zalali kopalni. Po latach, kiedy Jan Mitręga, już jako minister górnictwa i wicepremier, wręczał odznaczenia górnikom, rozpoznał dawnego kolegę

z kopalni, pytając go: „Pieter, to wy jeszcze robicie?”. Bo też jej dziadek przepracował na dole aż 55 lat. Przed wojną jeździł jako PPS-owiec na demonstracje pierwszomajowe do Katowic, co denerwowało babcię, zwolenniczkę Korfanteo. Wracał z nich pokrwawiony, bo socjaliści tłukli się z komunistami. Ale w III powstaniu śląskim mu się nie spodobało. Wycofał się po dwóch dniach, przynosząc do domu karabin. Za to jego kuzyni walczyli w powstaniach i pracowali przy plebiscycie, bo u Gdowików, a potem Sz wajnochów – jak wyzna siostra Katarzyna Korzekwa – każdy

ogromny zakład budowy osiedli górniczych, który m.in. oddawał rocznie 10 tys. mieszkań z wielkiej płyty i pracowało w nim 11 tys. budowlańców. W nim właśnie, po ukończeniu w 1976 r. studiów, od 1977 r. znalazła Basia pole zawodowego wyżycia. W Fabudzie młoda inżynier zajmowała się kanalizacją i lubiła chodzić w gumiakach po budowie, w glinie. Z czasem awansowała na szefa działu wykańczania mieszkań i podlegało jej 1500 pracowników. Potrafiła sobie z nimi poradzić, bo – jak twierdzono – miała do ludzi podejście, a gdy trzeba było, to umiała kogo trzeba

uroda i nienaganna kobieca elegancja, z drugiej – ta męskość, która wyrażała się także w sposobie witania. Ileż to razy widywałem osoby zdziwione jej mocnym uściskiem dłoni przy powitaniu i zdecydowanym sprzeciwem przy próbie całowania jej w rękę. (...)

Niepokorna posłanka

Do Sejmu PRL X kadencji kandydowała z Chorzowa, a potem z Katowic. W wyborach 1991 r. uzyskała 80 tys. głosów. Senator Jerzy Markowski powie, że dla niego „zawsze była to dziotcha, której się udało. Gwiazdą ogólnopolskiej polityki stała się niemal bez przygotowania i wniosła do niej ważne i zapomniane wartości: honor i słowność”. W partii (SdRP, potem SLD) uchodziła za nieprzewidywalną, bo wyolbrzymiała problemy Śląska. Według niej w centrali traktowano zawsze Ślązaków jako tych, których należy użyć i którym nie należy wierzyć. Dlatego też Basi – jak twierdzi Jerzy Markowski – która miała potencjał, żeby zostać reżyserem, wyznaczano rolę narzędzia.

Od początku pracy w Sejmie pokazała, że ma charakter i potrafi swojego zdania bronić niezależnie od ceny, jaką przyjdzie za to zapłacić. Jako posłanka X, a potem I, II, III i IV kadencji Sejmu należała do wcale nie tak licznego grona posłów, którzy niezwykle poważnie i serio traktowali obowiązki z tego wynikające. Przede wszystkim obowiązek służenia innym. Zawsze też 4 grudnia, w Barbórkę, święto patronki górników, przychodziła do Sejmu ubrana w czarny górniczy mundur, bo to nie był tylko dzień jej imienin, lecz bliskie sercu święto górniczej braci, do której jako „górniczy dyrektor” należała, i święto jej dziadka górnika. Józef Skrzek powiedział kiedyś, że „była naszą współczesną Barbórką”.

W Sejmie blisko jej było do politycznych reformatorów. Wyraźnie więc w podzielonym klubie parlamentarnym lewicy sympatyzowała z Włodzimierzem Cimoszewiczem. Zawsze jednak najbliższy był jej Śląsk. Także w Sejmie „jechała” głęboko w niej zakorzenioną gwarą śląską. Grzegorzowi Kołodce wykrzyczała kiedyś: „Nie będziecie mi tu nudli wieszać”. Co musiano mu przetłumaczyć, że Basia nie da się ▶



buntował się po swojemu. Dziadek Gdowik zmarł pod koniec lat 50. Przy kolejnym remoncie domu odkryto jego tajemnicę – miał szafę z podwójną ścianą, w której trzymał kartki z kolonii od wnuków oraz przedwojenne sztandary PPS.

Basia z powodu ojca andersowca nie została przyjęta do ZMS, ale w 1973 r., mimo że chodziła do kościoła i nie miała czasu ani zbytniej ochoty na zebrania, przyjęto ją do partii, podobnie jak jej męża Henryka. Spodobał jej się Gierek. W 1973 r. w Siemianowicach za czasów gierkowskiej „drugiej Polski” powstał

po męsku złać. Każdy oddawany przez Fabud blok mieszkalny to było 10 pięter i 10 klatek schodowych bez czynnych wind. Ona musiała wszędzie wejść i wszystko sprawdzić. Kiedy do Fabudu w drugiej połowie lat 70. przyjechali naukowcy badać kwalifikacje załogi według jakichś angielskich testów, Basia znalazła się w pierwszej piątce najlepszych. W jej kwestionariuszu napisano: „Chłop w spódnicy”.

Nie dawała sobie dmuchać w kaszę, bez skrupułów rzucała tzw. mięsem. (...) Był w niej bowiem jakiś szalony kontrast, z jednej strony

► naiwnie okłamywać. Kiedyś z sejmowej trybuny wypaliła do ministra finansów: „Pan pierdoły opowiada!”. Najwięcej kłopotu było, kiedy na zebraniu klubu spytała referenta jakiejś ustawy, co to za *fitulityngyszeft* proponuje (drobny, byle jaki interes). Kiedy poseł Tadeusz Biliński, przewodniczący sejmowej Komisji Budownictwa, próbował ją pocieszyć po jakiejś niesprawiedliwej napaści na nią jednego z kolegów, i to z jej klubu poselskiego: „Basiu, ty i tak masz męski charakter”. „Niestety – odparła – nie można tego powiedzieć o wielu z was, mężczyznach!”. (...)

Minister

Została ministrem wtedy, gdy w budownictwie panował zastój. Z gierkowskiej wielkiej płyty zaczęto przechodzić na inne rozwiązania. Prywatne firmy nie miały jeszcze mocy produkcyjnych, a ludzie, masowo tracący pracę w zamykanych i prywatyzowanych zakładach, nie mieli pieniędzy na mieszkania, bo raty kredytów wciąż rosły. Do tego ciągle jeszcze obowiązywały stare stosunki własności. Barbara Blida znalazła się jako minister w trudnej sytuacji, zabierając się za porządkowanie tej ważnej dla gospodarki narodowej działki.

W 1994 r. przedstawiła ustawę o czynszach, przewidującą m.in. eksmisję na bruk. Tłumaczyła, że jest ona oparta na dobrych polskich tradycjach, które nie tolerują lokatorów bezkarnie niepłacących czynszu, nawet jeśli ich na to stać, i do tego jeszcze niszczących mieszkania. Podniósł się jednak ogromny krzyk, mimo że ustawa dla tych, których rzeczywiście nie było stać na płacenie czynszu, przewidywała dodatki mieszkaniowe. Blida została poddana totalnej krytyce. (...)

W 1997 r. przyszło jej się zmierzyć z trudnym problemem, kiedy to w wyniku powodzi stulecia setki ludzi straciły domy. Robiła wówczas wszystko, by poszkodowanym ponownie zapewnić dach nad głową. W ciągu kilku miesięcy ponad 1,5 tys.



ludzi wprowadziło się do nowych mieszkań. Nadzorowała oddawanie budowanych mieszkań, odwiedzała w nich ludzi i po przejściu przez próg, jak to Ślązaczka, ku zdumieniu gospodarzy, ściągała buty i chodziła na bosaka. Po kolejnych wyborach, kiedy pojawiło się jakże żywotne u nas znieśławianie poprzedników, znaleziono jakiś dom dla powodzian, w którym nowi właściciele zakleili kratki wentylacyjne i doprowadzili do jego zawilgocenia. Rozpętano wówczas przeciw niej kampanię kłamstw. Bardzo ją to bolało, nie pierwszy i nie ostatni raz. (...)

Na jej imieninach w domu zawsze obowiązkowe było śpiewanie śląskich piosenek, ci, którzy ich nie znali, otrzymywali odpowiednie śpiewniki, bo nigdy nie zapomniała, skąd jej ród. Była obsesyjnie lojalna wobec Śląska. Tym przekonała do siebie nawet lidera miejscowej „Solidarności” Marka Kempskiego, który gdy został wojewodą śląskim, organizował spotkania parlamentarzystów, aby omawiać sprawy godne podjęcia i przeforsowania w stolicy. Twierdził, że byłaby świetnym marszałkiem województwa, imponowała mu tym, że dobro Śląska przedkładała nad pozycję w partii. Szczerze mówiąc, zazdrościliśmy jej SLD.

Po nieudanym starcie w 2005 r. w wyborach do Senatu (zabrakło jej zaledwie 3 tys. głosów) nie ukrywała rozżalenia do ówczesnych władz lewicy, które wykorzystały ten fakt do odsunięcia jej na boczny tor. Wyliczyła ustawy dotyczące budownictwa, których nie udało się jej przeforsować, bo je blokowano. To było draństwo – uważa Markowski – w ten sposób potraktować jedyne go budowlanica w klubie. Od 2001 r. Barbara Blida wróciła do zawodu i przesowała firmie budowlanej J.W. Construction, zarabiając ponad 40 tys. miesięcznie i posiadając służbowy samochód, terenową toyotę. Wycofując się z życia publicznego, w ostatnim wywiadzie powiedziała, że wołałaby, żeby wszyscy o niej zapomnieli. Tak się jednak nie stało.

Blida i „mafia węglowa”

Niewielu dziś pamięta rolę, jaką odegrała w sporze o górnictwo, kiedy chciano likwidować kolejne kopalnie, i wewnątrz klubu parlamentarnego, i na ulicach Warszawy wrzało. Posłowie ze Śląska postanowili razem z opozycją, mimo gróźb Leszka Millera, że stracą miejsca na listach w kolejnych wyborach, głosować przeciw tym likwidacyjnym pomysłom. Miller obraził się na nich i nie przyjechał na Barbórkę na Górny Śląsk, 4 grudnia 2003 r. poleciał na Dolny Śląsk. Wracając, spadł ze śmigłowcem na ziemię. Swoją ostatnią kadencję Barbara Blida skończyła w 2004 r. jako poseł niezrzeszony. W proteście przeciwko antyśląskiej, jej zdaniem, polityce rządu Jerzego Hausnera wystąpiła z klubu, wcześniej rezygnując ze wszystkich funkcji. (...)

Barbarę Kmiecik, nazywaną „śląską Alexis”, poznała, kiedy jej firma była podwykonawcą tynków na budowanych przez Fabud domach. Zamieszkała po sąsiedzku w Siecianowicach w wyremontowanym domu po volksdeutschu Wojtyłczce, który gnębił dziadka Basi Blidy. Zaczęła wpadać na herbatę i na urodziny. Powodem tych wizyt były chyba

pojawiające się kłopoty w ograniczeniu handlu węglem, jakie wprowadził Jerzy Markowski. Wyrafinowana „śląska Alexis” przyłgnęła do swej imienniczki Blidy, która wiele znaczyła na politycznej scenie regionu. Mimo ostrzeżeń siostry Katarzyny, która od początku uważała ją za fałszywą.(...)

W lipcu 2005 r. prokuratura odkryła, że Kmieciak mogła wyłudzić 800 tys. zł z Funduszu Ochrony Środowiska. Trafiła do tzw. aresztu wydobywczego. Siedziała prawie rok, a oficerowie ABW, podlegający już nowej władzy, która wszędzie i we wszystkim węszyła układy, korupcję, mafię, spiski, starali się z niej

kazaniu łapówki stało się motywem dalszych działań prokuratorów, zdalnie sterowanych przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę. Przygotowywał on uderzenie w „mafię węglową”, którą uosabiał z lewicą, a kluczową oskarżoną w tej walce chciał uczynić popularną na Śląsku Barbarę Blidę.

Osaczona

Barbara Blida czuła, że atmosfera wokół niej gęstnieje. Była przekonana, że jest podsłuchiwana i obserwowana. Uprzedzała nawet siostrę, aby uważała na to, co mówi w mieszkaniu. W okolicach ich domu często

Od początku pracy w Sejmie pokazała, że ma charakter i potrafi bronić swego zdania niezależnie od ceny, jaką przyjdzie za to zapłacić.

wydobyć, w zamian za uwolnienie, zeznania obciążające działaczy lewicy. Aby jeszcze bardziej ją do tego skłonić, posadzono też w areszcie jej córkę. Wtedy przestraszona „Alexis” zgodziła się mówić. Opoowiadała wiele o swojej dotychczasowej przyjaźni Blidzie, o spotkaniach rodzinnych, o kosztownych ponoć prezentach, jakie jej dawała, wspólnych wyjazdach na narty oraz o przekazaniu jej 80 tys. zł na łapówkę dla prezesa jednej ze spółek węglowych, który miał jej za to umorzyć długi.

O tym oskarżeniu Barbara Blida dowiedziała się z prasy. Dopiero wówczas przejrzała na oczy i odkryła, z kim miała do czynienia. Wtedy ostatecznie z nią zerwała. Ale to oskarżenie o pośrednictwo w prze-

wystawiał, a nawet jeździł za nią jakiś samochód.

Z telewizji miała w pamięci obraz polskiego kardiologa, wyprowadzanego w kajdankach ze szpitala MSW w Warszawie, z oskarżeniem o branie łapówek od pacjentów i komentarzem ministra Ziobry, który natychmiast wydał na niego wyrok, mówiąc, że „Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie”.

Widziała w telewizji, jak w październiku 2006 r. policja wyprowadza w kajdankach podejrzaną o korupcję koleżankę partyjną Aleksandrę Jakubowską, i jak w lutym 2007 r. policja zatrzymała wiceprezydent Katowic podejrzaną o przekroczenie uprawnień, która dwie pierwsze noce spę-

dziła w zimnej celi, bez skarpetek i środków higienicznych.

W przededniu zaplanowanego w centrali – co potem się wydało – zatrzymania Barbary Blidy TVP Puls późnym wieczorem poświęciła program „Misja specjalna” „mafii węglowej” na Górnym Śląsku. W filmie znalazły się insynuacje dotyczące Barbary Blidy.

W języku wojskowym – jak napisał Kazimierz Kutz – takie działanie nazywa się „przygotowaniem artyleryjskim”, po którym ABW wkracza o godz. 6 rano jednocześnie pod 13 adresów. Z tego zbioru tylko Barbara Blida to powszechnie znane nazwisko. Funkcjonariusze nie mają nakazu aresztowania.

Mieszkanie ma być zrewidowane, a Barbara Blida przewieziona na przesłuchanie do prokuratury, gdzie ma zostać skonfrontowana z oczekującą tam już wolną Barbarą Kmieciak i szefem Rudzkiej Spółki Węglowej, któremu Blida rzekomo miała w jej imieniu wręczyć wspomnianą łapówkę w wysokości 80 tys. zł.(...)

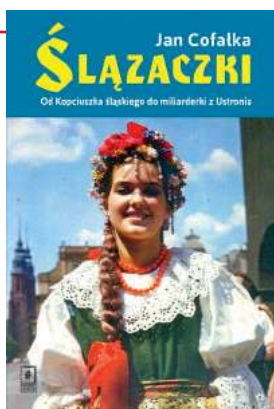
Śmierć przybyła o świcie

Niegdyś o godz. 6 rano jej dziadek i ojciec rozpoczynali pracę, dziadek w kopalni, ojciec w Azotach Chorzów. Przed godz. 6 rano 25 kwietnia 2007 r. z katowickiej delegatury ABW wyjechało kilka nieoznakowanych samochodów. Agenci mieli rozbić śląską „mafię węglową”. Barbara Blida otwierała listę 13 osób, które planowano zatrzymać. Ona była najważniejsza. Akcja rozpoczęła się źle, a skończyła tragicznie. Oficerowie ABW zgubili drogę do domu Blidy, wskazał im ją dopiero telefonicznie kierowca czekającej już tam operator z kamerą. Film z wyprowadzenia Blidy miała po południu otrzymać telewizja jako hit telewizyjnych wiadomości, z udziałem przybyłego do Katowic ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

O godz. 6 rano, gdy zastukali do drzwi domu Blidów, otworzył je mąż Henryk, w szlafroku, na bosaka. Za nim zesła z piętą, również w szlafroku i boso, Barbara. Spokojnie przeczytała podany jej nakaz przymusowego doprowadzenia do prokuratury i przeprowadzenia rewizji w domu. Zadzwoiła do adwokata i go poinformowała ją o zaistniałej

Wywodzący się ze Śląska Jan Cofałka – czując potrzebę przybliżania rodakom regionu, z którego wyrosta – dodaje do tomów o współziomkach kolejny, już szósty, tym razem o nieprzeciętnych kobietach – pisze prof. Michał Lis. Zasług Jana Cofałki na tym polu nie sposób przecenić. Oceniając poprzednie tomy, podnosili je m.in. Wiesław Myśliwski i Kazimierz Kutz, profesorowie Jan Miodek, Stanisław S. Niciejka i Lech M. Nijakowski. Ukazane przez Jana Cofałkę sylwetki kobiet nieprzeciętnych ujawniają, że osiągając sukcesy na wybranych polach, można swoim życiem przełamywać stereotypy dotyczące płci. Odbywa się to niestety nieraz dużym kosztem.

Jan Cofałka, *Ślązaczki. Od Kopciuszka śląskiego do miliarderki z Ustronia*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2019



► sytuacji, a potem poprosiła oficera ABW o możliwość skorzystania z łazienki, aby umyć zęby i ubrać się. Towarzyszyła jej agentka ABW. Chwilę później usłyszano strzał. Mąż pobiegł do łazienki, zobaczył leżącą w rogu żonę i myślał, że zemdląca. Kiedy jednak złapał za szlafrok, zauważył krew na klatce piersiowej, a także

tomna i czy miała otwarte oczy. Krzyczał do niej: „Pani Basiu, niech pani nie umiera!”. Przyjechało pogotowie, potem jeszcze jedno, i przejęło jej reanimację. Porucznik z ABW, prowadzący operację zatrzymania, spytał agentkę, co się stało w łazience, ta przyznała, że się odwróciła, gdy Blida usiadła na sedesie. Strzału nie

zostały przez ten tłum funkcjonariuszy ABW i policjantów zadeptane i – jak się okazało – zmyte, zamazane i zniszczone.

Polskie Radio o godz. 7.30 podało komunikat o śmierci Barbary Blidy. Policjanci ślady zdarzenia zaczęli zabezpieczać od godz. 10.50. Trwało też, pod nieobecność domowników, przeszukiwanie mieszkania.

Kiedy po kilku dniach zadzwoniono z prosektorium, w którym dokonywano sekcji zwłok, z prośbą o przywiezienie ubrania Basi, Kasia zdecydowała, że sama ubierze siostrę do trumny. Gdy dostarczono jej worek z ciałem siostry, wylało się z niego dużo wody, jakby po śmierci została jeszcze utopiona. Miała pocięte ręce, głowę, a nawet plecy.

Jej pogrzeb 30 kwietnia 2007 r. w rodzinnych Siemianowicach-Michałkowicach zgromadził ponad 2 tys. tych, którzy ją znali i kochali, i nie uwierzyli rozsiewanym pogłoskom, że miała jednak coś na sumieniu, skoro targnęła się na życie. (...)

Jan Cofalka

Zbigniew Ziobro przygotowywał uderzenie w „mafię węglową”, którą uosabiał z lewicą, a kluczową oskarżoną chciał uczynić popularną na Śląsku Barbarę Blidę.

jej sześciopalcowy rewolwer Astra 680, zazwyczaj przechowywany w sejfie na pierwszym piętrze. Policja o nim wiedziała, bo co roku przyjeżdżała kontrolować, czy był używany. Funkcjonariusz ABW, który wbiegł za nim do łazienki, kazał mu odłożyć pistolet do zlewu, zadzwonił po pogotowie i zaczął reanimować leżącą we krwi Barbarę. Jak potem zeznawał, Blida gasła w oczach, ale jeszcze odychała. Nie pamiętał, czy była przy-

słyszala, myślała, że coś jej upadło. Mąż Barbary twierdzi, że gdy wpadł do łazienki, agentka siedziała na fotelu przed jego żoną. (...)

Jak później ustalono, podczas tej operacji były w domu Blidów i w jego otoczeniu aż 34 osoby. Pojawił się tu także, już o godz. 7.30, przybyły widać wcześniej ze stolicy, chyba do nadzorowania akcji zatrzymań „mafii węglowej” na Śląsku, wiceszef ABW Grzegorz Ociecek. Ślady tragedii

SCENY NIEWYKORZYSTANE * MAKSYMIOUK I OLEJNICZAK * ROZMOWA Z TWÓRCAMI



MAKSYMIOUK

Koncert na dwoje

W PAŹDZIERNIKU NA BLU-RAY I DVD

REŻYSERIA TOMASZ DROZDOWICZ SCENARIUSZ MARIA NOCKOWSKA ZDJĘCIA ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI
MONTAŻ TOMASZ DROZDOWICZ KOREKCIJA BARBINA MARTYNA LASKOWSKA
POSTPRODUKCJA DŹWIĘKU BŁAŻEJ KAFARSKI GŁOŚNO MASTERING MATEUSZ BUDNIK NEW WAVE FILM
KIEROWNICTWO PRODUKCJI MARIA GRAJEWICZ PRODUCENCI BEATA HYCZKO TOMASZ DROZDOWICZ
PRODUKCJA STUDIO FILMOWE AUTOGRAF KOPRODUKCJA TYP S.A., FUNDACJA KULTURY POLSKIEJ
FILM WSPÓLFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
ZDJĘCIE MONIKA REDZISZ



Fundacja Kultury Polskiej



PRESTO FILMOWE

polmic.pl

GŁOS KULTURY

Canal Music

Moscow

IRKA

LEGALNA KULTURA

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Pisał Lech Beynar (Paweł Jasienica) na temat swojego udziału w partyzantce antykomunistycznej: „Nie wierzyłem ani przez chwilę w wybuch wojny amerykańsko-rosyjskiej. Do wiary w absurdy nie jestem skłonny. Sądziłem, że stanowimy atut polityczny w ręku »polskiego Londynu«, który za cenę rozwiązania naszych oddziałów wytarguje lepsze warunki w nieuchronnym kompromisie”. Beznadziejna naiwność trzeciego zdania tej wypowiedzi wzmacnia jedynie dwa pierwsze. Tymczasem w lipcu 1945 r. dowiadują się „leśni”, że rząd londyński przestał być uznawany przez mocarstwa. Mrzonka Jasienicy też się rozsypuje. Pozostaje kurczowe chwytnie się absurdu. Nikt nie wymaga od partyzantów choćby elementarnego rozumienia polityki. Wiedzieli jednak doskonale, że w 1939 r. ani Anglia, ani Francja z pomocą Polsce nie przysły mimo wszelkich traktatów i zamasytystych podpisów. Wiedzieli też, że Ameryka unikała jak mogła zaangażowania się w europejską awanturę i to w końcu Hitler wypowiedział jej wojnę, a nie odwrotnie. Poza wszystkimi innymi czynnikami winna temu była trauma po I wojnie światowej. Lecz przecież teraz, po kolejnej międzynarodowej jatce, mogła ona tylko się

na represje. Wobec tego brano od niej siłą i coraz bardziej drakońsko karano za opór. Znienawidzona (nie zawsze i nie wszędzie) nowa władza coraz częściej z wroga stawiała się wybawieniem.

Kogo zabijali „leśni”? Żołnierzy Armii Czerwonej i LWP, przedstawicieli mniejszości narodowych i religijnych, reprezentantów i sympatyków (tutaj donosy były wyrokami, bo też na ich sprawdzanie nie było czasu) nowej władzy, często z rodzinami, milicjantów – przeważnie młodych poborowych itd. „Nie odmawiając heroizmu wielu żołnierzom i oficerom konspiracji antykomunistycznej (...)” – pisze Marcin Zaremba – nie można również nie zauważyć, że powoli coraz częściej ich walka przemieniała się w jakąś okropną karykaturę samej siebie”. Przemieniała się czy była nią od początku? Tym, którzy chcieliby wyolbrzymić działania „leśnych” do rangi wojny domowej, przypomnijmy, że przez cały czas istnienia udało im się zabić spośród wysokich rangą przeciwników jednego (*sic!*) pułkownika (śmierć gen. Świerczewskiego to dzieło Ukraińców). Zaiste wielkie to były w wymiarze militarnym i historycznym zmagania.

Wyklęci, przeklęci, ogłupiali

zwiększyć, a nie zmaleć! Zresztą jaki interes mieliby Anglosasi w wojnie z Rosją? Wyłącznie niezachwiana narodowa megalomania mogła podszeptować części Polaków, że byli sprzymierzeni mają wobec Rzeczypospolitej jakieś zobowiązania czy długi moralne. Los powstania warszawskiego nie dał im najwyraźniej nic do myślenia.

Jakie przestanki mogły ich jeszcze skłaniać do kontynuowania z góry przegranej militarnie i politycznie walki? Oprócz wspomnianej przyszłej wojny światowej można, jak się wydaje, wskazać jeszcze trzy czynniki, obowiązkowo podlane sosem beznadziejnego oporu przeciw rządowi komunistycznym, których kształt zresztą obiektywnie radykalizowały. Po pierwsze, spowodowaną zdzičeniem wojennym niezdolność do przystosowania się do życia w warunkach pokoju. Po drugie, nienawiść do Rosjan, a przy okazji do Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Niemców, a nawet Słowaków (*vide „Ogień” z Podhala*) i wszystkich inaczej myślących, czyli zdrajców. Po trzecie wreszcie, chęć załatwienia w ogólnym chaosie partykularnych porachunków (jak choćby w wypadku wsi „szlacheckich” i „chłopskich”), czasem zupełnie prywatnych. Wszystkie te trzy drogi były ślepyimi uliczkami, kto nie zrezygnował z marszu po równi pochyłej (jak to zrobił np. Jasienica, a potem nawet „Łupaszka”), staczał się w nihilistyczny bandytyzm. Przez pewien czas osładzany pseudoideologicznymi samousprawiedliwieniami, potem już zupełnie nieskrywany. Inaczej zresztą być nie mogło. Ludność, gdziekolwiek na początku sympatyzująca z „leśnymi”, oczekiwała przede wszystkim normalnego życia. Coraz mniej była więc skłonna żywić i nocować zbrojnych, pogłębiając swoją biedę i narażając się

Dzisiaj jeden dzień w roku poświęcony jest „żołnierzom wyklętym”. IPN wydaje na ich temat setki opracowań i monografii, utrzymanych w bohaterkiej poetyce zapożyczonych z „Czapajewa” Dymitra Furmanowa albo „Winnetou” Karola Maya (ahoj, leśna przygodo!). Buduje się im pomniki, wiesza tablice pamiątkowe. Pan prezydent pośmiertnie odznacza. Po raz kolejny premiuję się bezdenną głupotą polityczną, pogardę dla społecznych skutków i kosztów „symbolicznych” działań, proklamowanie krwawego bezsensu i samobójczej nienawiści pod hasłem słuszności. Kiedy to się nareszcie skończy?!

Pozornie sprawa jest bez znaczenia. Cywilizowany Polak nie czyta wydawnictw IPN, nie zaprzęta sobie pamięci watażkami z Podhala czy Podlasia, nie paprze się w niegdysiejszych brudach. Jednak, niestety, nie wszyscy rodacy wdrapali się na tak trudne piętra logicznego myślenia. Z grzbietu zdobnego w koszulkę ku czci „przeklętych” wyrasta bezszyjnie wygolona czaszka. „Maciora wódki i ambit na dziewczki”. To on – prawdziwy Polak! Pięści jak bochny, głupota w twarzy, szaleństwo w oku i Chrobry w klapie. Wojny nie przeżył, a już niedostosowany do życia w pokoju. Bo też wrogowie krążą dookoła: geje, lesbije, lewacy, masoni, kosmopolici, Żydy, Europejczycy, Ruskie, Szwabry, Pepiki, wykształciuchy. Jak będzie nam normalnie świat, to mu damy w mordę.

A jak naprawdę było z tymi „wyklętymi”? Czy to ważne? Podaje IPN, że tylko oni mieli rację; jeżeli mieli z czego, to strzelali i kochali naszą królową Polski (z obcymi najświętszymi panienkami nie mylić), a ona im kule nosiła. No i żarliwie, po chrześcijańsku, nienawidzili. To dokładnie tak, jak ich tyśi czciele w kamaszach! Tylko im jeszcze gnatów brakuje. Na razie.



Co najmniej 180 osób poniosło śmierć, a miliony straciły dach nad głową na skutek burz monsunowych, które w lipcu nawiedziły Bangladesz.

Wypędzeni przez klimat

Do 2050 r. liczba uchodźców klimatycznych może sięgnąć półtora miliarda

Mateusz Mazzini

Istnieją na świecie kraje, w których większość ludności wciąż żyje zgodnie z rytmem pór roku i wielkich zjawisk pogodowych. Należy do nich Bangladesz, państwo nad Zatoką Bengalską, skrajnie ubogie, z ponad 164 mln mieszkańców. Morze wdzierające się miejscami na ląd nie jest tam dla ludzi nowością. Fale przychodziły i odchodziły. Problem pojawił się dopiero wtedy, kiedy któregoś roku morze zabrało sporo ziemi i przestało ją oddawać.

Jedną z osób, które mieszkały blisko terenów zabranych przez morze, był Saber Saladas, rolnik i rybak. W ubiegłym roku cały znany mu najbliższy świat – dom, wioska, łódź rybacka, pola uprawne – został zdevastowany przez powódź. Woda nie tylko zniszczyła sprzęty i zbiory, ale także od tego czasu nie opadła na tyle, żeby na tych terenach znów dało się żyć. Saladas, podobnie jak 8 mln

współobywateli, musiał wyruszyć na północ i szukać nowego miejsca zamieszkania, bo coraz gwałtowniejsze powodzie i wyższy poziom mórz nie dawały nadziei, że kiedykolwiek wróci do domu.

Ioane Teitiota, mieszkaniec wyspiarskiego Kiribati na Oceanie Spokojnym, katastrofę klimatyczną przeczuwał od dawna, więc postanowił ją uprzedzić. W 2010 r. złożył w sądzie

położone, na które można się przeprowadzić, a w ogóle to zalewanie Kiribati przez ocean jest sprawą tamtejszego rządu. W dodatku prawa człowieka w przypadku wnioskodawcy nie są naruszane, o azylu nie może zatem być mowy.

Pomocy prawnej ze strony silniejszego państwa szukał też Gilberto Ysaías (nazwisko zmienione), farmer z Hondurasu, który swoją historię

Już teraz ponad 300 mln osób na świecie zmieniło miejsce zamieszkania z powodu katastrof klimatycznych.

w Nowej Zelandii wniosek o azyl. Prośbę motywował faktem, że na Kiribati jego życie stało się zagrożone przez podnoszący się poziom oceanu. Argumentował, że dobytek może stracić w każdej chwili, a ryzyko to będzie tylko rosnąć, bo globalne ocieplenie jest procesem nieodwracalnym. Nowozelandzki sąd nie przychylił się do prośby. Sędziowie uznali, że na wyspach są przecież miejsca wyżej

klimatycznego uchodźstwa opowiedział reporterom magazynu „VICE”. W ryzykowną podróż, ponad 2 tys. km na północ w kierunku granicy meksykańsko-amerykańskiej, udał się piechotą w ubiegłym roku, zabierając 11-letniego syna. Uciekał głównie przed MS-13, jednym z najgroźniejszych gangów w centralnej Ameryce. Regularnie musiał mu płać haracz – sporą część zysków ze

sprzedaży upraw. Jednak dwa lata temu przestał. Nie miał czym płacić, bo z powodu suszy i upałów zbiory były coraz słabsze. Wtedy gangsterzy zaczęli grozić, że haraczem będzie nastoletni syn Gilberta – zostanie siłą wcielony do MS-13. Gilberto nie chciał czekać, aż spełnią groźby, więc uciekł do USA. W tej chwili czeka na rozprawę w sądzie imigracyjnym. Ma pewne szanse zostać w Stanach. Głównie dlatego, że MS-13 to jeden z niewielu symboli przemocy na tyle rozpoznawalnych, żeby amerykańscy urzędnicy uwierzyli w realność groźb.

Do tych historii można dołączyć miliony kolejnych. Mieszkańców Bahamów, którzy z powodu coraz silniejszych tropikalnych huraganów nie są w stanie żyć na swoich wyspach. Chilijczyków, którzy uciekają w głąb kraju, bo Pacyfik zabiera im wybrzeże. Mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej, którzy tysiącami wyruszają w podróż w poszukiwaniu nowych pastwisk i źródeł wody pitnej. Syryjczyków, którzy już kilkanaście lat temu z powodu suszy masowo przenosili się do miast, co przyniosło napięcia społeczne i religijne, wydatnie przyczyniając się do wybuchu wojny domowej. IPCC, międzynarodowy panel ds. zmian klimatycznych, szacuje, że już teraz ponad 300 mln osób na świecie zmieniło miejsce zamieszkania z powodu katastrof klimatycznych. W ciągu najbliższych 30 lat ta liczba może wzrosnąć aż pięciokrotnie.

Uchodźcy klimatyczni to grupa ogromna i trudna do omówienia. Wielu ekspertów uważa, że ludzi migrujących z powodu zmian klimatycznych nie można nazywać uchodźcami, bo nie podpadają pod prawne rozumienie tego słowa. Konwencja Narodów Zjednoczonych o statusie uchodźców z 1951 r. definiuje uchodźcę jako osobę, wobec której istnieje jasne podejrzenie, że w swoim kraju będzie prześladowana do poziomu zagrożenia życia, głównie z powodu wiary, rasy, przynależności etnicznej czy poglądów politycznych. W dodatku musi istnieć dowód, że kraj ojczysty nie podejmuje kroków zmierzających do zapewnienia jej bezpieczeństwa. I tu pojawia się problem, bo jak udowodnić, że ktoś jest prześladowany przez powódź czy huragan albo że kraj nie chroni go przed malejącymi opadami?

Dlatego wciąż proponowane są alternatywne terminologie. Zdaniem Diny Ionesco, szefowej komitetu ds. migracji, środowiska i zmian klimatu w ONZ, pojęcie klimatyczni migranci jest bardziej adekwatne. Dzięki zamianie w definicji tego zjawiska uchodźcy na migranta łatwiej będzie walczyć o prawa tych, którzy uciekają z dawnych siedlisk, choć ich życie nie jest bezpośrednio zagrożone z powodu zmian klimatu. Taką terminologią objęto by np. Gilberta Ysaia, który wprowadził bezpośrednio ucieka przed łupami karabinów MS-13, ale gdyby nie susze i malejące plony, być może zostałby w Hondurasie i nadal płacił haracz.

Drugi problem z akceptacją pojęcia klimatyczni uchodźcy polega na trudnościach w określeniu, dlaczego w ogóle migrują. Tu znów przydatny będzie przypadek Gilberta. Jest on wprowadzicie „pośrednim” uchodźcą

Katastrofa klimatyczna dotyka wszystkich, ale nie wszyscy mają takie same środki, by przed nią się bronić.

klimatycznym, ale jego historia ma początek właśnie w zmianach warunków biologicznych w miejscu zamieszkania. Inaczej ma się sprawa z ludźmi, którzy muszą uciekać przed kataklizmami w całości lub częściowo spowodowanymi przez człowieka. Chociażby mieszkańcy karaibskich wysp, coraz częściej nękanych przez huragany. O ile same zjawiska pogodowe są elementem zmian klimatycznych, o tyle ochrona przed nimi zależy już od lokalnych władz. A te często budują osiedla i hotele na zagrożonych terenach, nie inwestując w falochrony czy infrastrukturę ratunkową i systemy wczesnego ostrzegania. Odpowiedzialność za los poszkodowanych bardzo się rozmywa. Nie sposób ustalić, czy większe szkody wyrządziły rządowe zaniechania, czy silne wiatry. Faktem jest jednak, że niebawem te skrajne zjawiska pogodowe będą tak silne i częste, że nawet najlepsze systemy prewencji nie uchronią ludzi przed katastrofą.

Tym bardziej że katastrofa klimatyczna dotyka wszystkich, ale nie wszyscy mają takie same środki, by się przed nią bronić. Kraje dawnego Trzeciego Świata w dużo większym stopniu niż Europa, Australia i USA opierają gospodarkę na eksploatacji

środowiska naturalnego, zarówno w postaci wydobywania surowców, jak i hodowli czy uprawy. Degradacja klimatu to dla nich przede wszystkim strata ekonomiczna. Limity emisji dwutlenku węgla tylko tę stratę pogłębiają, więc rządy globalnego Południa stoją przed niemożliwym tak naprawdę do rozwiązania dylematem: próbować wyjść z ekonomicznych peryferii czy walczyć o środowisko naturalne. Najczęściej decydują się na to pierwsze, bo na drugie nie mają środków. Tegoroczny raport badaczy z Uniwersytetu Stanforda najdobitniej obrazuje skutki gospodarcze zmian klimatycznych. Gdyby katastrofa klimatyczna nie miała miejsca, luka między najbogatszymi a najbiedniejszymi państwami na świecie byłaby mniejsza aż o jedną czwartą.

Masowe ucieczki z terenów zagrożonych zmianami klimatycznymi mogą stać się rzeczywistością już

w najbliższych kilku latach. A plany – polityczne, urbanistyczne, ekonomiczne – zagospodarowania tych rzesz ludzkich będą musiały wykraczać daleko poza ideologiczny dyskurs o przyjmowaniu uchodźców, z którym spotykamy się dzisiaj. Bo uchodźcy klimatyczni będą wszędzie, również w Polsce. Przy obecnym tempie podnoszenia się temperatur na 98% powierzchni globu mapy, na których Stany Zjednoczone nie mają już Florydy, a Poznań jest nad Morzem Bałtyckim, przestają być fantazją, a stają się nieuchronną przyszłością.

Na światową katastrofę klimatyczną nie jesteśmy przygotowani ani trochę. Ale na światową katastrofę migracyjną chyba jeszcze mniej. Globalne ocieplenie stało się przynajmniej tematem wielkich szczytów politycznych i przedmiotem nowych regulacji prawnych, również międzynarodowych. Migranców i uchodźców prawo chroni czysto teoretycznie. Sama konwencja z 1951 r., napisana właściwie pod europejskie ofiary II wojny światowej, pokazuje, jak bardzo archaiczny jest nasz sposób myślenia o uchodźstwie. A czas, żeby to zmienić, przestał nawet uciekać. Nie ma go już wcale. ■

Hawański Kapitol jeszcze
w trakcie renowacji jego kopuły.



Pięć wieków Hawany

Eusebio Leal Spengler – człowiek łączący
Warszawę ze stolicą Kuby

Lech Miodek

„Kiedy Eusebio Leal Spengler chodzi po ulicach Starej Hawany, przechodnie traktują go jak gwiazdę rocka”, pisze „The New York Times”. Czy poza Hawaną jakiegokolwiek inne miasto na świecie ma osobistego historyka i konserwatora? Eusebio Leal Spengler, który od prawie 40 lat zajmuje się odnową hawańskiej starówki, na początku września oprowadzał po niej Federicę Mogherini, wysokiego przedstawiciela UE ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa. O sobie powie, że należy do tych, co uważają, że nawet mając mało, można dużo zrobić, można zbudować małą przestrzeń szczęścia. W czasie jednego ze spotkań w Stanach Zjednoczonych zadał obecnym pytanie: – Jak myślicie, ile może kosztować odnowienie hawańskiego Kapitolu?

W odpowiedzi od razu ustyszał: – 100 mln dol.

Na to on: – A ja, chociaż nie mam pieniędzy, Kapitol odnowię.

Pieniądze zdobył. Otrzymał je od Stanów Zjednoczonych za prezyden-

tury Obamy, od Rosji i od UNESCO. Kapitol hawański jest wyższy od waszyngtońskiego i wygląda olśniewająco. Prace nad odnową kopuły zakończyły się w sierpniu tego roku.

Z Eusebiem Lealem Spenglerem spotkałem się w czasie 39. Międzynarodowych Targów Turystyki w Hawanie. W listopadzie stolica Kuby będzie obchodzić 500-lecie. Jakże to miasto i co myśli człowiek, który wie o nim wszystko?

– Pięć wieków to mało w porównaniu z takimi miastami jak Rzym, Ateny czy Stambuł. Dużo w skali miast Ameryki Łacińskiej, z wyjątkiem wielkich miast prehiszpańskich, np. inkaskiego Cuzco w Peru, azteckiego Tenochtitlán w Meksyku czy miast Majów w Ameryce Środkowej. Hawana to produkt kolonizacji hiszpańskiej. Miała być najpiękniejszym miastem imperium hiszpańskiego.

Historyczne centrum w 1982 r. zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO z uwagi na jego wyjątkowe wartości. Eusebio Leal wymienia wśród nich architekturę mauretańską o wpływach hiszpańskich i muzułmańskich, nieśmiały barok



Eusebio Leal Spengler (nz. z lewej) i autor na 39. Międzynarodowych Targach Turystyki w Hawanie.

katedry hawańskiej czy budynki neoklasycystyczne i eklektyczne, pełne niezwykłych postaci wziętych z wyobraźni. Reprezentatywny dla art nouveau jest obecny hotel Palacio Cueto (przed rewolucją hotel Palacio Viena, zakład odzieżowy i apteka), a przepychem sztuki art déco wyróżnia się budynek Emilia Bacardiego – w latach 30. najwyższy budynek na Kubie, siedziba firmy produkującej rum Bacardi (po rewolucji siedziba firm krajowych i zagranicznych). Hawanę nowoczesną reprezentuje Casa de Schulthess, zbudowany na zlecenie przedstawiciela Nestlé w Hawanie Alfreda

Schulthessa (teraz znajduje się tu rezydencja ambasadora Szwajcarii), dzieło wiedeńskiego architekta Richarda Neutry. Urok miasta uzupełniają piękny campus Uniwersytetu Hawańskiego i monumentalny cmentarz imienia Krzysztofa Kolumba (z prochami m.in. pisarza Aleja Carpentiera i fotografa Alberta Kordy, autora słynnego portretu Che Guevary).

Z okazji 500-lecia władze miasta przygotowały bogaty, całoroczny program. – Poza odnową symbolicznych budynków, takich jak Kapitol i zamek Atarés (forteca wchodząca w skład systemu obronnego Hawany), postanowiono szczególnie zaakcentować historię Hawany i jej kulturę, rozbudzić w mieszkańcach pasję do swojego miasta – opowiada Eusebio Leal.

Historyk Hawany zwraca uwagę, że w niektórych regionach i miastach świata pojawiła się obawa przed turystami. Na Kubie wygląda to inaczej. Gospodarka wyspy jest w dużym stopniu uzależniona od dochodów z turystyki zagranicznej i nie może sobie pozwolić na jej ograniczenie, szczególnie w warunkach powrotu Donalda Trumpa do polityki izolacyjnej. Kuba i Kubańczycy z otwartymi rękami przyjmą każdego turystę i pokażą mu naprawdę piękny kraj. Równocześnie Eusebio Leal przyznaje, że nie wszystko udało się odbudować i że on sam niemal przegrał walkę z morzem i cyklonami. – Nie mogę zapomnieć niszczycielskich fal wdzierających się do miasta – mówi – pokrywających solą parki Prado, niszczących fundamenty starych pałaców i nowoczesnych budynków, atakujących zbudowany przed wiekami fort Castillo de los Tres Reyes del Morro. Zmiany klimatyczne powodują, że nadmorski bulwar Malecón stał się gorzkim uśmiechem Hawany. Stojące przy nim budynki nie wytrzymują naporu fal i słonej wody. Rozpadają się nawet konstrukcje żelbetonowe.

Hawana jest miastem pełnym rozrywki kulturalnych i miejsc, które koniecznie trzeba odwiedzić. Na turystę czekać będzie sławny kabaret Tropicana, spektakle organizowane przez Ballet Nacional de Cuba. Obowiązkiem każde-

go polskiego turysty powinno być odwiedzenie willi Ernesta Hemingwaya Finca Vigía, przekształconej w muzeum, m.in. z ceramiką Topolsky'ego. Można tu posłuchać opowieści o hollywoodzkich aktorach, Avie Gardner (która w przydomowym basenie pływała nago) i Carym Grancie (He-

mingway, z uwagi na wzrost Granta, musiał zamówić dla niego specjalne łóżko).

Hawana pozostaje niezmiennie miłością Eusebia Leala: – Jeśli jest życie poza tym, którego doświadczamy, moja dusza będzie wiecznie włóczyć się po Hawanie. ■

ZAPIS NIEZAPOMNIANEGO WYDARZENIA

Eusebio Leal Spengler wspomina pobyt w Warszawie w 1972 r.

W czasie mojej pierwszej wizyty w Polsce w charakterze członka delegacji władz miejskich Hawany pod przewodnictwem jej burmistrza, José Antonia Alonsa, miałem możliwość spędzenia, poza programem oficjalnym, paru godzin na ruinach Zamku Królewskiego w Warszawie.

Byłem pod wrażeniem głębokiej woli odzyskania tego, co zostało utracone. Nad terenem wznosiły się resztki murów, wśród których mozolnie poruszali się archeolodzy, starając się zachować to, co jeszcze pozostało z tej dumnej i historycznej budowli, o tak wielkim znaczeniu dla odradzającej się Warszawy. Zainspirowany widokiem przeprowadziłem wywiad ze słynnym prof. dr. Stanisławem Lorentzem.

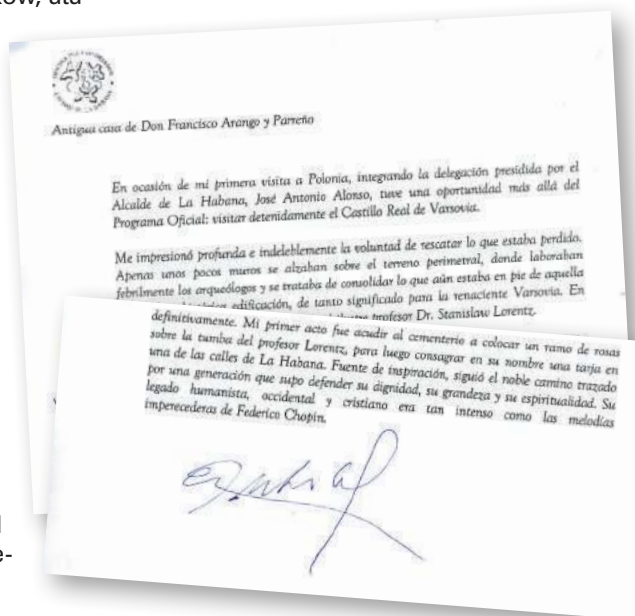
Ten szlachetny i elokwentny mężczyzna uparcie i skutecznie walczył o uratowanie wszystkiego co możliwe z materialnego majątku Muzeum Narodowego i kolekcji Zamku Królewskiego. Wraz z walecznymi mieszkańcami Warszawy z bólem przyglądał się systematycznemu niszczeniu jej pomników. Tylko będąc tutaj, można zrozumieć pilną potrzebę odbudowy zniszczeń. Jest to niepodważalne prawo narodów, przeczące obowiązującej wtedy w środowisku profesjonalistów zasadzie, że „jeśli coś zostało utracone, to zostało utracone”.

Za zgodą burmistrza postanowiłem zostać, by jako robotnik pracować wśród zgłiszcz, na których były jeszcze widoczne ślady pożarów. W podziękowaniu za ten gest robotnicy przekazali mi cegłę, którą potraktowałem jak najcenniejszy skarb, włożyłem do walizki i przywiozłem do Hawany. Wmurowałem ją w jedną ze ścian frontowych Pałacu Kapitanów Generałów (siedziba władz, w czasach gdy Kuba była kolonią hiszpańską – przyp. LM) i umieściłem nad nią godło Polski – białego orła.

Z czasu tego pierwszego pobytu zachowuję też w pamięci wielkiego prof. Kazimierza Michałowskiego, który kierował ekspedycją polskich archeologów w Egipcie. Ten poligłota spytał mnie, w jakim języku będziemy rozmawiać, i doszliśmy do wniosku, że do pojedynku słownego użyjemy łaciny klasycznej i kościelnej. Cały czas, z uzasadnioną dumą, mówił o swoich osiągnięciach.

Kiedy po paru latach wróciłem do Warszawy, obu profesorów nie było już wśród żywych. Moje pierwsze kroki skierowałem więc na cmentarz, aby złożyć wiązkę róż na grobie prof. Lorentza. Uwieczniłem też jego nazwisko na tabliczce wmurowanej na kamienicy przy jednej z ulic Hawany. Prof. Lorentz był dla mnie źródłem inspiracji, przykładem szlachetnej drogi wyznaczonej przez pokolenie, które potrafiło bronić swojej godności, wielkości i duchowości. Jego humanistyczne przesłanie, zachodnie i chrześcijańskie, było tak silne jak nieprzemijające melodie Fryderyka Chopina.

Dziękuję Ambasadzie Kuby w Warszawie za udostępnienie tekstu wspomnień Eusebia Leala Spenglera.



Ameryka na bruku

Nieruchomości w najgorszym stanie przynosiły największe zyski ich właścicielom. Przypadek Milwaukee



Amerykańscy bezdomni na ulicach Los Angeles.

Matthew Desmond

W brązowawo-białym domu na rogu Osiemnastej i Wright w Milwaukee gnieździły się trzy pokolenia rodziny Hinkstonów. Kwoką wśród nich była Doreen. Od kiedy pamiętała, miała nadwagę i dzień za dniem żyła bez pośpiechu. Dorobiła się czwórki dzieci – Patrice, Natashy, C.J.-a i Ruby, lat 24, 19, 14 i 13 – oraz trójki wnucząt od Patrice: 10-letniego Mike’a i jego młodszych sióstr, Jady, lat cztery, i 2-letniej Kayli Mae. Był tam jeszcze pies Coco, niski a gruby, kąśliwy, wierny tylko Natashy.

Kiedy Patrice dostała powiadomienie od Sherreny i przeniosła się z dziećmi z mieszkania na piętrze do mamy i rodzeństwa na parterze, cała ósemka Hinkstonów (plus Coco) wylądowała na kupie, w małym, ciasnym lokum. Patrice, Natasha i C.J. zareagowali na to, spędzając jak najwięcej czasu poza domem, przy dobrej pogodzie spacerując dookoła kwartału, wieczorami przesiadując u Lamara w domu z tyłu i grając w kierki. Nocą jednak wszyscy upychali się w mieszkaniu. Patrice zaklepała sobie mniejszą sypialnię –

skoro miała płacić połowę czynszu, twierdziła, że należy się jej jedna sypialnia, niechby i bez drzwi. W drugiej Doreen dzieliła łóżko z Natashą, a Ruby związała się w kłębek na fotelu. Mikey lądował z C.J.-em na materacu bez pościeli w stołowym, przy stole ze szklanym blatem, wśród wysokich na chłopca przym czystych i brudnych ubrań, które nie mieściły się w sypialniach. Córeczki Patrice także spały w stołowym, na materacu z porozrywkanymi narożnikami, przez które widać było sprężyny i murszającą gąbkę.

Nikt tu się nie wysypiał. Natasha miała w zwyczaju kopać Doreen przez sen, ta zaś regularnie wtaczała się na córkę albo podbierała jej poduszkę, a gdy Natasha próbowała zabrać ją z powrotem, mogła co najwyżej oberwać jąskiem. Starsze dzieci często nie wyrabiały się na wczesnoporanny gimbus. Maluchy zasypiały o przypadkowych porach w ciągu dnia.

A już najgorzej spało się w noc przed swoimi urodzinami. Jeśli przyszły jubilat zasnął w taką noc, miał gwarancję, że zakradnie się do niego Patrice i umaże mu twarz keczupem czy majonezem. Przez sześć ostatnich lat Hinkstonowie nie obchodzili

Bożego Narodzenia, bo nie było ich na to stać. Ale w dniu urodzin człowiek budził się z wymazaną, uśmiechniętą twarzą, a na stole czekało już ciasto. Hinkstonowie uwielbiali płatać sobie figle.

Tylne drzwi do mieszkania Hinkstonów były wyrwane z zawiasów. W ściankach działowych ziały pokaźne dziury. Łazienkę mieli tylko jedną. Z powodu przecieku na piętrze obrywał się w niej sufit, a na podłodze stężała cienka, czarna błonka. Szybby w kuchni były popękane. W paru oknach w stołowym żaluzje były porozginane, połamane, sterczały we wszystkie strony. Patrice powiesiła grube koce we wszystkich oknach od ulicy, więc w domu panował półmrok. W stołowym na komódce ze sklejk obok lampy pokojowej bez abażuru stał mały telewizor.

Po tym jak Patrice przeniosła się na dół, Sherrena odkryła, że dotąd kradła ona prąd. Rachunek za naprawę licznika opiewał na 200 dol. – Sherrena odmówiła zapłaty, jeśli Patrice miała mieszkać u Doreen.

– Pier..., nie pokryję – stwierdziła. – Te czarne obesrańce same wszystko pokryją albo zimą będą mieć chłódno.

Hinkstonom zeszło parę miesięcy, nim uskładali te 200 dol.: przez cały ten czas pomieszczenia na tyłach domu, w tym kuchnia, były bez prądu. Zepsuła się cała żywność, którą mieli w lodówce. Lodówkę, cuchnącą, sterczącą w kuchni jak sarkofag, Hinkstonowie traktowali jak całe to mieszkanie: jak coś, co trzeba przetrwać, przetrzymać. Tak samo postrzegali materace i małą kanapę, wszystkie tak stoczone przez karaluchy, że zamierzali zostawić je tutaj, kiedy przyjdzie pora wyprowadzki.

– Tacy byli wyrywni, że wprowadzili się na te karakany – rodzinę Doreen wspomina Sherrena.

Zanim Hinkstonowie wprowadzili się do mieszkania od Sherreny, przy Wright Street, przez siedem lat mieszkali w domu z pięcioma sypialniami przy Trzydziestej Drugiej. Nie był idealny, ale przynajmniej przestronny, i właściciel był znośny. Wszyscy rzucali się na czynsz: 800 dol. miesięcznie. Patrice wydawała dania w fast foodzie, Natasha też poszła do pracy po tym, jak rzuciła liceum. Doreen również nie ukończyła szkoły średniej, ale lata temu, w programie robót publicznych dla ubogiej młodzieży, nauczyła się pisać na maszynie w tempie 72 słów na minutę. Patrice prawie dociągnęła do egzaminów końcowych, nawet mimo że Mike’a urodziła jako 14-latkę, w końcu jednak podjęła pracę na cały etat, żeby pomóc utrzymać rodzinę. W wieku 16 lat Natasha zaczęła ciągnąć 12-godzinne zmiany w Quad Graphics, 9,5 dol. za godzinę, czasem zasypiając wśród maszyn drukarskich. Nie pytali jej o wiek, sama też się nie pochwalała. Doreen inkasowała miesięcznie 1124 dol.: 437 stanowego dofinansowania na wychowanie dzieci i 687 z SSI, z tytułu dawnego urazu nogi. (...)

Na Trzydziestej Drugiej Hinkstonowie byli już swojakami. Dzieciaki wpadały do domów sąsiadów, Doreen z posterunku na werandzie zaznajomiła się z pozostałymi rodzinami w kwartale. Co jakiś czas urządzała imprezę, na którą zapraszała wszystkich.

Aż tu pewnego dnia w sierpniu 2005 r. włączyła telewizor i zobaczyła, jak tonie Nowy Orlean. Błotniste rozlewiska pochłaniały miasto, czarne zwłoki przepływały obok ludzi

kulących się na dachach. Zaraz zadzwoniła do Fanny, swojej najlepszej przyjaciółki, i zaprosiła ją do siebie. Doreen i Fanny były wstrząśnięte tym, co widziały w wiadomościach. „To absolutna hańba” – wspomina Doreen swoje ówczesne przeżywania. Po paru niespokojnych nocach poczuła zew, by zrobić dla poszkodowanych w powodzi coś więcej niż tylko wiercenie się i modlitwy. Powierzyła Patrice nadzór nad rodzeństwem i wraz z Fanny wsiadła do autobusu na Południe. Miała wtedy 41 lat. Patrice – 20. (...)

Po dwóch dniach w autobusie Doreen i Fanny znalazły się w Lafayette w Luizjanie. Dołączyły tam do dzieciaków innych wolontariuszy przy wydawaniu koców i posiłków.

Przez tę wyprawę Hinkstonowie mieli miesięczną przerwę w opłaceniu czynszu. Mieszkali tam jednak kawał czasu, a właściciel domu był wobec nich w porządku.

– Nie cisnął mnie – wspomina Doreen.

Powiedział jej, że spłaci dług, kiedy będzie mogła. Kiedy tylko miała

właściciel domu prowizorycznie zabezpieczył opadający sufit w łazience. Może z powodu bałaganu, może przez to, że Patrice o drugiej rano zaczęła już policjantom pysskować, a może jednak podejrzewali Hinkstonów o odegranie jakiejś roli w tej strzelaninie – tak czy inaczej, policja zawiadomiła służby ochrony dzieci, ci dali znać Wydziałowi Służb Komunalnych (DNS), ten przysłał inspektora budowlanego, który wydał zalecenia dla właściciela domu, a ten wystawił powiadomienie o eksmisji z terminem pięciu dni, powołując się na zaległości w czynszu. Doreen zdążyła spłacić tamten dług tylko do połowy, kiedy doszło do strzelaniny. Nigdy nie było z tym pośpiechu.

Po tym jak komisarz sądowy podstemplował nakaz eksmisji, Hinkstonowie musieli szybko znaleźć nowe lokum. Próbowali szukać na własną rękę, ale bez samochodu czy dostępu do internetu zasięg tych działań był ograniczony. Szukali pomocy u pracowników socjalnych i jeden z nich skontaktował ich z Sherreną. Ta pokazała im mieszkanie przy

Lokatorzy zalegający z opłatami musieli godzić się na upokarzające warunki mieszkaniowe, w przeciwnym razie podlegali eksmisji.

jakąś nadwyżkę, oddawała mu – tu 100 dol., tam 100 dol. Starła się uregulować zaległość, ale czasem coś wypadało i nie miała nawet na cały czynsz. Mijały miesiące, potem lata.

Pewnej nocy wczesną wiosną 2008 r. dwóch chłopaków z okolicy ostrzelało się nawzajem na Trzydziestej Drugiej. Kilka kul przeszło przez drzwi Hinkstonów, wybijając w nich szybę.

Natasha, wówczas 17-latką, zamiatała właśnie szkło, kiedy zjawili się policjanci. Zapytali, czy mogą zajrzeć do środka. Jeśli wierzyć Hinkstonom, zrobili im w domu kispisz, szukając broni czy narkotyków. (...) Nie znaleźli niczego poza syfem: w zlewie góra brudnych naczyń, przepełnione kosze na śmieci, muchy. Hinkstonowie nie należeli do najschłodniejszych rodzin, a co gorsza, poprzedniego wieczoru w domu odbyła się impreza. Parę problemów nie było tak błahych: np. przybity na słowo honoru arkuśz sklejk, którym

Wright Street, które wcale im się nie spodobało.

– Nawet niewidomemu bym go nie poleciała – mówiła Patrice.

Całą rodziną doszli jednak do wniosku, że wszystko lepsze niż lądowanie na bruku czy w schronisku, więc przyjęli propozycję. (...)

Wobec presji wynikającej z eksmisji ubogie rodziny często muszą godzić się na mieszkanie w lokalach niespełniających podstawowych norm. Najemcy mieszkań w Milwaukee, których poprzednia przeprowadzka nastąpiła pod przymusem, doświadczają długotrwałych problemów mieszkaniowych z prawdopodobieństwem wyższym o niemal 25% niż w przypadku innych ubogich najemców. Doreen mówi, że zgodziła się wprowadzić do mieszkania oferowanego przez Sherrenę tylko dlatego, że jej rodzina była pod ścianą: „Ale długo to my tu nie pobędziemy”. Z eksmisjami jest tak, że często powodują nie jedną, tylko

► dwie przewodniczki: najpierw przy-
musową, do lokalu upokarzającego,
a czasem wręcz niebezpiecznego,
a potem rozmyślne przeniesienie
się stamtąd gdzie indziej. Tyle że ta
druga przewodniczka może nastąpić
dopiero po dłuższym czasie.

Hinkstonowie zaczęli rozglądać się
za nowym mieszkaniem wkrótce po
przeprowadzce do lokalu Sherreny
– dzwonili pod numery podawane
na szyldach, przeglądali ogłoszenia
o mieszkaniach w „RedBook”, dar-
mowej kolorowej gazetce dostępnej
w większości sklepów osiedlowych
w ich dzielnicy. Wciąż jednak byli
wyżęci po ostatniej przeprowadzce,
a świeży zapis o eksmisji Doreen też
nie pomagał. Patrice wkrótce prze-
niosła się do mieszkania na piętrze
i na jakiś czas zrobiło się luźniej. Na-
deszła jesień, Hinkstonowie oswoili
się już z okolicą, ale zawsze uważali,
że są tu tylko na chwilę, nawet mimo
upływu kolejnych miesięcy. (...)

W kuchni i łazience było już tak
źle, że Doreen miała ochotę za-
dzwonić do Sherreny i Quentina.
A nienawidziła do nich dzwonić.
Hinkstonowie niechętnie by się do
tego przyznali, ale bali się właścicieli
mieszkania.

– Quentin marudny jest – narze-
kała często Patrice. Kiedy odwiedzał
mieszkanie, napomynał o panującej
tam paskudnej woni. Jeśli przywoził

ekipę remontową, żeby coś naprawi-
li, często zostawiał po sobie odpady,
co Doreen i Patrice miały za oznakę
braku szacunku. – Co ja jestem, jego
sprzątaczką? – mówiła Patrice. Trud-
no orzec, czy Quentin rozmyślnie za-
chowywał się w ten sposób, by znie-
chęcić lokatorów do wydzwaniania
do niego z problemami dotyczącymi
mieszkań, ale taki właśnie skutek
osiągnął. (...)

„Naprawa” oznaczała często oby-
wanie się bez czegoś. Najpierw za-
tknął się zlew. Kiedy nie odetkał się
przez kilka dni, Ruby i Patrice zaczęły
myć naczynia w wannie. Nie udawa-
ło im się jednak wyłapać wszystkich
resztek jedzenia, nim te wpadły do
odpływu, więc wkrótce i w wannie
gromadziła się woda o barwie beto-
nu. Od tej pory rodzina grzała wodę
na kuchence i zadowalała się obmy-
waniem gąbką nad miednicą. Potem
ktoś wylewał wodę z miednicy do to-
alety i łapał za przepychacz, przez co
mała kolonia karaluchów pośpiesznie
szukała nowej kryjówki. Trzeba było
ostro pompować przepychaczem.
Z reguły mijało dobre pięć minut,
nim splukiwanie działało jak trzeba.
Kiedy i toaleta przestała działać, ro-
dzina zaczęła upychać zużyty papier
toaletowy do foliowych torebek wy-
rzuconych razem z resztą śmieci.

Gdy Doreen zadzwoniła wreszcie
do Sherreny w sprawie kanalizacji,
nie zastała jej pod telefonem. Minął

tydzień od wiadomości zostawianych
na poczcie głosowej, nim Sherrena
oddzwoniła, tłumacząc, że była z Qu-
entinem na Florydzie. Kupili tam ostat-
nio apartament wakacyjny z trzema
sypialniami. W odpowiedzi na zażale-
nia na kanalizację Sherrena wytknęła
Doreen naruszenie umowy najmu, ja-
kim było pozwolenie Patrice i jej dzie-
ciom na zamieszkanie z pozostałymi
Hinkstonami. Patrice czuła się, jakby
dopadła ją *déjà vu*. Nim przeprowa-
dziła się na piętro, obejrzała tamto
mieszkanie. Wymagało sporo roboty
– szarobura wykładzina była powycie-
rana i lepka od brudu, w sypialni dzie-
ci zapadał się sufit, drzwi na balkon
wylaływały z zawiasów, a sam balkon
robił takie wrażenie, jakby był gotów
się zapaść pod parką gołębi – ale
Sherrena obiecała, że zajmie się tym
wszystkim. Dopuszczalne było odda-
wanie w najem mieszkań naruszają-
cych przepisy prawa budowlanego,
nawet takich, które nie spełniały „pod-
stawowych wymogów przydatności
do zamieszkania”, dopóki właściciel
nie krył tego przed najemcą.

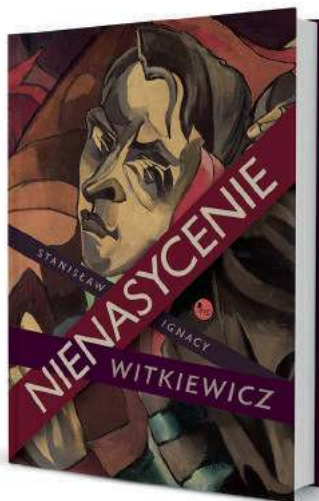
Patrice uwierzyła Sherrenie na sło-
wo i wpłaciła jej 1,1 tys. dol. – czynsz
za pierwszy miesiąc i kaucję. Prace
remontowe szły jednak niemrawo.
W wannie u Patrice zatkał się od-
pływ, a Sherrena nie odbierała tele-
fonów. Tym razem była z Quentinem
na wakacjach. Patrice przetrzymała
dwa miesiące z niesprawnym zle-
wem. Gdy odkryła potężną dziurę
w jednej ze ścian, dostała od Sherre-
ny broszurkę o sposobach chronie-
nia dzieci przed ołowiem w farbach.
Patrice skarżyła się, że gdy drzwi wy-
leciały z futryny, Sherrena przysłała
do naprawy „tych swoich ćpunów”.
To przeważało szalę.

– Wezmę sobie adwokata i cię po-
zwę! – krzyczała Patrice.

– Śmiało – odparła ze śmiechem
Sherrena. – Pieniądzy wystarczy mi
na dłużej niż tobie.

– Skoro ci płacę, czemu tyle rze-
czy mam niepoprawianych?

W kolejnym miesiącu Patrice
spróbowała rozegrać to inaczej.
Skoro Sherrena nie reagowała, kie-
dy czynsz był opłacany, może coś
zrobi, kiedy czynszu nie dostanie.
Patrice zapłaciła jej połowę sumy
i oznajmiła, że dołoży resztę, kiedy
obiecane naprawy zostaną wyko-
nane. Biorąc pod uwagę, że czynsz
pochłaniał 65% dochodów Patrice,



www.wydawnictwomg.pl

niełatwo było rozstawać się z taką kwotą w zamian za życie w tak podłych warunkach.

Manewr Patrice obrócił się przeciwko niej. Sherrena odmówiła remontowania jej mieszkania, póki nie otrzyma całej należnej sumy. Patrice miała wrażenie, że to istny paragraf 22. Jeśli płaciła, Sherrena często nie oddzwaniała, póki znów nie przyszedł początek miesiąca. Jeśli odmawiała płacenia, Sherrena wstrzymywała wszelkie naprawy do chwili uiszczenia należności. „Nie będę się szarpać i zapierać przy tych wszystkich sprawach, jak mi wszystkiego nie zapłacisz”, mówiła. Patrice wciąż jednak chciała utrzymać to

przeprowadzkę. Była to taktyka popularna wśród niezasobnych najemców. Czasem rodziny same prowadziły konieczną eksmisję, dzięki której mogły zaoszczędzić tyle, by móc wprowadzić się gdzie indziej.

Doreen wiedziała, że gdyby musiała się przeprowadzić, nie znalazłaby mieszkania o znacząco niższym czynszu, na pewno nie dla trójki dorosłych i pięciorga dzieci. W owym czasie mediana czynszów za mieszkanie z dwiema sypialniami wynosiła w Milwaukee 600 dol. 10% mieszkań miało czynsz wynoszący najwyżej 480 dol., taki sam ich odsetek – co najmniej 750 dol. Ledwie 270 dol. dzieliło jedne z najtańszych mieszkań w mieście

Najemcy mogli przehandlować własną godność i zdrowie dzieci za dach nad głową.

mieszkanie. Fajnie było mieszkać nad mamą, uważała też, że dałoby się to mieszkanie naprawdę ładnie urządzić. Potem jednak kierownik w barze kanapkowym Cousins Subs obciął jej godziny i straciła już jakąkolwiek możliwość manewru. Kiedy dostała od Sherreny powiadomienie o eksmisji, nie miała jak nadrobić zaległych płatności. (...)

Po dwóch miesiącach z niesprawną wanną i zlewem oraz ledwo działającą toaletą Doreen postanowiła sama wezwać hydraulika. Sherrena raz już zapłaciła za fachowca, przy pierwszej awarii kanalizacji, i nie miała chęci znów ładować się w koszty. Doreen zaś, po tym jak skończyły się sprawy przy Trzydziestej Drugiej, wiedziała, że wzywaniem inspektora budowlanego nie jest dobrym wyjściem. Hydraulik za przetkanie rur zażądał 150 dol. Ustalił, że kanalizacja w domu jest stara, podatna na uszkodzenia, poradził więc Doreen, żeby pilnowała, by do odpływów nie wpadały żadne odpadki. Po jego wyjściu Doreen zaczęła od napuszczenia sobie gorącej wody, w której pławiła się przez godzinę.

Postanowiła, że te 150 dol. potrąci z czynszu. Kiedy Sherrena w odpowiedzi stwierdziła, że w ten sposób zarobi sobie na powiadomienie o eksmisji, Doreen po prostu nic jej nie zapłaciła. Skoro i tak miała być eksmitowana, równie dobrze mogła odłożyć te pieniądze na następną

od tych najdroższych. Oznaczało to, że czynsz w niektórych naprawdę fatalnych lokalizacjach był niewiele niższy niż ten w znacznie lepszych dzielnicach. Dla przykładu w najbiedniejszych rejonach miasta, gdzie co najmniej 40% rodzin plasowało się poniżej granicy ubóstwa, mediana czynszów za mieszkanie z dwiema sypialniami była niższa o zaledwie 50 dol. wartości dla całego miasta. Jak to ujmowała Sherrena, „dwie sypialnie to dwie sypialnie, i cześć”. (...)

Lokatorzy zdolni co miesiąc płacić cały czynsz mogą korzystać z ochrony prawa, skonstruowanego z myślą o zapewnieniu im bezpiecznego i godziwego miejsca zamieszkania. Nie dość, że bez obawy eksmisji mogą wzywać inspekcje budowlane, to jeszcze wolno im obniżyć czynsz, póki właściciel nie wykona określonych napraw. Kiedy jednak lokatorzy zaczęli zalegać, ochrona przepadała. Lokatorzy z zaległościami nie mogą redukować czynszu ani go deponować, a już wezwanie inspektora budowlanego to igranie z eksmisją. To nie tak, że najemcy o niskich dochodach nie znają przysługujących im praw. Po prostu wiedzą, że skorzystanie z tych praw może być dla nich kosztowne.

– Myślę, że jak wezwiemy inspektora budowlanego, to tylko narobimy sobie kłopotów – powiedziała do Patrice Doreen.

– Tak będzie – potwierdziła córka. – Ona może wyrzucić nas na bruk, jeśli wezwiemy inspektora.

Miała na myśli to, że Sherrena mogła przeprowadzić eksmisję, bo Doreen naruszyła warunki najmu, w myśl których Patrice i jej dzieci były „nieupoważnionymi sublokatorami”, więc w razie zawiadomienia z Wydziału Służb Komunalnych tak by zapewne zrobiła.

Kiedy lokatorzy tracili należną im ochronę wskutek zaległości czy innych naruszeń warunków najmu, właściciele mogli zareagować, zaniebując naprawy. Czy, jak ujmowała to przed lokatorami Sherrena: „Jak ja wam odpuszczam, to i wy mi odpuście”. Najemcy mogli przehandlować własną godność i zdrowie dzieci za dach nad głową.

W latach 2009–2011 niemal połowa najemców mieszkań w Milwaukee doświadczyła poważnego i długotrwałego problemu mieszkaniowego. Więcej niż 20% żyło z wybitą szybkością bądź z popsutym sprzętem AGD albo wśród rojących się gryzoni czy karaluchów w okresie dłuższym niż trzy dni. Co trzeci doświadczył kanalizacji zatkaanej na ponad dobę. Co dziesiąty zaś spędził co najmniej jeden dzień w nieogrzewanym lokalu. Problemy te z większą częstotliwością dotyczą rodzin Afroamerykanów, a także tych mieszkań, gdzie śpią dzieci. Jednak średni czynsz był taki sam, nieważne, czy mieszkanie było z problemami czy nie.

Lokatorzy zalegający z opłatami musieli godzić się na nieprzyjemne, upokarzające, czasem wręcz niebezpieczne warunki mieszkaniowe, w przeciwnym razie podlegali eksmisji. Jednak z biznesowego punktu widzenia mógł to być całkiem zyskowny stan rzeczy. Obejmująca cztery lokale posiadłość, do której należały mieszkania zajmowane przez Doreen i Lamara, była dla Sherreny najbardziej dochodowa. Na drugim miejscu był dom przy Trzynastej, gdzie mieszkała Arleen. Wśród nieruchomości należących do Sherreny właśnie te w najgorszym stanie przynosiły największe zyski.

Fragmenty książki
Matthew Desmond
Eksmitowani. Nędza i zyski w jednym z amerykańskich miast, przekład Tomasz S. Gałązka, Marginesy, Warszawa 2019



GŁOSUJECIE NA LEWICĘ

Stanowisko Rady Stowarzyszenia „Kuźnica” w sprawie wyborów parlamentarnych

13 października 2019 r.

Stowarzyszenie „Kuźnica” wyraża poparcie dla wspólnego komitetu wyborczego Lewicy, jednoczącego Sojusz Lewicy Demokratycznej, Wiosnę, Razem i inne lewicowe organizacje społeczno-polityczne.

Wobec pogłębiającego się kryzysu systemu państwowej służby zdrowia oraz napięć społecznych, których szczególnie widocznym przejawem był tegoroczny wiosenny strajk nauczycieli w całej Polsce, niezbędne jest podjęcie działań na rzecz poprawy stanu usług publicznych – zarówno ich jakości, jak i finansowania. W obliczu postępującej izolacji Polski wewnątrz Unii Europejskiej konieczny jest powrót na drogę prowadzącą ku silnej integracji europejskiej i współpracy wewnątrz Wspólnoty. W odpowiedzi na rosnące przyzwolenie dla klimatu nienawiści – zwłaszcza w stosunku do osób LGBT, które rządząca większość wyklucza z polskiej wspólnoty – ważne jest, aby jednoznacznie potępić wszelkie przejawy agresji i motywowanego nienawiścią łamania prawa. Wszystkie te kwestie znalazły się w programie wyborczym Lewicy.

Sprzeciwiamy się łamaniu zasad praworządności oraz naruszaniu zasad przyzwoitości przez aktualnie rządzących w Polsce oraz wyrażamy zaniepokojenie ostatnimi doniesieniami na temat planów ograniczenia dostępu do zawodu dziennikarza.

Już w lipcu br. Rada Stowarzyszenia przekazała władzom SLD, Wiosny i Razem



swoją rekomendację dla prezesa „Kuźnicy” dr. Pawła Sękowskiego jako kandydata do Senatu w Krakowie oraz rekomendację dla wiceprezesa „Kuźnicy”, byłego wice-

ministra kultury, Rafała Skąpskiego, jako kandydata do Senatu w Nowym Sączu. Rekomendacja dla Pawła Sękowskiego uzyskała poparcie wszystkich trzech partii wchodzących w skład Komitetu Wyborczego SLD na szczeblu lokalnym (Krakowa/Małopolski), co Rada „Kuźnicy” traktuje jako wyraz uznania dla konsekwentnych działań Stowarzyszenia na rzecz porozumienia całej polskiej lewicy. Rafał Skąpski otrzymał poparcie małopolskiej oraz powiatowej nowosądeckiej organizacji SLD. Jednakże tzw. pakt senacki, skupiający całą opozycję demokratyczną, rekomendacji tych nie podjął.

Stowarzyszenie „Kuźnica” wyraża swoje poparcie dla kuźniczan – liderów list, którzy kandydują do Sejmu RP: dr. hab. Macieja Gduli, lidera listy Lewicy (KW SLD) w okręgu nr 13, oraz Ryszarda Śmiałka, lidera listy KW SLD w okręgu nr 12. Rada „Kuźnicy” udziela również rekomendacji kuźniczanom kandydującym w okręgu nr 13 z listy Lewicy: Monice Szymańskiej, Mateuszowi Burzawie, Adamowi Jaśkowowi i dr. Marcinowi Galentowi.

Wzywamy do udziału w wyborach i głosowania na listę nr 3 – Komitet Wyborczy Sojusz Lewicy Demokratycznej.

Rada „Kuźnicy”

Poznaj małopolskich kandydatów Lewicy do Sejmu

Stowarzyszenie „Kuźnica” zaprasza
w **środę, 2 października 2019 r.,**
na **godz. 18.00**
na dyskusję z udziałem
małopolskich kandydatów
do Sejmu RP.
Rozmawiać będą:

– **dr hab. Maciej Gdula**
(Wiosna),

lider listy KW SLD w Krakowie,

– **Daria Gosek-Popiołek**
(Razem),

kandydatka nr 2 na liście KW SLD
w Krakowie,

– **Ryszard Śmiałek (SLD)**,
lider listy KW SLD w Chrzanowie.

Dyskusję moderować będzie
dr Paweł Sękowski,
prezes „Kuźnicy”.

W trakcie spotkania będzie miała miejsce krótka prezentacja wszystkich kandydatów do Sejmu RP z listy nr 3 – KW SLD w okręgu nr 13, obejmującym Kraków oraz powiaty krakowski, miechowski i olkuski.

Spotkanie odbędzie się
w **siedzibie „Kuźnicy”:**
al. Słowackiego 44 (parter),
Kraków.

Wstęp wolny

KSIAŻKA

PASAŻER MUSI ZNIKNĄĆ

Oto historia odkolejowienia Polski. Jeszcze przed transformacją decydenci zaczęli się interesować głównie cięciem kosztów na kolei, nie bacząc na to, że równocześnie tną przychody. Tymczasem ludzie – dziwna rzecz – chcą jeździć pociągami. Jeśli tylko dostają atrakcyjną ofertę, ochno z niej korzystają, co autor pokazuje choćby na przykładzie InterRegio, opisując też jednak brzydkie metody wygryzania konkurencji przez Grupę PKP. Latami trwało nieperspektywiczne, kretyńskie wręcz zarządzanie, które w normalnej firmie oceniono by jako działanie na jej szkodę. Miało ono przełożenie na sytuację społeczną, bo przecież kolej nie jest bytem z osobnego świata – likwidowanie połączeń i infrastruktury



marginalizowało połacie kraju, odbierając ludziom szanse życiowe: na znalezienie pracy, na lepszą szkołę, na leczenie u specjalisty. Karol Trammer ma dar wskazywania absurdów i pisze ostro. To długa i bolesna lista strat.

Jastrzębie-Zdrój, obecnie największe miasto pozbawione pociągów, gdy ostatecznie traciło komunikację kolejową, liczyło 97,5 tys. mieszkańców. Teraz – 89,6 tys. To tu w ramach akcji zniechęcania podróżnych wprowadzono chyba najdziwniejszy rozkład jazdy. Na trasie przez Zebrzydowice do Cieszyńska był jeden pociąg dziennie i tylko w jedną stronę. Powrotów nie przewidziano...

Aleksandra Pańko

Karol Trammer, *Ostre cięcie. Jak niszczone polską koleją*,
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019

Kroniki poznawania świata

Pisanie o warsztacie pisarskim Józefa Hena jest jak wyważanie otwartych drzwi – wartość literacka „Nowolipia” jest po prostu oczywista

Roman Wojciechowski

„Obok był ojciec. Trzymał mnie za rękę, rozmawiając z jakimś towarzyszem, a matka – tak, mama też tam była – ja zaś przypatrywałem się dużej jasnej plamie, która kołysała się na chropowatej ścianie domu. Musiałem się okropnie nudzić, skoro ta plama od słońca tak mnie zaciekała, a może ona naprawdę była niezwykła. Ta plama na szarym murze to jest najdawniejszy obraz, jaki pamiętam. To od tej chwili mam świadomość, że jestem”.

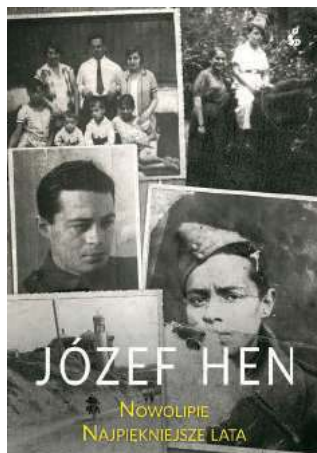
To od tego miejsca na bazarze łączącym Nowolipie z Leszmem rozpoczyna się wędrówka przez świat, jego poznawanie przez Józka Cukiera. Uczenie się siebie w przestrzeni Muranowa, w panoramie wielokulturowej Warszawy. Czas dziecięcych zadziwień i odkryć, młodzieńczych radości i rozczarowań. Żydowskiej tradycji poddawanej przemianom końcówki lat 30. Przed czytelnikiem przewija się niezwykle bogata galeria postaci z najbliższej rodziny, z sąsiedztwa, ze szkoły, z ulicy. Barwna, ciepła opowieść o ludziach, nawet o tych, do których autor we wspomnieniach ma żal. Czas dzieciństwa, dla którego cezura jest wybuch wojny i początek okupacyjnej gehenny. I jakże często powtarzane w tych wspomnieniach: nie wiem, co z nimi dalej, czy przeżyli? Bez patosu. Tak po prostu.

Ale także dla współczesnego czytelnika lektura „Nowolipia” to poznanie świata. Świata, który odszedł i jakże często bywa dziś wypierany z przestrzeni publicznej. To najwyższej pisarskiej próby literacka lekcja historii, o której powinno się pamiętać. Nie jest to jednak zbiór sentymentalnych wspomnień. To wartkie opowieści obdarzające czytelnika trafną obserwacją, refleksją – mimo że widziane oczyma dziecka – nierzadko zaskakujące poczuciem humoru, jak w scenie omdlenia służącej.

„Były to czasy, kiedy kobiety jeszcze mdlały. Moja starsza siostra o byle co »ach, ach, słabo mi« – zupełnie

jak w kinie – i osuwała się na krzesło. Ja i mój brat uważaliśmy to za bujdę, bo dlaczego nigdy nie mdleliśmy, co? I dlaczego Stella nigdy nie osuwała się na podłogę, tylko na jakieś krzesło?”.

„Najpiękniejsze lata” obejmują wspomnienia z okresu pobytu autora w ZSRR. Czas tułaczki, która rozpoczęła się, gdy jako kilkunastoletni chłopak opuścił Warszawę po zajęciu jej przez Niemców. To odkrywanie świata radzieckiej Rosji podczas zawieruchy wojennej. I znów uczenie się ludzi, nowych relacji, gdy jakże często poznanie połączone było



Tym, co nadaje wspomnieniom niezwykłą wartość – być może również dlatego, że opowiedzianym z perspektywy dojrzałego człowieka – jest niezachwiana afirmacja życia.

z walką o przeżycie. Chwywanie się różnych zajęć, aby zarobić na kawałek chleba. To także czas poszukiwania własnej drogi.

„Przede wszystkim CIEKAWOŚĆ, ta ostra młodzieńcza ciekawość, o której już wspominałem. Egzotyka tego środowiska, do którego mnie los rzucił. (...) Nowi, dziwni przyjaciele. Tak, już wtedy wiedziałem, że przeżywam tworzywo, materiał do przyszłych opowieści”. Pisanie o warsztacie pisarskim Józefa Hena jest dziś jak wyważanie otwartych drzwi – wartość literacka „Nowolipia. Najpiękniejszych lat” jest po prostu oczywista. Opowieści, czę-

sto zamknięte w epizodach, bez reszty pochłaniają czytelnika, przenosząc go w tamten czas i miejsce. Kwintesencją tego mistrzostwa jest wspomnienie „Pełnomocnik”, w którym Hen chłopak włóczy się po torowisku, próbując załapać się na jakiś towarowy do Lwowa, bo osobowy nie przyjechał i nie wiadomo, kiedy będzie. Trafia w ręce milicjanta: Ty szpion? Od takiego podejrzenia do wyroku śmierci bardzo często droga była krótka. Sytuację pogarszają odnalezione przy zatrzymanym zapiski juveniliów – powieści „Opór”, wiersze oraz wyimaginowany w młodzieńczej fantazji plan Buska. A było to już po aresztowaniu Wata, Broniewskiego, Peipera. Kilkunastodniowe przesłuchania, podczas kolejnego major NKWD interesuje się powieścią „Opór”. W wyjaśnieniu słyszy od drugiego przesłuchującego, polskiego pełnomocnika NKWD, że rzecz jest o obronie Warszawy. Badanie tekstu, ciężka chwila medytacji. „On tańtliv – usłyszałem niespodziewanie i tych dwóch słów do końca życia nie zapomnę...”.

Wspomnienia zamyka czas służby w Armii Czerwonej, którą autor rozpoczął, gdy kończył 18 lat. Symbolicznym finałem tego etapu poznawania

świata jest wstąpienie do 1. zapasowego pułku formującej się 2. Armii Wojska Polskiego.

Tym, co nadaje wspomnieniom niezwykłą wartość – być może również dlatego, że opowiedzianym z perspektywy dojrzałego człowieka – jest niezachwiana afirmacja życia. Mimo wielu tragicznych zwrotów, mimo kruchości teraźniejszości i niepewnej przyszłości. „Nigdy by ten świat nie stał się rzeczywistością, gdybym się nie urodził. Aż strach pomyśleć”.

Józef Hen, *Nowolipie. Najpiękniejsze lata*, Sonia Draga, Katowice 2019

KURTYNA W GÓRĘ

KTO KOGO?

Zahukany pantoflarz Stanisław (Jan Wieczorkowski na zmianę z Michałem Rolnickim), kochliwy i zazdrosny Krzysztof (Kamil Kula/Adam Serowaniec) i stary wyjadacz Władysław – ich szef (Marcin Perchuć/Maciej Wierzbicki) mają dopiąć umowę z Jackiem, od której zależy ich przyszłość. Ale Jacek znika. Zamiast z nim muszą się zmierzyć z tajemniczą negocjatorką Hanną (Katarzyna Ankudowicz/Ilona Wrońska gra początkowo sztywną prawniczkę). Komedia korporacyjna Andrew Payne’a odsłania z satyrycznym zacięciem kulisy biznesowych negocjacji, w których zawsze

chodzi o to samo: kto kogo (najdelikatniej mówiąc) przechytrzy.

Nie bez kąśliwości wobec zblazowanych menedżerów autor kreśli portrety walczących o przetrwanie autorów pewnego projektu, jednoczących siły przeciw jednej twardej kobiecie,

w polskim tłumaczeniu obdarzonej znaczącym nazwiskiem Zimna. Towarzyszą temu podteksty męsko-damskie, ale ważniejsze od intrygi (dość wątpliwej) są portrety bohaterów, porządnie wyrysowane pod kierunkiem debiutującego w roli reżysera Marcina

Perchucia. Jako przeciwniki komentujące sceniczne zdarzenia wprowadzone zostały rapowane (ostre) kawałki z tekstami Emiliana Kamińskiego, które na premierze ze swobodą wykonywał Kamil Kula.

Tomasz Miłkowski



Andrew Payne, „Blef”,
przekład Elżbieta
Woźniak, reżyseria Marcin
Perchuć, Teatr Kamienia
w Warszawie, premiera
12 września 2019

BYLIŚMY

MIEDZY OKŁADKAMI

OPERETKA CZEKA NA KADRY

Na 15-lecie Mazowieckiego Teatru Muzycznego ta zaśluzona i potrzebna publiczności scena wystawiła najbardziej melodyjną operetkę – „Wesoła wdówka”. „Usta milczą, dusza śpiewa” weszło już do języka potocznego jako symbol miłosnego wyznania, które z trudem przebija się do ukochanej osoby. W spektaklu na wysokim poziomie muzycznym oglądamy mistrzów nad mistrzami, legendy scenicznej rozrywki, Grażynę Brodzińską, Adama Kruszeńskiego, Bożenę Zawisłak-Dolny, jest też kilkoro młodych adeptów, ale oni nie dorównują gwiazdom. Gdzie są następcy?

Bronisław Tumitowicz

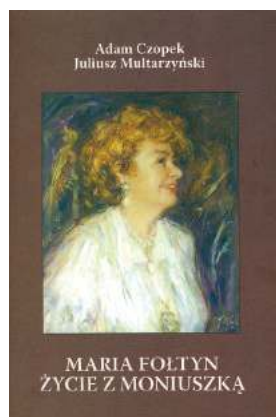


Franz Lehár, „Wesoła wdówka”, reżyseria i choreografia Henryk Konwiński,
dyrygent Arif Dadashev, Mazowiecki Teatr Muzyczny na scenie Teatru Palladium,
premiera 13 września 2019

Adam Czopek, Juliusz Multarzyński
MARIA FOŁTYN. ŻYCIE Z MONIUSZKĄ
MULTART, Warszawa 2019

W Roku Moniuszki nie mogło się obyć bez solidnej monografii dotyczącej Marii Fołtyń, która temu twórcy poświęciła sporą część życia. Publicysta muzyczny Adam Czopek i fotografik muzyczny oraz menedżer kultury Juliusz Multarzyński przygotowali przeszło 300-stronicową, bogato ilustrowaną książkę o tej niezwykle kobiecie. Opisuje ona najpierw karierę śpiewaczki Marii Fołtyń, potem jej działalność jako reżyserki operowej i promotorki muzyki Moniuszki w najdalszych zakątkach świata. Wreszcie mowa jest o działaniach bohaterki jako animatorki, organizatorki, dyrektorki i prezeski rozmaitych struktur muzycznych. Jej największym, wciąż żyjącym dziełem jest Międzynarodowy Konkurs Śpiewaczy im. Moniuszki. Amatorzy niedyskrecji też coś znajdą dla siebie – rozdział „Małżeństwa i romanse”. Publikację kończą wykaz nagrań śpiewaczki, wspomnienia znajomych, bibliografia i obszerny indeks nazwisk.

Bronisław Tumitowicz



NA EKRANACH



MOWA PTAKÓW

reż. Xawery Żuławski, prod. Polska, już w kinach

Xawery Żuławski dostał od Andrzeja Żuławskiego scenariusz, który cisnął w kąt. Nie było czasu na czytanie, gdy stan ojca pogarszał się z dnia na dzień. Liczyła się każda spędzona z nim godzina, życie wzięło górę nad filmami. Trzy lata po śmierci reżysera „Szamanki” trafia na ekrany obraz, który powstał na bazie tamtego tekstu. Efekt jest hołdem złożonym jednocześnie ojcu przez syna i artyście przez artystę. Ale przede wszystkim to dowód odwagi twórczej i niepowtarzalnego stylu Żuławskiego juniora, kino wymagające, które nie uśmiecha się do widza. Cierpliwi jednak zostaną nagrodzeni – znajdą tu pogłębioną refleksję nad stanem współczesnych Polaków oraz intertekstualne nawiązania nie tylko do twórczości Andrzeja Żuławskiego. Całość ujmuje klimatem i osobnością. A niepodporządkowanie linearności ani oczekiwaniom producentów daje nadzieję, że ze śmiercią Żuławskiego seniora nie padło kino autorskie. Zobaczcie koniecznie, bo takie filmy to nad Wisłą już rzadkość.

Artur Zaborski

AKCJA

ANTONINA CAMPI OPERA MASTERCLASS 2019

Projekty pod marką Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Antoniny Campi z Miklaszewiczów odbywają się w lubelskim CSK od prawie trzech lat. W październiku zapraszamy na piątą odsłonę tego wydarzenia – warsztaty wokalne. Zajęcia indywidualne ze śpiewu poprowadzą dyrektor artystyczna konkursu wokalnego i Masterclass Ewa Vesin (sopran), wybitna śpiewaczka i ceniony pedagog Izabela Kłosińska (sopran) oraz nauczyciel śpiewu m.in. w Konserwatorium Paryskim, Holender Marcel Boone (baryton). Uczestników i pedagogów wspierać będą akompaniatorzy i korepetytorzy operowi: Justyna Skoczek, Mischa Kozłowski i Tomasz Pawłowski. W czwartek, 10 października odbędzie się koncert galowy uczestników Masterclass. Szczegóły: antonina.campi.sportkianiakultur.com.

**LUBLIN, CENTRUM SPOTKANIA KULTUR,
6-10 PAŹDZIERNIKA**



FESTIWAL

14. Międzynarodowy Festiwal Teatru Lalek i Animacji Filmowych dla Dorosłych
LALKA TEŻ CZŁOWIEK

Od 14 lat festiwal „Lalka też Człowiek” na przekór przekonaniu, że teatr lalkowy zarezerwowany jest dla dzieci, zaprasza najlepsze światowe spektakle i grupy teatru lalki dla dorosłych. W tej edycji zobaczymy twórców ze Słowenii, Białorusi, Czech, Francji, Niemiec, Włoch i oczywiście Polski. Publiczność pozna cały wachlarz możliwości teatru lalkowego, wykorzystującego zarówno tradycyjne środki wyrazu, jak i nowe, często nieoczekiwane technologie, na pograniczu różnych dziedzin sztuki. Lalki bowiem nie zawsze są człekokształtne.

Czasami ich rolę odgrywa rulon tektury, innym razem – blaszane wiadro. Bo wszystko jest w rękach animatorów. Ważne – wstęp na spektakle jest bezpłatny! Więcej na: www.lalkatezczlowiek.eu.

WARSZAWA, 5-13 PAŹDZIERNIKA



ZAJRZYJ TU



DESIGN. SZTUKA KOBIET

„Było im trudno, bo projektowanie przemysłowe uznawano powszechnie za męską domenę. A jednak wywarły ogromny wpływ nie tylko na rodzimy, lecz także na światowy design. Przedaukcyjna wystawa to przekrojowe spojrzenie na rolę i osiągnięcia kobiet w niemal każdej z gałęzi wzornictwa. Od mebli, przez tkaninę, po szkło i porcelanę. Od prac ikony polskiego stylu art deco – Julii Keilowej – po najnowsze wzory wystawiającej dziś w całej Europie Malwiny Konopackiej”. Na największą w historii ekspozycję polskiego designu tworzonego wyłącznie przez kobiety składa się niemal 200 najlepszych projektów rodzimych designerek ostatniego stulecia, w tym słynne krzesła: „Muszelka” Teresy Kruszeńskiej czy „Pająk” Marii Chomentowskiej.

WARSZAWA, DESA UNICUM, DO 8 PAŹDZIERNIKA

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz



Tętniak – bomba w głowie

Coraz więcej pacjentów czeka na nowoczesną operację

Krystyna Rożnowska

Miała szczęście – powtarza neurochirurg Mariusz Banach, gdy rozmawiam z nim o pacjentce*, u której zamknął krwawiącego tętniaka mózgu bez otwierania czaszki. Szczęście? Przecież ta 40-letnia kobieta należała do 3-5% populacji, u której występują tętniaki mózgu (są jeszcze tętniaki aorty brzusznej i innych narządów – nerki, wątroby itp.). I jak większość ludzi, którzy je mają, o tym nie wiedziała. Aż przyszedł dzień, kiedy tętniak pękł.

Dobrze, że mnie zabrali

– Nagle poczułam ból głowy, piorunujący, tak silny jak nigdy – wspomina pani Karolina. – Doczołgałam się do stołu, sięgnęłam po komórkę i zadzwoniłam na 112. Odebrała kobieta i zaczęła zadawać mi wiele pytań: kim jestem, gdzie jestem, jaki to ból? Z wysiłkiem jej odpowiadałam. Telefon przejął od niej ratownik medyczny i znów zadawał mi pytania. Wreszcie usłyszałam: wysyłamy karetkę. Przyjechała. Weszło dwóch ratowników i znów grad pytań. Podali mi jakiś lek, ale ból nie ustąpił. Zamierzali już wyjść, a ja nie miałam siły ich zatrzymać.

– Nie, bierzemy panią. Nie ma żadnej poprawy – zdecydowali już przy drzwiach.

Wnieśli mnie do karetki. Zwymiotowałam.

– Naprawdę pani Karolina miała szczęście – komentuje to zdarzenie dr Banach – bo ratownicy mogli jej nie zabrać do szpitala. Nawet lekarzom czasem nie udaje się bez wykonania tomografii czy rezonansu magnetycznego wyłowić chorych z krwotokiem mózgowym spośród ogromnej rzeszy cierpiących z różnych przyczyn na ból głowy. We współpracy z pogotowiem opracowaliśmy zasady postępowania przy krwotoku z tętniaka. Dwa objawy są tu ważne – silny ból głowy i utrata przytomności, gdy oba wystąpią, niezabranie pacjenta do szpitala jest błędem. Ale jeśli nie ma utraty przytomności, jak było w przypadku pani Karoliny, ratownik może podać lek przeciwbólowy i zostawić chorego w domu. U niej lek nie łagodził bólu, a to już było pewną wskazówką.

Jak za mgłą

– Pojechaliśmy do Szpitala Specjalistycznego im. J. Dietla. Tam się zorientowałam, że robią mi tomografię albo rezonans. Podeszli do mnie krewni,

ale nie pamiętam, co mówili. Przeniesiono mnie z łóżka na łóżko, ciągle o coś pytano. I znów znalazłam się w karetce, zawieziono mnie do Szpitala św. Rafała. Ktoś powiedział, że pękł mi tętniak w mózgu i trzeba mnie operować. Przeczytano mi zgodę na operację, a ja ją podpisałam. Pomyślałam: uspią mnie do zabiegu, to przestanę cierpieć. Nie pamiętam twarzy lekarza, który powiedział, że będzie mnie operował. Wyjaśnił, że spróbuje przez tętnicę udową dostać się do mózgu i zamknąć tętniaka. Wszystko działo się jak za mgłą. Było mi bardzo zimno. Prosiłam Boga, żebym nie umarła, bo przecież mam 12-letnią córkę.

– Miałem dyżur pod telefonem, gdy zadzwonili ze szpitala im. Dietla, że przywieziono tam kobietę, której wykonano tomografię głowy, ale wyniki badań są niejednoznaczne, więc zastanawiają się, co robić dalej – przypomina sobie dr Banach. – Odpowiedziałem, żeby ją przywieźli do nas, do Szpitala św. Rafała. W Krakowie trzy oddziały szpitalne pełnią naprzemiennie takie dyżury: w Szpitalu Uniwersyteckim przy ul. Botanicznej, w Szpitalu Wojskowym i w Szpitalu św. Rafała. Na oddziale zawsze wtedy jest jeden albo dwóch lekarzy, trzeci, który może wykonać zabieg embolizacji, czyli

zablokowania krwawiącego naczynia, dyżuruje pod telefonem. W tym dniu dyżur pod telefonem miałem ja, ale takie dyżury pełnią też u nas prof. Tadeusz Popiela i dr Paweł Brzegowy. Godzinę wcześniej dowiadujemy się, że przywiozą pacjenta, któremu trzeba zamknąć tętniaka, i wtedy jedziemy do szpitala. Przyjeżdżają także technik obsługujący aparaturę i wyszkolona w tym zabiegu pielęgniarka.

U pani Karoliny podjąłem próbę zamknięcia tętniaka, docierając do mózgu przez tętnicę udową. Zamknięcie tętniaka bez otwierania czaszki, czyli embolizacja, wymaga chyba większej

ryzy, że umieszczone w nim spirale zostaną z czasem zepchnięte na obwód, tętniak się odbuduje i znów trzeba będzie go zamknąć. Pacjent musi zatem pozostać pod kontrolą.

Bez powikłań

– Zbudziłam się z potwornym bólem głowy, nie wiedziałam, jaki to dzień ani która godzina. Byłam podpięta do aparatury. Przez szklaną ścianę widziałam lekarzy i pielęgniarki. Błagałam: uspijcie mnie, nie znoś tego bólu. A oni mówili, że dopiero mnie wybudzili. Przez dwa następne

Przy krwotoku z tętniaka ważne są dwa objawy – silny ból głowy i utrata przytomności. Gdy wystąpią oba, niezabranie pacjenta do szpitala jest błędem.

precyzji niż klasyczna operacja mózgu. Polega na tym, że przez tętnicę udową, a coraz częściej promieniową, wprowadza się mikrocewnik, docierając aż do wnętrza tętniaka. Cewnik ma kanał, przez który wsuwa się do tętniaka spiralę, czyli platynową nitkę pokrytą środkiem podwyższającym krzepliwość krwi. Krew wpływa między nitki i wytwarza się skrzep, z czasem to miejsce zarasta śródbłonkiem. Wykonując taki zabieg, patrzę na monitor i muszę uruchomić wyobraźnię przestrzenną, bo przecież operacja odbywa się w głowie pacjenta. Gdy szyja tętniaka jest szeroka i trudno go zamknąć, bo wszystko, czym go wypełnimy, z niego wypada, stosujemy balon albo stent.

Druga, klasyczna metoda, czyli kraniotomia, polega na tym, że robimy w czaszce otwór i docieramy do tętniaka, który zamykamy metalową klamką, czyli klipsem. Prawie wszystkie tętniaki tworzą się w przestrzeni podpajęczynówkowej, na zewnątrz mózgu, więc wykonując te zabiegi, nie niszczy się go.

Embolizacja tętniaka trwa zazwyczaj kilkadziesiąt minut, natomiast kraniotomia ponad dwie godziny. Każda z tych metod ma wady i zalety, stosuje się je zależnie od okoliczności. Nie wszystkie tętniaki można zamknąć wewnątrznacyniowo. Kraniotomia stanowi co prawda większe obciążenie dla organizmu pacjenta, ale w niektórych przypadkach jest skuteczniejsza. Po zamknięciu tętniaka metodą wewnątrznacyniową może się zda-

dni gubiłam się w czasie. Odwiedzili mnie krewni, coś do mnie mówili, ale nie byłam pewna, czy rzeczywiście ich widzę. Oddalił się lęk o życie, ale jeszcze nie odczuwałam radości z tego, że zostałam uratowana. Ścisnęłam czyjąś rękę, ruszałam nogami, kiedy mi kazano. Usłyszałam, że nie mam deficytów neurologicznych. Pomyślałam: to chyba dobrze.

– Kiedy tętniak pęknie, jego zamknięcie staje się trudniejsze – wyjaśnia dr Banach. – Mózg bowiem reaguje na to obrzękiem i gdy w trakcie klasycznej operacji trzeba rozsunąć jego płaty, łatwo go uszkodzić. Dlatego w przypadku pęknięcia tętniaka wybieramy embolizację jako metodę mniej inwazyjną i dopiero jeśli się nie powiedzie, otwieramy czaszkę. Chodzi o to, żeby jak najszybciej zamknąć tętniaka, bo drugie krwawienie często bywa śmiertelne. Gdy to się uda, oddychamy z ulgą, ale choremu jeszcze grożą powikłania – skurcz naczyń spowodowany przez obecną w mózgu krew, która działa toksycznie. By temu zapobiec, podajemy leki przeciwskurczowe, zwiększamy ciśnienie krwi. Liczymy się też z wystąpieniem wodogłowia, bo hemoglobina z rozpadającej się w mózgu krwi zatyka drogi odpływu płynu mózgowo-rdzeniowego i trzeba odprowadzić go drenami. U pani Karoliny nie było powikłań.

W 2015 r. zamknęliśmy wewnątrznacyniowo 150 tętniaków, a tylko nieliczne po otwarciu czaszki. Jest to metoda wielokrotnie droższa i szpital z trudem uzyskał pieniądze na po-

krycie kosztów, toteż stosujemy ją wtedy, gdy są wyraźne wskazania, a częściej jednak zamykamy tętniaki po otwarciu czaszki. W ubiegłym roku na 140 pacjentów z tętniakiem, którzy do nas trafili, tylko 20% poddaliśmy embolizacji wewnątrznacyniowej.

Ważne wczesne wykrycie

– Tętniak mógł pęknąć, kiedy jechałam samochodem lub pływałam. Żyłam na tykającej bombie – przyznaje pani Karolina.

– Ludzie zwykle nie wiedzą, że mają tętniaka mózgu, dopóki nie poddadzą się specjalistycznym badaniom neurologicznym – tłumaczy dr Banach – a nierzadko dowiadują się o tym dopiero wtedy, gdy pęknie. Nie ustalono, z jakich przyczyn powstają tętniaki, wiadomo, że w pewnych rodzinach występują częściej. Więcej wykrywa się ich u kobiet niż u mężczyzn, najczęściej w piątej dekadzie życia, a u dzieci prawie wcale.

Na szczęście ci, którzy skarżą się na bóle głowy, częściej niż kiedyś dostają od neurologa skierowanie na tomografię lub rezonans magnetyczny. ▶



► Bez ich wykonania nie powinno się również podejmować leczenia migreny. Także psychiatry muszą częściej kierować na nie pacjentów, bo pewne zmiany w zachowaniu mogą wskazywać, że coś złego dzieje się w mózgu.

Jednak nie wszystkich, u których stwierdzi się tętniaka, od razu się operuje. Przyjęto, że tętniaki o średnicy 4 mm i większe zamyka się, wykonując zabieg, którego koszty pokrywa

występuje. Oceniając ryzyko pęknięcia, bierze się też pod uwagę jego kształt – duże i te o nieregularnych kształtach pękają częściej. Ważna jest także szybkość, z jaką tętniak się powiększa, pacjent powinien zatem poddawać się systematycznej kontroli. Przed pęknięciem tętniaka mogą wystąpić bóle głowy.

– Próbowaliśmy nakłonić NFZ, by zamknięcie każdego tętniaka uznać za

Pęknięcie tętniaka jest bardziej prawdopodobne u palaczy i chorych z nadciśnieniem tętniczym.

NFZ, a mniejsze – obserwuje, gdyż znacznie rzadziej dochodzi do ich krwawienia. Istnieje przecież ryzyko związane z ich zamknięciem – przy embolizacji niebezpieczeństwo powikłań neurologicznych wynosi ok. 5%, przy kraniotomii jest prawie dwa razy większe. Decyzja o zamknięciu tętniaka nigdy więc nie jest łatwa.

Pęknięcie tętniaka jest bardziej prawdopodobne u palaczy i chorych z nadciśnieniem tętniczym oraz u osób, w których rodzinach częściej

zabieg ratujący życie – wyjaśnia dr Banach. – Niestety, bez skutku. Coraz więcej pacjentów musi czekać. Kolejka się wydłuża, zapisujemy już na grudzień. A przecież nawet ze względów ekonomicznych bardziej opłaca się zamykać tętniaki, zanim pękną, bo wtedy pacjent ma większe szanse na pełny powrót do zdrowia i pracy. Część osób mających tętniaka żyje w takim lęku, że chcą się poddać zabiegowi jego zamknięcia od razu. Niektórzy nawet płacą za zabieg, aby dłużej na niego nie czekać.

Obie metody zamykania tętniaków mózgu są na szczęście coraz skuteczniejsze i bezpieczniejsze. Żeby jeszcze bardziej ograniczyć ryzyko, stosuje się już śródoperacyjne monitorowanie funkcji mózgu. Zamykanie najbardziej skomplikowanych tętniaków olbrzymich, obejmujących niekiedy kilka tętnic, podejmuje się przy stymulacji serca i obniżeniu ciśnienia tętniczego. Są to kosztowne operacje, ale wybór metody leczenia powinien być podyktowany czynnikami nie ekonomicznymi, lecz wyłącznie medycznymi.

– Dzisiaj wiem, że uratowano mi życie, i jeszcze bardziej je cenię – przyznaje pani Karolina. – „Jak to dobrze, mamo, że żyjesz”, powiedziała do mnie córka.

Ona miała szczęście. Chciałoby się jednak, żeby o wynikach leczenia w mniejszym stopniu decydowało szczęście, a w większym racjonalne działanie medyczne.

Krystyna Rożnowska

* Pani Karolina wyraziła zgodę na rozmowę z lekarzem o sposobie jej leczenia i na publikację.

PRZEBUDZENIE RZESZY

iron sky
INWAZJA

JUŻ NA DVD VIDEO

Kontynuacja kultowego hitu z 2012 roku.

Muzykę do filmu skomponował zespół LAIBACH.

WP FILMWEB DEMOTYWATORY.PL KINO TV

Prztyczek w jądro

Edward Mikołajczyk

Oczywiście, że strażnik ma w życiu gorzej niż prezes, co widać najlepiej, kiedy obaj mają wspólną przełożoną. Mundurowy wylatuje z roboty z dnia na dzień, kiedy coś przeszkobie, prezes nawet nie musi prosić o cokolwiek. Wystarczy, że powiadomi pracodawcę, że wybiera się na urlop.

Tak wyglądała demokracja sejmowa w Polsce pod koniec września 2019 r.

Nie waham się przed zrzuceniem odpowiedzialności ustrojowej za ten stan rzeczy na byłego marszałka Sejmu, z zawodu ogrodnika, który nie sprawdził się w roli krawca wysokiej izby. Ubrał – paradnie, trzeba przyznać – całą straż, ale nie zdążył przed swoim odlotem zaprojektować mundurów dla klubów i kół poselskich, innych dla siebie i dla prezydium oraz w ogóle dla wysokich urzędników państwowych, którzy zawdzięczają woli Sejmu szlify i stołki. Powinni oni wszyscy – od unteroficerów do generałów jak za Augusta III, forsztelowanych lub nie, czyli takich, co im przysługują honory, i takich, co się tylko „mogą nosić” – w godzinach pracy być ubrani jak dzisiejsza straż na Wiejskiej, w mundury z wyraźnymi dystynkcjami pokazującymi stopnie umiłowania ojczyzny. Wtedy pani marszałek Elżbieta Witek miałaby odwagę nie tylko zerwać naramienniki sierżantowi, ale także natychmiast



Dlaczego Marian Banaś nie mógł pójść na urlop od początku czerwca, kiedy było ciepło?

odesłać do cywila „żelaznego Mariana”, zwanego też pancernym, nie bacząc, że ten „wywodzi się z twardego jądra PiS”, więc pewnie poza czarnym pasem karateki ma przy sobie buławę.

Premier Morawiecki, komentując samowolny urlop Mariana Banasia po zaledwie paru dniach „przepracowanych” na stanowisku prezesa Najwyższej Izby Kontroli, powiedział, że Banaś podjął „adekwatną decyzję”. Adekwatną, czyli z czymś zgodną. Z czym – tego już nie powiedział, ale na tym stanowisku, myślę o premierze, można lekceważyć wymagania polskiej frazeologii. Już nie pamiętam, co premier powiedział w czerwcu, kiedy tego samego Mariana Banasia witał w swoim gabinecie jako nowego ministra finansów. To z pewnością także była adekwatna decyzja, równie przystająca do sytuacji jak dzisiejszy urlop prezesa NIK, tyle że nie wiadomo, czy ona (ta adekwatna decyzja) należała do prezesa, czy podjął ją premier. A mnie chodzi tutaj tylko o prawa pracownicze,

czyli o socjal – dlaczego Marian Banaś nie mógł pójść na urlop od początku czerwca, kiedy było ciepło?!

I sprawa druga. Dlaczego z powodu urlopu odbiera się człowiekowi prawo do posiadania dotychczasowego składu pierwiastkowego własnego organizmu? Przecież mogą go ludzie nie poznawać i nie podnosić kapelusza na deptaku, tak jak ja oślepiiony słońcem nie ukloniłem się Anicie Werner w parku Skaryszewskim. Twardy dotąd góral z Piekelnika, który dał się poznać jako żelazny, a nawet pancerny, dzień przed wyjazdem na wczasy zostaje przerobiony na człowieka z kruchego szkła kryształowego. Nawet gdyby to miał być pancerny kryształ, nie robi się takiego świństwa pracownikowi!

Niespodziewany wyjazd prezesa NIK obniżył notowania polskiej piłki nożnej. Bolesnie ugodzona i w efekcie zahibernowana – kto wie, na jak długo – została legenda Jana Banasia, prawoskrzydłowego Polonii Bytom, Górnika Zabrze i reprezentacji. Dwa lata temu pamięć o Banasiu po swoim odświeżył filmowo Jan Kidawa-Błoński. Przypomnę tylko, że Jan Banaś był to gracz, który, jak się mówiło, potrafił nogami krawaty zawiązywać.

Urodził się w Berlinie, w roku 1943, jako Heinz Dieter, ale bardziej niż ta okoliczność zaszkodziła mu ucieczka do Republiki Federalnej, a po powrocie powodzenie i słynny czerwony ford mustang. Trener Kazimierz Górski nie zabrakł Janka do najważniejszych reprezentacji: olimpijskiej w 1972 r. i na mistrzostwa świata w 1974 r., bo... grały one w RFN. Kibicom po cichu wmawiano, że Banaś mógłby znowu dać dyla. Pan Kazimierz nie powiedział tego głośno, bo spaliłby się ze wstydu, dlatego udzielał w tej sprawie „adekwatnej odpowiedzi”.

A teraz, na dodatek, jeszcze Marian Banaś kiwnął Janka Banasia i ośobiście wypełnia pierwszych osiem ekranów w wyszukiwarce internetowej. Utalentowany prawoskrzydłowy pojawia się dopiero w dziewiątym.

SŁUCHAJ NAS W **AUDIODELIC**

PRZEGLĄD co tydzień w wersji audio.
Pobierz aplikację i słuchaj naszych tekstów czytanych przez profesjonalnych lektorów!



Audiodelic ZA MIESIĄC 19,99



Rozmawia
Bronisław Tumitowicz

Dlaczego oferuje pani czytelnikom grzyby, w których nie ma za wiele wartości odżywczych i do tego są ciężkostrawne? A jeszcze co jakiś czas media alarmują o ciężkich zatruciach. W krajach cywilizowanego Zachodu nie ma tylu grzybiarzy, co u nas.

– Trochę mnie oburza sugestia, że nasz kraj nie jest cywilizowany. Polacy zbierają grzyby, bo mogą, bo mamy sprzyjające grzybiarstwu stosunki własnościowe i prawo oraz powszechnie akceptowane tradycje i wiedzę. Zbieranie grzybów nie czyni z nas barbarzyńców. Zatrucia niestety się zdarzają, dlatego wciąż należy się edukować, m.in. czytać książki. Jako autorka nie oferuję czytelnikom niczego, nie sprzedaję grzybów, ale doceniam ich walory smakowe, a także odżywcze. Czy są ciężkostrawne? Jedne mniej, drugie bardziej, to kwestia gatunku. Na przykład pieczarki zawierają łatwostrawne białka. Grzyby zawierają też witaminy i minerały. Nie jest tego dużo, ale grzyby przeważnie nie są podstawą naszej diety, raczej jej urozmaicheniem albo aromatycznym dodatkiem.

Czy dieta grzybowa pomaga schudnąć? W książce niejednokrotnie nawiązuje pani do wegetarian.

– Grzyby są częścią diety wegan czy wegetarian jak marchew i gruszki, ale celem ich spożywania nie jest schudnięcie. Moi znajomi jarosze nie jedzą mięsa z różnych przyczyn, część nie je również grzybów, bo nie lubi, a inni jedzą, ponieważ im smakują. W książce faktycznie sugeruję rozszerzenie jadłospisu o nowe gatunki grzybów, chociażby pyszne twarżyszki przydrożne, zbierane w mojej rodzinie od pokoleń, i dedykuję tę propozycję także wegetarianom, gdyż wiem, jakie mają trudności z urozmaicheniem diety.

Czy każdy grzyb można polizać

Nie wszystkie grzyby niejadalne albo trujące będą miały nieprzyjemny smak lub zapach



ZOFIA LESZCZYŃSKA-NIZIOŁEK

– autorka poradnika „Polowanie na grzyby. Od borowika do grzybowej”

Kiedy najlepiej zbierać grzyby? O jakiej porze dnia, w jaką pogodę? Teraz idą dni jesiennej słyty, jak się wydaje naturalna pora grzybobrania, ale opisuje pani przykłady zbierania grzybów zimą, wiosną.

– Wszystko zależy od tego, jakie grzyby i jak suchy jest rok. W książce zamieszczam tabelę podpowiadającą, kiedy owocnikują poszczególne gatunki, opisuję, od czego uzależnione są wysypy, podaję też w specyfikacjach czas występowania. W opisach często

podkreślam „nietypowy” okres owocnikowania, np. przez całą zimę. Oczywiście lato i jesień to tradycyjny czas na grzybobranie. Najlepiej zbierać grzyby od kilku do kilkunastu dni po deszczach – i musi solidnie popadać. Jeśli deszcze padają regularnie, grzybnie będą owocnikować cały czas. Ale jeśli długo utrzymywała się susza, to musi popadać przez kilka dni.

Wymarzone miejsca w Polsce, gdzie grzybów w bród? Pani pisze, że rosną nawet na uczęszczanym parkingu.

– Moja książka nie jest pracą naukową, to subiektywna opinia o grzybowej pasji. Piszę o grzybach poprzez opowiadanie, trochę z przymrużeniem oka, wspomnień z dzieciństwa i grzybowych doświadczeń. A jeśli chodzi o grzyby z parkingu, to czernidłaki kołpakowate, których siedliskiem są właśnie trawniki, nawożone łąki albo przydrożne zarośla, nie znajdzie się ich w środku lasu. **Spora część pani opowieści połączona jest z rajdami samochodem po lesie. Czy w ogóle powinno się wjeżdżać autem do lasu?**

– Obecnie kwestię, czy i gdzie można wjeżdżać do lasu, regulują przepisy, o czym

można przeczytać w mojej książce. W lasach, w których najczęściej zbieram grzyby (Górznieńsko-Lidzbarski Park Krajobrazowy), są wyznaczone grzyboparkingi. Uważam to za świetne rozwiązanie.

Najpopularniejsza postawa grzybiarza: zbieram tylko kilka odmian, które znam. Prawdziwki, maślaki, podgrzybki, kurki, może kanie. Reszty nie znam, boję się. Czy taka postawa jest słuszna?

– Respekt i postawa ograniczonego zaufania w stosunku do królestwa grzybów są jak najbardziej słuszne. Strach przed grzybami to wyraz zdrowego rozsądku i oczywiście lepiej wyrzucić, niż się zatruci. Ale po co w ogóle zrywać, jeśli miałoby się wyrzucić? Niewiedza nie jest dobrą wymówką dla niszczenia środowiska. Warto się nauczyć więcej o grzybach, jeździć na edukacyjne grzybobrania organizowane np. przez portale i grupy grzybowe, zaglądać na fora internetowe dotyczące grzybów. Im więcej się wie, tym większa szansa na zdrową wątrobę. Niestety, często właśnie doświadczeni grzybiarze, od lat zbie-

rający te same gatunki, robią błąd skutkujący zatruciem. Może stracili czujność, może gubi ich rutyna lub ślepy traf? Nie demonizowałabym jednak leśnego zbieractwa, natomiast zalecam ostrożność.

Czy na grzybobranie najlepiej iść z grzybiarskim guru? Komu ufać? Czy są jakieś poradnie? A więc czy zbierać wszystko i potem udać się do specjalisty?

– Nie ma łatwej drogi do sukcesu w grzybiarskiej edukacji. Swoje trzeba wychodzić po lesie i łąkach

Warto rozszerzyć jadłospis o nowe gatunki grzybów, chociażby pyszne twardzioszki przydrożne.

i najlepiej chodzić z jakimś grzybiarskim specem – np. z grzyboznawcą lub mykologiem, kimś naprawdę godnym zaufania, kto od razu oceni znalezione. Ale niełatwo takiego znaleźć do własnego użytku. Można za to skonsultować znalezione natychmiast na największej polskiej grupie na Facebooku „Grzyby, grzybiarze, grzybobranie”. Wiele ludzi w Polsce zna się na grzybach,



o czym świadczą liczne publikacje i dyskusje w internecie, które warto śledzić. Z pytaniem, co to za grzyb, można również udać się do klasyfikatora w sanepidzie lub punktu skupu darów lasu. Najlepiej jednak nie zbierać nieznanych owocników, jeśli na miejscu nie ma nikogo, kto mógłby je zidentyfikować.

Czy każdy grzyb można po zerwaniu poliznąć? I czy takie badanie coś daje? Jest też mowa o wąchaniu.

– W książce piszę o oznaczaniu, czyli standardowej identyfikacji

grzybów. Jednym z elementów tego procesu jest próba smakowa, drugim badanie zapachu. Zwracam także uwagę, jak powinno się to robić i gdzie (uwaga na bąblowca!). Na pewno polizanie gorzyczaka żółciowego wyeliminuje go z naszego koszyka – i o to chodzi. Ale nie jest tak, że wszystkie grzyby niejadalne albo trujące będą miały nieprzyjemny smak lub zapach. Tylko niektóre.

Niektóre grzyby w opisie są obrzydliwe, np. czernidlak kapie jakąś czarną mazią. Czy to ma zniechęcać, czy zachęcać?

Grzybowe anegdoty

- Niektóre grzyby po uszkodzeniu (w tym wypadku po przekrojeniu) mniej lub bardziej zmieniają kolor. Piaskowiec modrzak przebarwia się na niebiesko, koźlarz pomarańczowożółty na czerniawo, muchomor czerwieniejący na lekko brudnoróżowo, a czubajka czerwieniejąca na czerwono. Co ciekawe, podczas obróbki termicznej kolor znika.

- Nie od dziś wiadomo, że grzyby wyjątkowo agresywnie rzucają się na grzybiarza, gdy wraca obładowany zbiorem. I co wtedy? Otóż ktoś wykombinował, żeby nosić w koszu szeroką opaskę z góry od elastycznych rajstop, którą można podciągnąć na rączkę, tworząc dodatkową zamkniętą przestrzeń. Ścianka jest rozciągliwa, więc można tam włożyć jeszcze sporo grzybów. Genialne!

- Dzisiaj zawsze mam przy sobie telefon komórkowy. Zanim wejdę do lasu, oglądam mapę i staram się zapamiętać, gdzie znajdują się największe drogi. Na Google Maps oznaczam pinezką miejsce, do którego chcę dotrzeć. Wracając do samochodu, używam docenianej przez grzybiarzy aplikacji „Gdzie zaparkowałem”. Zawsze się sprawdza. Kilka lat temu grzybiarz zgubił się na 21 godzin w lesie, do którego często chodził.

- Pieprznik jadalny – ciekawe, kto tego grzyba nazywa prawdziwą nazwą. Niewielu. Większość z nas mówi kurka i zna ją doskonale. Zawierają więcej beta-karotenu niż marchewka i są pełne witaminy B1. No i trudno je z czymkolwiek pomylić.

- Lejkowiec dęty. Uwielbiam trąbki śmierci, nazywane tak z francuskiego – *trompette de la mort*. Nie wyglądają jak grzyby, które chcielibyście mieć na stole. A jednak mają wiele zalet. Szybko się je zbiera, doskonale się suszą i w tej formie są najsmaczniejsze.

- Muchomor czerwieniejący jest kruchy, dlatego należy traktować go delikatnie i w koszyku układać z boku. Kiedyś napotkany na leśnym dukcie bieszczadzki grzybiarz z troski o moje zdrowie wyrzucił mi je z koszyka. Szkoda, bo kotlety z muchomora czerwieniejącego mogą konkurować z osławionymi kaniami w panierce. Grzyb ten nadaje się do jajecznic.

- Nie dajcie sobie nigdy wcisnąć śmiertelnie niebezpiecznego kitu o tym, że grzyby napoczęte przez zwierzęta są jadalne: ślimaki i czerwce przecież jedzą (borowika szatańskiego) i żyją. I co z tego.

► – To nie ma ani zniechęcać, ani zachęcać, tak po prostu jest. To fakt. Mnie zachęca do obserwacji, jest to dla mnie interesujące zjawisko, warte poznania. Fascynuje mnie różnorodność świata grzybów i nie widzę nic złego w niesztampowym, ekspresyjnym opowiadaniu o nim.

Jak się odnieść do rozdziałów „Zbiera je wariat grzybowy” albo „Zbiera je totalny świr i grzybowy guru”? Naśladować?

– Tak, brzmi to kontrowersyjnie, ale cała książka jest niekonwencjonalna, poczynając od tytułu. Parafrazując słynne powiedzenie alpinistów, można powiedzieć, że niektórzy jedzą niebezpieczne grzyby, bo one są. Piszę o tym, ale nie namawiam do pichcenia potrawki z muchomora czerwieniącego lub łuskwiaka zmienego, chociaż są naprawdę smaczne po odpowiednim przyrządzeniu. Niewątpliwie trzeba być wariatem i ignorantem,

Nie istnieje nic takiego jak wzorzec grzyba zupełnie bezpiecznego.

żeby się porywać na nieoczywiste grzyby bez wieloletniego treningu, albo wyedukowanym grzybowym guru, który naprawdę wie, co i jak, i nie eksperymentuje bez asekuracji.

Jak się pani odnosi do licznych w lesie grzybów (chyba nikt ich nie zbiera), które mają cieniutkie nóżki i są popularnie nazywane psiarkami?

– Na północnym Mazowszu, gdzie mieszkam, grzybki nazywane psiarkami to wszystkie te niewielkie grzyby, których ludzie nie znają. Pewnie niektórzy nazwaliby tak i twarzioszki. Różne ich gatunki są jadalne, niektóre popularne jako grzyby przyprawowe. Jeszcze w latach 80. było ich pełno, teraz coraz mniej. Ale po deszczu na pastwiskach i łąkach można ciągle wytopić wielkie kręgi twarzioszków przydrożnych... przepysznych w śmietanie. Z kolei grzyby nadrzewne ostatnio zaczynają robić karierę w Polsce. Na przykład powszechnie zbierane w Ameryce Północnej żółciaki siarkowe to coraz częściej pojawiająca

się pozycja i w naszym jadłospisie. Nie martwi mnie to.

Jak przyrządzać purchawki, aby dało się je zjeść?

– Purchawki są bardzo smaczne. Przepis zamieściłam w książce; można też znaleźć wiele przepisów w internecie. Uważam, że fajnie jest niekiedy spróbować czegoś nowego, dlatego więc nie dobrze przyrządzonych purchawek? Trzeba jednak pamiętać, że purchawki muszą być młode i w środku białe. Dobrze smakują jako kotlety w plastrach albo mielone.



Czy rozdział „Zbierasz je tylko raz” nie powinien się znajdować na początku książki? Co robić, gdy zjemy borowika szatańskiego czy muchomora sromotnikowego?

– Nawet jeśli ten rozdział będzie na początku książki, niewiele już zdołamy zrobić po zjedzeniu śmiertelnie trujących grzybów. Z grzybami nigdy dość ostrożności. Jeśli po zjedzeniu jakichkolwiek grzybów pocujemy się źle, natychmiast musimy się udać do szpitala. Niestety, jeśli zjemy muchomora zielonawego (sromotnikowego), pierwsze objawy możemy poczuć nawet po kilkunastu godzinach. To późno. Dlatego tak ważne jest uczenie się grzybów. Czy zastanawiał się pan kiedyś nad tym,

że może te zatrucia wynikają właśnie z tego, że nie uczymy się wystarczająco o grzybach, a wiadomo, że chodziliśmy, chodzimy i będziemy chodzić po nie do lasu?

Czy są jakieś ewidentne cechy, które wykluczają zbieranie danych grzybów i czy są cechy dające pewność, że grzyb jest dobry? Popularnie mówi się: zbierajcie tylko grzyby z siateczką pod kapeluszem, unikajcie tych z blaszkami.

– Względnie bezpieczne dla początkującego grzybiarza są najpopularniejsze polskie grzyby jadalne, te z siateczką, czyli hymenoforem z rurkami, nie z blaszkami, np. podgrzybki brunatne. Większość spotkanych w lesie zbieraczy będzie mogła je kompetentnie skonsultować, a ponadto nie mają powszechnie występujących sobowtórów trucieli. Jednak nie istnieje nic takiego jak wzorzec grzyba zupełnie bezpiecznego, dobrego. Lepiej wszystko na początku konsultować i nauczyć się, jak wyglądają te śmiertelnie trujące, żeby obchodzić je z daleka.

Ille razy była pani królową grzybobrania?

– Och, kilka razy. Grzybobrania z wyborem najbardziej spektakularnego grzyba jadalnego lub najokazalszych zbiorów to wspomnienia z mojego dzieciństwa. Ostatnio rzadko organizujemy takie zawody. Ale chyba powinniśmy do tego wrócić, gdyż było to ekscytujące.

Na końcu książki jest zdjęcie, jak obejmuje pani grube drzewo. Czy to coś daje?

– To grube drzewo to brzoza brodawkowata wchodząca w dużą zażyłość z koźlarzami. Dzięki niej mam w ogrodzie babki, z których jest doskonały susz do grzybowej. Ponadto obejmując ją, czuję więź z moimi przodkami, bo to drzewo i całą aleję brzozową nad rzeką sadziła moja prababcia Stefania, babcia i mama ją pielęgnowały, a ja staram się to wszystko jakoś podtrzymać. W mojej rodzinie ogrodem i grzybami zajmowały się kobiety, panowie mieli inne sprawy na głowie.

Bronisław Tumitowicz

Duda w Nowym Jorku

No tak... Wielkie halo zrobiono z tego, że prezydent Trump przyjął prezydenta Dudę. Ogłaszano to jako dowód, że Duda jest ważny, i chwalono się, jaką to Polska PiS niezwykle ważną rolę odgrywa u boku Stanów Zjednoczonych.

W rzeczywistości było tak, że – po pierwsze – Duda pojechał do USA na gwizdek, bo o tym, że Donald Trump raczy go przyjąć, dowiedział się kilka dni przed spotkaniem. Po drugie, owszem, Trump go przyjął, ale w większej grupie, między prezydentem Pakistanu a premierem Nowej Zelandii. I nie w Białym Domu w Waszyngtonie, ale w nowojorskim hotelu InterContinental.

Dla niedowiarków załączamy program prezydenta Trumpa z tej części 23 września. Rano amerykański prezydent przebywał w siedzibie ONZ, a potem przejechał do hotelu InterContinental. I oficjalny rozkład dnia miał następujący:

12:10 PM. Arrive at the InterContinental New York Barclay – New York, NY.

1:00 PM. Participate in a bilateral meeting with the President of the Islamic Republic of Pakistan.

2:25 PM. Participate in a bilateral meeting with the President of the Republic of Poland.

3:00 PM. Participate in a pull-aside with the Prime Minister of New Zealand.

3:40 PM. Participate in a bilateral meeting with the President of the Republic of Singapore.

4:15 PM. Participate in a bilateral meeting with the President of the Arab Republic of Egypt.

5:15 PM. Participate in a bilateral meeting with the President of the Republic of Korea.

6:05 PM. Depart the InterContinental New York Barclay en route to Trump Tower – Motorcade.

6:10 PM. Arrive at Trump Tower – New York, NY.

Dorzućmy do tego dwie uwagi. Po pierwsze, w publikowanym kalendarzu nie ma tzw. zakładek, czyli czasu na odsapnięcie, toaletę, zmiany flag, odświeżenie pomieszczenia. Dodajmy też czas na powitanie i pożegnanie. Jak więc widać, z 35 minut zapisanych jako spotkanie z prezydentem RP efektywnie zostaje ok. 25 minut.

Po drugie, warto zauważyć, że z grona przywódców, których tego dnia przyjął Donald Trump, Andrzej Duda został potraktowany mało łaskawie. Amerykański prezydent poświęcił mu najmniej czasu, tyle co prezydentowi Singapuru. Rozmowa z prezydentem Pakistanu Arifem Alvim trwała według rozpiski 85 minut, czyli prawie trzy razy dłużej, a z prezydentem Egiptu As-Sisim – dwa razy dłużej.

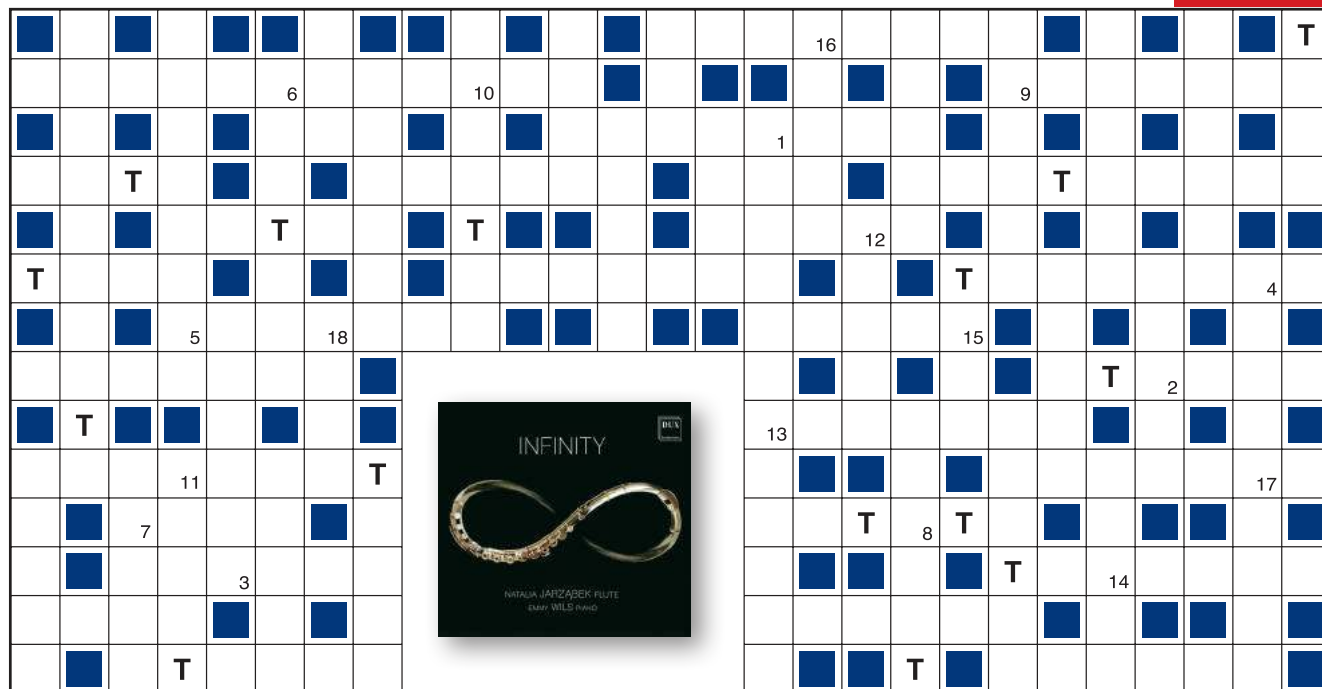
To także pokazuje miejsce Polski na amerykańskiej mapie interesów. I żadne zakłęcia PiS tego nie zmieniają. Mogą poprawić co poniektórym humor, ale na chwilę. Choć to też ważne, bo przecież wyczyn Andrzeja Dudy wzbudza jakiś rodzaj współczucia. Tłukł się chłop pół świata, wiele godzin w samolocie, żeby zamienić parę zdań i tyle. Jest w tym jakiś rodzaj heroizmu.

Oczywiście, żeby nie wyszło, że prezydent RP jest na skinienie, obudowuje się taki wyjazd różnymi innymi spotkaniami. ONZ, Polonia... Chociaż spotkanie z Polonią też miało zgrzyt, bo na ulotkach witających parę prezydencką widniało logo sponsora – zakładu pogrzebowego. Amen.

Attaché

35-letni Hazzaa al-Mansoori przejdzie do historii jako pierwszy Arab na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- imię współautora manifestu futurysty „Nuż w bzuhu”
- niemiarywość serca
- osłona chłodnicy samochodowej
- członek paktu ANZUS
- różanecznik
- owoc kojarzący się z młodzieżą i republiką
- pies medalista

- skorupa po stłuczonym naczyniu
- część, element, odcinek
- siłomierz
- dziedina lub sekcja, pion w instytucji
- o miejscu ze skradzionymi autami
- śpiewała z Andrzejem
- imię bohaterki „Śmierci pułkownika”

- Wodnika, Tulipanów lub Śródziemia
- miękinie przy pięknie
- matka Kaina i Abela
- ...victis, czyli chwala zwyciężonym
- swawolna zabawa
- ciemnobłękitny barwnik
- narodowość bohaterki „Persepolis”
- rzeka i stan w USA albo stonka
- odrabiane przez uczniów
- bungee lub cumownicza
- przelewa uczucia na strofy
- dla aktora w teatrze greckim i nurka
- jak po nim – łatwo
- eliminacyjny lub towarzyski

- bywalec filharmonii
- dziesiąta lub podkasana
- naklejana na towar
- Polska w nim od 12 marca 1999 r.
- nicość, nieistnienie
- przeciwieństwo nadmiaru
- Cham znalazł go nagiego
- pułkownik, kochanek Teresy Hennert
- święcona w ostatnią niedzielę przed Wielkanocą
- na wodzie łupi, na drodze gna
- mikroskopowy albo mlekozastępczy
- rozważania, którymi można się podzielić
- znaczenie lub stopień wojskowy
- cios, uderzenie
- Kwintilian albo Cynceron
- białowąsa wśród ptaków wodnych
- i Inisko, i żytnisko

- ozdoba z gałązek i kwiatów na stół
- pod brodą karmionego dziecka
- i zbiór prac, i stanowisko ministra
- załoty batalionów
- topór wojenny Indianina
- równa 10 kwintalom
- szlak komunikacyjny, droga do przebycia
- ciepła, wodna lub wiatrowa
- czy wkrótce bez Wielkiej Brytanii?
- wzywały rycerzy na wyprawę wojenną
- przenikanie, wchłanianie się cieczy
- artystka, interpretatorka
- jedno z siedmiu Rzymu albo Lizbony
- lepiej nikomu go nie sprawić
- ...ekipy rządzącej po wyborach
- podnoszone zastłony z wąskich listew

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-928”. Do rozlosowania CD „Infinity” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 października 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-925” z 15 września: *Plotka gryzie językiem.*
Nagrody otrzymują: Lidia Maciak z Kielc, Krzysztof Skrobacz ze Skierniewic, Ewa Szczurowska z Kościeliska.

PENETRACJE



ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI,
BYŁY PREZYDENT

Jeżeli PiS miałoby dalej rządzić, to dla demokracji w Polsce wynikną jeszcze większe zagrożenia. Rządzący powiększą swój nacisk i wpływ na niezależne sądownictwo. Dokona się do końca demontaż trójpodziału władzy i praworządnego państwa. Ale najbardziej niebezpieczna z punktu widzenia stanu demokracji w Polsce będzie tzw. polonizacja mediów, co oznacza zamknięcie ust niezależnym mediom. Z punktu widzenia demokracji to zagrożenie wręcz śmiertelne. W walce o swoje zwycięstwo PiS korzysta pełnymi garściami ze wszystkiego, co się da wykorzystać do tego celu, zachowując już coraz mniej powściągliwości.



JANUSZ GAJOS,
AKTOR

Celowo poszedłem grać w kabarecie Olgi Lipińskiej tego faceta w berciku: wykalkulowałem, że to będzie forma ucieczki. A Turecki zyskał taką popularność, że znowu nie mogłem się od niego uwolnić. Aż grałem u Wojciecha Marczewskiego w „Ucieczce z kina Wolność”. Mogę mieć do siebie pretensję, że nie dość opanowałem swoje ciało. Bo dobry aktor jest panem swojego wnętrza i zewnątrz. Graliśmy z Anią Dymną w „Opowieściach Hollywoodu” i Kutz mówi: „Ania, płacz”. Ona w taki szloch, że aż trzeba ją było wycierać. A ja za nic w świecie. Nie dam rady.

A w ogóle uważam, że płakać ma widzownia, nie aktor.



DR HAB. KRZYSZTOF ŚWIERKOSZ,
UNIwersytet Wrocławski

Wkrótce niektóre części Ziemi prawdopodobnie nie będą już się nadawały do życia człowieka. Będą to swego rodzaju *no go area* dla *Homo sapiens* – wszędzie tam, gdzie fale upałów będą towarzyszyły wysokiej wilgotności, przeżycie na powierzchni ziemi nie będzie możliwe. Określamy to jako problem mokrego termometru – przy pewnej wilgotności powietrza organizm stałocieplny nie jest już w stanie się chłodzić – i umiera. Oczywiście możemy zbudować klimatyzowane pomieszczenia – ale czy zmieszczą się w nich dziesiątki milionów ludzi? A co będzie, jeśli zabraknie prądu?

PANI TOMASZ KOT,
AKTOR

Po rozdaniu nagród w Cannes do mnie i do Borysa Szyca podeszła Cate Blanchett i powiedziała, że byliśmy jej faworytem. Popatrzyła na mnie, złapała moją twarz w dłoń i zaczęła mnie głaskać! Dodała: „Jesteś fantastycznym partnerem dla aktorki. Kobieta może przy tobie szaleć”. To miłe, bo nie zawsze łatwo jest „schować” siebie i asystować komuś innemu. Ale ja nie mam ambicji do strzelania goli. Jestem graczem drużynowym. Dlatego miałem satysfakcję, że mogę się przydać Pawłowi i sprawić, że Asia Kulig błyszczy.

Aby język giętki...

DANIEL PASSENT
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Mówcą jest lepszym od Krystyny Pawłowicz, ona łączy na co dzień, a on od święta.

JANUSZ KONDRATIUK O SZPITALACH

To piekło. Ludzie płaczą na korytarzach, czekają godzinami. Przypominają trochę koszary, a trochę więzienie.

JAROSŁAW FLIS O WYBORACH

To jest pojedynek patałachów. Zawsze jeden patałach może zrobić większą głupotę niż drugi.

JAN KLATA O PIOTRZE GLIŃSKIM

Władza szuka takich elit, które będą im grały ulubione melodie. Gliński to jest inż. Mamoń polskiej kultury.

RAFAŁ GRUPIŃSKI O KOŚCIELE

Kaczyński i Rydzyk bronią patologii w Kościele, bo traktują go instrumentalnie jako narzędzie budowania własnej pozycji.

JAN ENGLERT O GODNOŚCI

Rozumiem ideę przywrócenia godności prostemu człowiekowi, ale trzeba umieć odróżnić prostego człowieka od prostaka.

JUSTYNA KOWALCZYK
O BURZY W GÓRACH

Jeśli mimo dobrych prognoz jakiś się pojawi, zmykam na dół co sił w nogach.

WOJCIECH PLEWIŃSKI
O OKŁADCE Z BEATĄ TYSZKIEWICZ

Chodziła do liceum prowadzonego przez zakonnice i kiedy zobaczyły, że swobodnie klęczy na krześle i dekolt ma w dość wygiętej pozycji całkiem spory, dopuściły ją do matury dopiero jesienią.

MAGDA GESSLER
O OJCU MIROŚLAWIE IKONOWICZU

Ma 89 lat i nadal pracuje w PAP-ie. Ma dyżury trzy razy w tygodniu, zna 12 języków, jest w szczęśliwym związku.

AGNIESZKA WIĘDŁOCHA O EMOCJACH

Chodzę z zaciętą miną i walczę z niezadowolaniem. Pomagają ćwiczenia oddechowe.



Ludzie marzą, by być jak ptaki. Skoczek BASE wybrał do tego Kuala Lumpur Tower podczas International Jump Malaysia 2019.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Więcej Lema to mniej rozwodów?

Naukowcy z Uniwersytetu Oklahomy zainteresowali się, jaki jest stosunek między nierealnymi oczekiwaniami wobec związków a preferowanymi gatunkami literackimi. Okazało się, że najmocniej stąpają po ziemi, a w konsekwencji mają największe szanse na udaną relację, miłośnicy... fantastyki. Lepiej niż inni czytający rozumieją choćby to, że druga połówka może się zmieniać i że każda para czasem się kłóci. Co znacznie mniej zaskakujące, najgorzej w tym badaniu zdrowego rozsądku są wyniki fanek i fanów romansów. Teraz czas się przyjrzyć ludziom, u których największy zachwyty wywołują partyjne programy wyborcze.

Nowy nos – nowe problemy

Młoda Chinka z dnia na dzień straciła dostęp do usług bankowych i sklepów internetowych, możliwość meldowania się w hotelach, wsiadania do pociągów, a nawet logowania się do systemu w pracy. Wszystko przez to, że po operacji plastycznej nosa przestało ją poprawnie identyfikować popularne oprogramowanie do rozpoznawania twarzy. 21-latką wspaniałomyślnie oświadczyła, że nie wini technologii za swoje problemy. – Nawet moja mama nie mogła mnie poznać po operacji – wyjaśniła.

Hulaj i zdrowiej

Przyjemny i darmowy sposób na obniżenie ciśnienia tętniczego krwi zalecają naukowcy z Uniwersytetu Hawajskiego. Ich badania potwierdziły, że codzienne wykonywanie tradycyjnego hawajskiego tańca hula, opierającego się na spokojnych, rytmicznych ruchach bioder i rąk, realnie



zmniejsza ryzyko zawału serca i udaru mózgu. Co więcej, uczestnicy półrocznego eksperymentu zauważyli u siebie poprawę nastroju. Idziemy o zakład, że jeszcze lepszy dla zdrowia jest polonez a-moll „Pożegnanie Ojczyzny” Michała Kleofasa Ogińskiego.

Ostrożnie z miłością

19-latką z Lincoln w stanie Nebraska wywołała pożar, gdy w swojej sypialni przy użyciu palnika na butan paliła listy miłosne od byłego partnera. Jej główny błąd polegał na tym, że część tłącej się korespondencji pozostawiła na podłodze i poszła do innego pokoju, by się zdrzemnąć. Strażakom udało się ugasić płomienie w kilka minut, jednak zdążyły one spowodować szkody oszacowane na 4 tys. dol. Co gorsza, kobieta może zostać ukarana przez sąd za wywołanie zagrożenia. Tak się kończą zbyt płomienne romanse...

Jak obiecał, tak ogarnął

Internauci z województwa śląskiego przez cały dzień żyli sprawą ciemnego bmw, które wpadło do rowu w miejscowości Kaniów. Jego właściciel oddał się, zostawiając za szybą karteczkę z informacją: „Ogarnę to wieczorem”. Na profilu Bielskie Drogi na Facebooku nieustannie pojawiały się wyrazy troski, dobre rady, żarty i groźby. Ostatecznie pojazd udało się odholować za pomocą specjalnych pasów i traktora, dzięki czemu użytkownicy portalu mogli się zająć pilnowaniem innych, równie ważnych spraw.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Jak przetransportować duże zwierzę? Są sposoby. Stoń wraca do rezerwatu w Zimbabwie, a wielbłąd wyrusza z targu w sudańskim El-Molih.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Nie tawisz gier? Błąd

Ostateczny cios otrzymała teza, że gry komputerowe są stratą czasu. Użytkownik portalu Reddit pochwalił się modelem ludzkiego układu trawiennego, który stworzył w popularnym Minecraftie, umożliwiającym graczom samodzielne budowanie dowolnych obiektów. Poszczególne bloki w grze odpowiadają m.in. zębom, enzymom, ślinie, kosmkom jelitowym i kilku rodzajom jedzenia. Co ciekawe, model opracowany na zaliczenie z biologii powstał w wersji gry przeznaczonej na urządzenia mobilne.

Pieniądże leżą na... mokradłach

Zarząd Gospodarki Wodnej Południowej Florydy rozpoczął kolejny nabór na łowców pytonów birmańskich, które na tamtejszych, cennych przyrodniczo mokradłach stanowią prawdziwą plagę. Kandydat na pogromcę gadów musi mieć skończone 18 lat, być niekarany, posiadać ważne prawo jazdy wydane przez stan oraz telefon komórkowy z lokalizatorem GPS. Łowcy mogą liczyć na 8,46 dol. za godzinę pracy plus premie (np. 200 dol. za likwidację węża pilnującego gniazda z jajami). Kasy do zgarnięcia jest sporo – szacuje się, że na południowej Florydzie żyje nawet 300 tys. pytonów birmańskich.



Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszki, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Marabuty – Nowy Świat

Galeria Quadrilion
Warszawa, ul. Mokotowska 59
do 26 października

Marabut to znak rozpoznawczy Artura Cieślara, metafora człowieka, może nawet on sam. Dziennikarz, reportażysta, pisarz i podróżnik, który przygodę z malarstwem zaczął w 2014 r., w młodości krótko mieszkał w Afryce. Tam obserwował marabuty, „ptaki-ludzi”, jak sam mówi. Najczęściej portretuje je w barokowych stylizacjach, bo chętnie bawi się pracami wielkich mistrzów, przywołując ich kompozycje i tematy i puszczając oko do widza. Feeria kolorów i smutek tropików wręcz pulsują na tych płótnach.





Różewicz Open Festival 2019

"Różewicz vs. Gombrowicz"

Miejski Dom Kultury w Radomsku 9-14.10

SPEKTAKLE:

9 października

„Ferdynand” – Teatr Dramatyczny w Warszawie, reż. Magdalena Miklasz

11 października

„Stara kobieta wysiaduje” – monodram Lidii Danyłczuk aktorki „Teatru w koszyku” z Ukrainy

12 października

„Powroty do Odejsia Głodomora” – monodram aktora i poety Bogusława Kierca

13 października

„gdzie ja jestem” – czytanie performatywne Sceny Poezji MDK w Radomsku, reż. Małgorzata Wesołowska

14 października

„Deprawator” – Teatr Polski w Warszawie, reż. Maciej Wojtyszko



KONCERT:

12 października

„Steve Nash oraz Dj Funktion, Pan Jaras & Pinky Loops Quartet”
– koncert muzyki filmowej oraz utworów z albumu „Out Of Fade”



IMPREZY TOWARZYSZĄCE, M.IN.:

„Różewicz vs Gombrowicz” – panel dyskusyjny z udziałem Joanny Lisiewicz, Magdaleny Miklasz, Jarosława Bielskiego, Marka Chowańca prowadzenie – prof. Barbara Osterloff – dyrektor artystyczny festiwalu

„Jak powstaje książka” – warsztaty czytelnicze dla dzieci

„Wściekle wieszczę i jeden jeszcze albo Tadeusz Różewicz & spółka z o.o.”

– warsztaty metodyczne dla nauczycieli pod kierunkiem Joanny Lisiewicz

Wykład prof. dr. hab. Jacka Kopcińskiego z Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk

„XI Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Janusza Różewicza” – rozstrzygnięcie konkursu z udziałem jury i finalistów

„Śladami braci Różewiczów” – spacer ulicami Radomska z historykiem Agnieszką Kuligowską

„On sobie leży, a czas leci. Wybrane fragmenty z Kartoteki” – teatralno – scenograficzne warsztaty dla młodzieży pod kierunkiem Marka Chowańca z ASP w Warszawie

„Sztuczność wrodzona” – wystawa zdjęć ze spektakli – adaptacji dzieł Witolda Gombrowicza

– wystawionych przez Teatr im S. Jaracza w Łodzi



Dyrektor artystyczny Festiwalu: prof. Barbara Osterloff

Programowanie i koordynacja: Krystyna Michalska

www.rozewiczopen.pl

Organizatorzy:



Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Partnerzy Wydarzenia:



eprasa.pl ebdf2dd3f3

WYTWORNIA FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH ORAZ KINO ŚWIAT PRZEDSTAWIAJĄ

KAŻDY MA COŚ DO UKRYCIA



REŻYSERIA
JANUSZ MAJEWSKI



CZARNY MERCEDES

ŻMIJEWSKI DĘBSKA MILIĆEVIĆ ZIELIŃSKI LINDA
SEWERYN BOHOSIEWICZ STENKA

WYTWORNIA FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH, TELEWIZJA POLSKA S.A. PREZENTUJĄ FILM „CZARNY MERCEDES” WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
WYKONALI: MARIA DĘBSKA, ARTUR ŻMIJEWSKI, ALEKSANDAR MILICEVIĆ, ANDRZEJ ZIELIŃSKI, ANDRZEJ SEWERYN, BOGUSŁAW LINDA, MARCEL SABAT, SONIA BOHOSIEWICZ, ANDRZEJ MASTALIŁ
DANUTA STENKA, NATALIA RYBICKA, IZABELA DĄBROWSKA, MARIAN OPIA, WIKTOR ZBOROWSKI, ANDRZEJ BARANOWSKI, PRZEMYSŁAW BŁUSZCZ, ŁUKASZ SIKORA, ANTONI KRÓLIKOWSKI, DANIEL PASSENT, VADIM BRÓDSKI
GŁÓWNY SCENARIUSZ: ANETA BRZOZOWSKA, MONIKA JAN-LECHTAŃSKA WYSTĄPIŁI: ELŻBIETA RADKE, KRZYSZTOF JASTRZĄB, PAWEŁ ŁUCIEWICZ, MICHAŁ MILENIA FIEDLER, MARIUSZ KUŚ, REŻYSER: JANUSZ MAJEWSKI
MONTAŻ: KRZYSZTOF JASTRZĄB, SCENARIUSZ: JANUSZ MAJEWSKI, PRODUKCYJA: KINO ŚWIAT, DYSTRYBUCJA: KINO ŚWIAT



KINO ŚWIAT

W KINACH OD 4 PAŹDZIERNIKA



eprasa.pl ebf2dd3f3